ZIELONY ŁAD = ŚMIERĆ polskiego rolnictwa

CZY WIELKA DEMONSTRACJA 10 MAJA ZATRZYMA KATAKLIZM?

ANDRIJANIĆ KONTRA MATUSZAK. CZY OGRANICZAĆ SPRZEDAŻ ALKOHOLU?

W USA POLITYCZNA WOJNA O MUZYKĘ COUNTRY

WRACAJĄ HONORY DLA KOMUNISTYCZNYCH ZBRODNIARZY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

19 (597) 2024
6–12 maja 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

WIELKI SKANDAL W TVP

ZATRUDNIŁ W TELEWIZJI POLSKIEJ „MARTWĄ DUSZĘ" – ŻONĘ KOLEGI. POTWIERDZIŁY TO TRZY SĄDY. DZIŚ SIENKIEWICZ UCZYNIŁ Z NIEGO LIKWIDATORA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

orange
NA POZYCJI 32

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 95fd45879a

To Niemcy i ich polscy pomocnicy likwidują nam CPK

Politycznie Tuskowi opłacałoby się kontynuowanie choćby niektórych wielkich inwestycji zaplanowanych i rozpoczętych za rządów premiera Jarosława Kaczyńskiego, takich jak Centralny Port Komunikacyjny. Chce tego duża część wyborców jego obozu politycznego, nakręciłyby one gospodarkę, odebrały paliwo opozycji.

Do tego zwłaszcza CPK i atom mają już swoją symboliczną moc, są powszechnie zrozumiałymi symbolami tej ambicji, tej skuteczności, którą pokazały polskie rządy po 2015 r. Kontynuacja odsunęłaby zatem ryzyko dotarcia do opinii publicznej, iż wróciliśmy do programu zwijania Polski, dziś nazywanego „wykreślaniem". Rozumieją to nawet niektórzy publicyści pisma Michnika, do których chyba nie dociera, jaka jest istota wspieranych przez nich rządów. Nie rozumieją, że za Tuska CPK po prostu nie może powstać. Bo skasowanie polskiego rozwoju i polskiej ambicji jest dziś głównym celem politycznych, berlińskich patronów premiera.

Ogłoszenie, że „budowa CPK w Baranowie za ponad 40 mld zł odłożona. Wracają inwestycje na Lotnisku Chopina" za jakieś nędzne 2 mld z hakiem oznacza, iż niemiecka polityka kolonizacyjna wobec Polski wchodzi w fazę wykonawczą.

Etapem pierwszym była wściekła, prowadzona przez osiem lat kampania hejtu, nagonki, kłamstw, także na forum międzynarodowym, wobec polskiego rządu. Niemiecka potęga rzuciła tu wszystkie posiadane zasoby. Użyła też bezprawnie dźwigni i blokad w Brukseli.

Elementem kampanii było skierowanie do Polski Tuska, który zgodził się na to z dużą niechęcią, gdyż naszej ojczyzny po prostu nie lubi. Jeszcze dopalono pieniędzmi, jeszcze zwiększono presję i mieliśmy 15 października, a potem 13 grudnia.

Kilka miesięcy trwała faza druga: czyszczenie przedpola. Polaków trzeba było pozbawić części mózgu, stąd atak na wszystkie niezależne instytucje, które nawet jeśli przetrwały, są zastraszane i osłabione. Trzeba też było odebrać Polakom głos, tak by nie wybrzmiała oczywista polska racja stanu w tych sprawach. Po to płk Sienkiewicz dostał zgodę na wprowadzenie stanu wojennego w mediach publicznych. Sparaliżowano też praworządność przez bezprawne, gangsterskie przejęcie prokuratury.

Teraz rozpoczyna się faza trzecia: brutalne, bezwzględne narzucanie niemieckich interesów gospodarczych i politycznych w Polsce. Nie ma tu już miejsca na sentymenty, to czysta przemoc realizowana przez polityka zajmującego wprawdzie fotel polskiego premiera, ale serce i umysł mającego zupełnie gdzie indziej.

Fabryki mają padać, bezrobocie ma wzrosnąć, atrakcyjność życia w Polsce ma zostać mocno osłabiona.

Trwałe redukowanie tempa polskiego rozwoju, tak rozpędzonego za rządów Kaczyńskiego – to najważniejszy cel niemiecki wobec Polski. Imperium, a tak Niemcy myślą o sobie, nie będzie tolerowało silnego, niepodległego, ambitnego podmiotu w tym, co uważa za swoją strefę wpływów.

Tylko tym kieruje się niemiecka polityka w ubraniu europejskim. Każdego, kto pokazuje ambicje, niszczą. Bandyci, złodzieje, cynicy mogą spokojnie łupić swoje terytoria, mogą być one biedne i demolowane wyjazdami całych pokoleń młodych ludzi, jeśli tylko niemieckie panowanie nie jest zagrożone, jeżeli całują pierścienie na palcach niemieckich „przywódców Europy".

A jak popełnią w danym kraju przestępstwa – ewakuuje się ich na brukselski dwór.

Zapamiętajmy: to Niemcy i ich polscy pomocnicy nam to wszystko robią, to oni niszczą nam CPK i to oni zablokują nam atom, bo przecież nie chodzi o to, byśmy wyrwali się ze śmiertelnej pętli „zielonych ładów" i niemieckich „technologii ekologicznych". To oni prześladują prezesa Daniela Obajtka za to, że miał czelność zbudować wielki, multienergetyczny koncern i udowodnić, jak wielka siła drzemie w dobrym zarządzaniu polskim majątkiem.

Im dłużej od 15 października, tym wyraźniej widać, jak wielka narodowa katastrofa się wtedy dokonała. Dzieje się zbrodnia na polskim rozwoju.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 95fd45879a

SIECI spis treści

30 Przystępujemy do czegoś, czego nie ma *Marek Budzisz*

53 Młody kraj ze starą tradycją *Grzegorz Górny*

60 Lepsza śmierć z własnych rąk *Andrzej Skwarczyński*

NA POCZĄTEK

5 **PEDAGOGIKA NETFLIKSA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POŻEGNANIE Z TUSKIEM**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZIELONY ŁAD TRUJE EUROPĘ!**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **MARSZAŁKOWSKIE WNIEBOWSTĄPIENIE**
Dorota Łosiewicz

14 **WALIZKA PAULINY ŁABY-TORRES**
Michał Korsun

16 **BEZ KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO**
Samuel Pereira

17 **INTERNET I TERRORYZM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **POLITYCZNY SADOMASOCHIZM**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **LIKWIDATOR Z NIECIEKAWĄ PRZESZŁOŚCIĄ**
Marek Pyza

KRAJ

24 **ZIELONY KATAKLIZM**
Konrad Kołodziejski

28 **MANEWRY EUROPEJSKIE**
Stanisław Janecki

30 **PRZYSTĘPUJEMY DO CZEGOŚ, CZEGO NIE MA**
Marek Budzisz

33 **POLSKĘ STAĆ NA AMBITNE PLANY**
Rozmowa Doroty Łosiewicz z Pauliną Matysiak

36 **WRACAJĄ HONORY DLA KOMUNISTYCZNYCH ZBRODNIARZY**
Stanisław Płużański

40 **SPÓJRZMY NA TO TRZEŹWO**
Goran Andrijanić

42 **PRZEGRANA WOJNA**
Dariusz Matuszak

44 **ODDANIE SIĘ DRUGIEMU CZŁOWIEKOWI**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

46 **BOHATEROWIE, „UCHYLANCI" I ZMĘCZONE SPOŁECZEŃSTWO**
Jakub Augustyn Maciejewski

48 **POLITYCZNA WOJNA O COUNTRY**
Maciej Walaszczyk

50 **WRZENIE NA AMERYKAŃSKICH UNIWERSYTETACH**
Jan Rokita

53 **KOMU SŁUŻĄ LEWICOWE NARKODYKTATURY?**
Małgorzata Wołczyk

53 **MŁODY KRAJ ZE STARĄ TRADYCJĄ**
Grzegorz Górny

HISTORIA

60 **LEPSZA ŚMIERĆ Z WŁASNYCH RĄK**
Andrzej Skwarczyński

SIECI KULTURY

65 **ZWYCIĘSKIE WATERLOO**
Jolanta Gajda-Zadworna

67 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

68 **HITLER I STALIN ZROBILI CO SWOJE**
Robert Tekieli

69 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

70 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

72 **MOJE SZLAKI: HANNA ZBYRYT**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

73 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

77 **POLITYCZNA NIEPOPRAWNOŚĆ MISTRZA NIEMIEC**
Ryszard Czarnecki

78 **DZIEDZICZKI I SPADKOBIERCY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 95fd45879a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pedagogika Netfliksa

Jakiś czas temu Piotr Zaremba opublikował w „Sieci" bardzo pozytywną recenzję serialu „Rojst". Ponieważ poważnie traktuję autora, obejrzałem film, co sprowokowało mnie do paru refleksji. „Rojst" zrealizowany został przez Showmax i odkupiony przez Netfliksa. Światopogląd kreujących dziś masową wyobraźnię rozrywkowych przedsiębiorstw jest uderzająco homogeniczny. W złożonej z wielkiej liczby tytułów produkcji znaleźć można naturalnie rzeczy odmienne, ale całość prezentuje spójny obraz świata.

„Rojst" jest dobrze pomyślany, zrobiony i zagrany, ale... Zaremba zwrócił uwagę, że pojawia się w nim insynuacja na temat IPN, lecz uznał ją za marginalną wpadkę autorów. Widzę to inaczej.

Pierwsza część filmu dzieje się w czasach komunizmu, który potraktowany jest w miarę realistycznie. W następnych częściach, które rozgrywają się już po jego upadku, rzeczywistość nie zmienia się na lepszą. Jak w „Psach", których twórca pierwszy ogłosił, że wprawdzie czarni zastąpili czerwonych, ale w istocie to przecież to samo.

W „Rojście" czerwonych wymienili biało-czerwoni. Po peerelowskim prokuratorze, który miał na sumieniu wszelkie możliwe zbrodnie, nastąpił jego „patriotyczny" odpowiednik, nie tylko nie lepszy, lecz także jak mówią (pozytywni) bohaterowie „gorszy pieniądz". Kiedy ogłasza w telewizji, że „następne milenium będzie biało-czerwone" rozumiemy, że nic głupszego niż narodowe racje być nie może.

Prokurator mistyfikuje śledztwo w sprawie zamordowanego w miasteczku w latach 60. Niemca, bo... przecież nie można pokazać, że na terenie Polski również oni bywali zabijani. Obawiam się, że sens tego idiotyzmu nie dociera do odbiorcy, który ma rozumieć tylko, że patriotyzm to groteskowa mistyfikacja.

IPN, który „przejmuje" dochodzenie, pogłębia to wyobrażenie. Okazuje się, że w III RP stanowi on odpowiednik SB i może wszystko, np. zabrać prokuratorom śledztwo, w sposób brutalny demonstrując im, kto jest panem w tym kraju. Przy akompaniamencie wezwań do niemieckich „reperacji".

Zaremba zwraca uwagę na anachronizm, ale rzecz w tym, że obraz ten jest równie absurdalny dla 1999, co dla 2022 r. Ale tym autorzy „Rojsta" się nie przejmują. Wiedzą, że obraz IPN jako fabryki ideologicznego oszustwa, a patriotyzmu jako ponurej hipokryzji, znajdzie poklask na salonie.

Owszem, nie temu jest film poświęcony, nie zmienia to jednak wymowy głównej opowieści. Jej tło odbierane jest jako oczywistość, a autorzy sygnalizują, że należą do intelektualnego establishmentu i uwewnętrznili obowiązujące w nim klisze.

Oto ich ciąg dalszy. Bohaterka ma erotyczną przygodę, a ponieważ nie chce „żyć w kłamstwie", zrywa ze swoim mężem, z którym ma dorastającą córkę. Życie w prawdzie polega przecież na podążaniu za seksualnymi impulsami. Potomstwu przynosi to wyłącznie korzyści, gdyż po przypadkowej śmierci matki córka otrzymuje matkę kolejną, z czego jest bardzo rada. Bo jej rodzicielka porzuciła męża dla uszlachetnionej „romską" krwią policjantki. Lesbijski charakter związku dodatkowo go dowartościowuje.

Jedna mama dobra, dwie lepsze – chce się zawołać.

Czemu się czepiam? Przecież wezwanie do „autentyczności" i „wolności" rozumianych jako podążanie za nieomal każdym, w każdym razie seksualnym, popędem to norma współczesnej kultury masowej. I właśnie o to chodzi. Seryjnie łykane produkcje Netfliksa i jemu podobnych platform tudzież innych fenomenów współczesnej strawy duchowej, od piosenek aż po nieróżniącą się od nich popfilozofię, kształtują dziś psychikę młodego (i nie tylko) odbiorcy.

Poważnie traktowana wspólnota od rodziny poczynając, na narodzie kończąc, sporo wymaga i buduje sieć wcale niełatwych zobowiązań. Świadomość, że oznaczają one głębsze spełnienie niż pościg za seksualnymi satysfakcjami i są fundamentem bez porównania pełniejszej osobowości niż groteskowe repetycje karnawałowej egzystencji wymaga nie tylko poważniejszej refleksji, ale przykładu oraz społecznego etosu. Dużo łatwiej podążyć za odruchem. Młodzi niedojrzali i udający ich starsi mają sami wybierać oraz „samorealizować się". W rzeczywistości reprodukują podsuwane im przez przemysł rozrywkowy modele. A w nim tradycyjna rodzina przedstawiana jest zwykle jako siedlisko patologii, a wspólnota narodowa jako wehikuł politycznych ekstremistów. Twórcy, którzy powielają tę karykaturę, zbierają premię za odwagę i nonkonformizm. To, że każdy ludzki twór, każda idea narażone są na deprawację i są łatwe do obśmiania nie zaprząta głowy kreatorom współczesnej wyobraźni.

Uderzenie w tradycyjną pedagogię nie uwolniło człowieka, ale uczyniło go bezbronnym klientem przemysłu rozrywki. Pod hasłem „Róbta, co chceta" podskakuje on tak, jak zagrają mu projektodawcy wirtualnego świata. To, że i oni nie mają głębszej świadomości tego, co proponują, niewiele zmienia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 95fd45879a

Sygnalista nadaje

Dziennikarka „Gazety Wyborczej" Dominika Wielowieyska zwróciła uwagę koalicji 13 grudnia, że powinna szybciej wygaszać największe inwestycje. „Dla rządu zagrożeniem jest kiełkujący niepokój wśród wyborców. Po pół roku urzędowania nie wiemy, jaka będzie przyszłość projektów rozpoczętych za czasów PiS. Brakuje jasnego przekazu w sprawie CPK, atomu i wielu innych inwestycji. Jakakolwiek decyzja jest lepsza od niepewności" – oceniła. To jednak nieprawda. Niepewność jest dużo lepsza niż twarde wygaszanie Polski.

Rząd posłuchał. „Budowa CPK w Baranowie za ponad 40 mld zł odłożona. Wracają inwestycje na Lotnisku Chopina, którego przepustowość kosztem 2,4 mld zł wzrośnie do 30 mln pasażerów rocznie, czyli o połowę. Część samolotów ma być przeniesiona do Modlina, Radomia i Łodzi" – relacjonował portal wyborcza.pl po konferencji władz Polskich Portów Lotniczych z okazji 90-lecia stołecznego portu. Rzecz ogłoszono w małej, zużytej salce. Prowincjonalizm w myśleniu, prowincjonalizm w działaniu. Serce boli.

Marcin Horała, były pełnomocnik rządu ds. budowy CPK, dziś poseł PiS, komentuje: „Ostatni kontratak krainy października w sprawie CPK to koncepcja rozbudowy Lotniska Chopina. Inwestycja w stanie zaawansowania absolutne zero ma być rozwiązaniem tymczasowym dla inwestycji, która mogłaby już mieć pozwolenie na budowę?" A Mikołaj Czernik, wiceprezes Stowarzyszenia Tak dla CPK, dodaje: „Kiedy realnie może być rozbudowane Lotnisko Chopina? W mojej ocenie przy dobrych wiatrach w 2032 r. A więc dwa lata po tym, kiedy mogło by być otwarte Lotnisko CPK". Ekipa Tuska morduje polskie szanse rozwojowe. To do nich wróci.

Poseł PiS, były wicepremier Jacek Sasin tak podsumował różnicę między PiS a PO: „Kiedy wprowadzaliśmy tarcze antykryzysowe i wspieraliśmy przedsiębiorców, nazywano to rozdawnictwem. Kiedy w największym kryzysie surowcowym w historii obniżyliśmy ceny gazu, zarzucano nam ręczne sterowanie. Po wybuchu wojny, gdy wprowadzaliśmy tarcze antyinflacyjne, mówiono o kupowaniu wyborców. To nie było kupowanie głosów. To była pomoc zwykłym ludziom i wsparcie dla firm. Czas, gdy rząd Polski dbał o Polaków, minął. Ale te czasy wrócą. Musicie postawić na PiS. Wytrzymajcie". To ważne słowa. Nie wszystko jeszcze stracone, ekipa Tuska nie siedzi mocno w siodle. Może spaść na pierwszym zakręcie.

Co Polakom proponuje PO poza podwyżkami i wygaszaniem rozwoju? Ministerstwo Rozwoju i Technologii pochwaliło się w spocie kładką pieszo-rowerową, którą zbudował w Warszawie Rafał Trzaskowski. „Przekonasz się, jak zmieniła się Polska" – głosi komunikat. Odpowiedziała posłanka Lewicy Paulina Matysiak: „Już nawet się nie kryją ze swoim sposobem myślenia, że Polskę naszych marzeń można ograć kładką nad Wisłą. Gdzie rozwój? Gdzie ambicje? Gdzie nasze marzenia? Tak Dla Rozwoju. Nie Dla Mikromanii". To jest właśnie ten wybór. Kładka jest gadżetem, CPK wielką szansą na rozwój. I miliony Polaków, nie tylko wyborców PiS, już to zrozumiały. Jeszcze Polska nie zginęła.

eprasa.pl 95fd45879a

Poseł PiS ***Paweł Jabłoński***, były wiceszef MSZ, dostał w końcu odpowiedź na pytanie, które zadał Donaldowi Tuskowi, gdy ten wygłaszał swoje exposé. „Pytałem o przykład choć jednej sytuacji, gdy sprzeciwił się prorosyjskiej polityce Niemiec" – relacjonuje Jabłoński. Jak odpowiedział premier Tusk? Krótko: „Pańskie pytanie jest niemerytoryczne". Impertynencja nie dziwi, jest w pełni zrozumiała. Ale i tak nie przesłoni faktu, że w tej sprawie król jest całkowicie nagi. Historia nie da się zbyć tanią sztuczką.

Geopolitycznie Tusk nadal bawi się zapałkami. Publicysta Piotr Gursztyn podkreśla w portalu wPolityce.pl: „Zauważmy, że o żadnym innym ważnym kraju Zachodu Donald Tusk nie mówi tak ostro jak o USA. Seria ataków Tuska na republikanów wywołała ich negatywne reakcje, a nie dała nic pozytywnego Polsce. Tusk rzekomo występował w imieniu Ukrainy, ale i jej to w niczym nie pomogło. Zresztą Ukraińcy już przejrzeli grę Tuska, bo ich wiceszef MSZ zauważył, że rząd PiS mówił im przykre rzeczy, ale dawał »żelazo«, czyli broń. A Tusk obiecuje, obiecuje i nic z tego nie wychodzi. Dokładnie tak jak rząd Niemiec". Jedno widać: Tusk nie ma żadnego sensownego pomysłu na skuteczne przesłonięcie swojej istoty.

Jedyny pomysł, jaki ma, to ostry, często cyniczny atak na konkurencję. „Na okręg lwowski spadły dziś dziesiątki bomb i rakiet. Jedna z nich 15 km od naszej granicy. Morawiecki w tym czasie ustala w Budapeszcie wspólną antyeuropejską strategię z proputinowskimi politykami skrajnej prawicy. Głupota? Zdrada? Czy jedno i drugie?" – to słowa premiera odnoszące się do ważnego spotkania zachodniej prawicy w stolicy Węgier. Wszystko to maskarada, wszystko to błazenada. Tusk w żadnej historycznej sprawie nie zagrał dużej samodzielnej gry. W żadnej.

Mateusz Morawiecki odpowiedział tak: „Jest Pan nędznym propagandystą, który jest współodpowiedzialny za to, co dzieje się dziś na Ukrainie. W czasie, gdy realizowaliście reset z Rosją, oni się zbroili i szykowali plany zniszczenia Ukrainy. Tak mocno spaliście w Europie, że Niemców trzeba było budzić przez kilka dni po wybuchu wojny. Gdyby nie polski rząd w lutym 2022 r., to Ukraina mogła upaść". To prawda. A obóz niepodległościowy rzeczywiście staje przed pytaniem, jak wygrać z propagandą i populizmem. I wydaje się, że już znalazł odpowiedź albo jest bardzo blisko.

Europoseł prof. ***Zdzisław Krasnodębski*** ostrzega: „Zasłyszane w PE – elity unijne są bardzo przestraszone niezadowoleniem społecznym z powodu Zielonego Ładu, polityki migracyjnej, rewolty obyczajowej. Cała kampania wyborcza ma być zatem skierowana na pobudzenie lęku przed Rosją i oskarżanie prawicy o współpracę z agresorem, wezwaniem do jedności i konieczności rozszerzenia UE". Stary numer. Kto broni niepodległości, cywilizacji i chrześcijaństwa, ten ma być sojusznikiem Rosji. Całe szczęście, że ten prymitywny szantaż coraz mniej działa.

Prof. Krasnodębski zwraca też uwagę, że w tej grze bardzo dużo waży piękna historia PiS: „Problemem jest zatarcie pamięci o dawnej prorosyjskiej polityce Merkel, Schrödera, Chiraca, Sarkozego, Schwesig, Schüssela, Macrona, Scholza, Tuska itd. Trzeba oddzielić tę przeszłość grubą kreską. Macron już odgrywa »twardziela«. Problemem jest PiS – oraz niektóre konserwatywne partie krajów bałtyckich – ze swoją długoletnią, konsekwentną polityką zwalczania rosyjskiego imperializmu". Co ciekawe, zdaniem prof. Krasnodębskiego „w Brukseli i Berlinie panuje wielka obawa, czy stawiając na Tuska i Sikorskiego, uda się wmówić polskiemu społeczeństwu, że PiS jest »proputinowski«, a PO od zawsze walczy z Putinem". Czasy takie, że mainstream może wmówić wszystko. Ale trzeba walczyć.

Jarosław Kaczyński ocenił, że listy PiS do Parlamentu Europejskiego będą tak mocne, że można je nazwać „listami śmierci". Szymon Hołownia skomentował tę wypowiedź następująco: „Nie wiem, czy »lista śmierci«, czy »lista śmierdzi«. Czasami, jeżeli popatrzy się na zachowania co poniektórych osób, które dopuszczały się rzeczy zupełnie skandalicznych – Jacek Kurski, który stworzył największy gruczoł jadowy w tej części Europy – mówię o TVP Info – i pielęgnował go. Czy panowie Kamiński, Wąsik, Obajtek". Oto system koalicji 13 grudnia w pigułce. Najpierw kreują puste zarzuty, opluwają, a później uznają to za fakt dowiedziony. A co do brzydkiego zapachu, to ostatnio więcej go wokół Trzeciej Drogi, której Hołowniowa część szybko umiera.

Przewodniczący sejmowej komisji śledczej ds. (wymyślonej) afery wizowej ***Michał Szczerba*** kandyduje do Parlamentu Europejskiego. Czy to oznacza, że już wyjaśnił powierzoną mu sprawę? „Uważam, że zrobiłem swoją robotę na 100 proc." – mówi w rozmowie z RMF. I dodaje: „To absolutne przekłamanie, że komisje śledcze działają jedynie w oparciu o przesłuchanie świadków. Nie. Zgromadziliśmy – mówię o swojej komisji ds. afery wizowej – po raz pierwszy w jednym miejscu: informacje, dokumenty, akta, akta również niejawne, z wielu resortów, z wszystkich służb specjalnych". W sumie raport ma być gotowy na początku czerwca. Naszym zdaniem on jest już gotowy od dawna. A Platformie nie można się dziwić, że zwija komisje. Zamiast pogrzebać PiS, obnażyły kampanijne kłamstwa PO.

Fot. Andrzej Wiktor (2x), Fratria, Julita Szewczyk

eprasa.pl 95fd45879a

Pożegnanie z Tuskiem

Tusk: I jak, spakowani?
Kierwiński: Chyba napakowani. Ja to siebie na ulotkach poznać nie mogę.
Tusk: Za inteligentnie?
Kierwiński: Nie. Tak młodo. Ja się tak młodo nawet w szkole nie czułem. Inna sprawa, że garnitur mi wtedy z wuja dali, a potem już poszło. Kierwa to, Kierwa tamto... No, ale teraz czuję się jak młody fejsbuk.
Budka: Uważaj, żebyś młodszy nie wrócił, niż byłeś, jak wyjeżdżałeś. Właśnie, na ile my tam jedziemy?
Sienkiewicz: Po pierwsze, lecimy. Po drugie, na pięć lat. Pięć lat intymności...
Tusk: Na cmentarzysku słoni?
Sienkiewicz: Ojej, specjalnie tak wtedy powiedziałem, żeby mnie mogli w trąbę pocałować. Słonik, z drzewa słoń na biegunach, la la la...
Kierwiński: Chyba konik?
Sienkiewicz: Konik nie jedzie. Jak by mi konia na listę dali, to by mnie wyprzedził u hejterow. A bez hejterów nie ma deserów, prawda, słoniu? To znaczy, Doniu?
Budka: To ile par szortów pakować na wywiady?
Tusk: Ty i tak nie będziesz udzielał. Masz Bartłomieja na schodach pilnować i to jest na dzień dzisiejszy oraz jutrzejszy twoje główne zadanie. Resztą zajmie się Marcin.
Kierwiński: Czyli czym?
Tusk: Ogólnym pieprzeniem. Możesz mówić, że schudłeś. Bo z KPO kupiłeś sobie skakankę. O, będzie i europejsko, i patriotycznie.
Sienkiewicz: W którym momencie?
Tusk: Jak wyjedziesz. Nie łap mnie za słówka, Marcin rozumie bez słów.
Sienkiewicz: Borys też. Właśnie, w kwestii formalnej, czy tam są przede wszystkim schody zwykłe czy ruchome?
Tusk: Bo?
Sienkiewicz: Bo Geremek, podobno, jak szedł po chodach, to nie było wiadomo, czy schodził, czy wchodził. Tak się rozpoznaje wielkich dyplomatów...
Tusk: Ale on wiedział, czy wchodzi, czy schodzi. Ruchome są, ale jak cię wciągną, to ci marynarka spadnie.
Budka: To dlatego pan przewodniczący zakładał Junckerowi?
Tusk: Powtórz.
Budka: Junckerowi.
Tusk: Ale co?
Budka: Junckerowi trafiło się jak ślepej kurze ziarno współpracować z panem przewodniczącym.
Tusk: Czego?
Budka: No, jak to „czego"? Przecież pan przewodniczący sam pytał...
Tusk: Czego przewodniczącym?
Kierwiński: To może ja podpowiem? Pan przewodniczący jest panem przewodniczącym Platformy Obywatelskiej, Koalicji Obywatelskiej oraz był... ale nie wiem, czy to przypominać...
Tusk: Śmiało.
Kierwiński:... Rady Europejskiej.
Sienkiewicz: O, k..., faktycznie!
Tusk: Czego się drzesz? Byłem i co?
Budka: Właśnie! Był i co? Teraz nie jest. A pamięta pan przewodniczący 27 do jednego? Aleśmy im spuścili łomot!
Sienkiewicz: Przepraszam, że się wtrącam, ale kiedy to mniej więcej było?
Tusk: Przed powrotem. A co?
Sienkiewicz: Obawiam się, że będą chcieli pana premiera w to umoczyć.
Tusk: Ale w co?
Sienkiewicz: W politykę Unii Europejskiej. Te zielone łady, pakty migracyjne, niemieckie interesy i tak dalej.
Tusk: A co ja miałem do gadania?
Kierwiński: Jak to?
Budka: Ty to nigdy nie wiesz, kiedy się zdziwić.
Kierwiński: Niby czym? Przecież pan przewodniczący tylko żartuje. Kto KPO odblokował, głąbie?
Budka: Za głąba to ci mogę od razu siedmiu nominatów ze spółek wywalić, i to jeszcze przed wyjazdem.
Sienkiewicz: Tak jest. Nie lej mu więcej.
Kierwiński: A ty lepiej poręczy pilnuj, żeby ci się immunitet nie skończył. Myślisz, że tam wszystko wolno? Skończy się wchodzenie z buta.
Sienkiewicz: No, ty sobie też już nie popałujesz...
Kierwiński: Ani ty budki nie podpalisz...
Budka: Słucham?
Kierwiński: Nie wiesz, że budkę spalił pod ruską ambasadą?
Sienkiewicz: Oj, źle mnie chłopaki zrozumieli. Mieli spalić Budkę, w sensie konkurenta w partii, a ci ogień podłożyli.
Budka: Nic nie słyszałem. A ty skąd o tym wiesz, Marcin?
Kierwiński: Od Bieńkowskiej, a ona od Wojtunika. Tego, wiesz, naszego szefa CBA, kiedy było jeszcze apolityczne.
Tusk: Nie chcę wam przeszkadzać, ale przypomnę, że spotkaliśmy się, by ustalić strategię.
Budka: Czyli?
Kierwiński: Hasła, głąbie.
Budka: Panie przewodniczący, jeszcze raz mnie ten pałkarz obrazi i ja nigdzie nie jadę. Na pewno nie dzisiaj. Jeszcze się nie spakowałem.
Sienkiewicz: Alkazelcera nie zapomnij. I laski jakiejś.
Kierwiński: Przecież startuje, ta, jak się nazywa, koleżanka Barańska z lewicy, seksedukatorka. Biedroń mówi, że lokomotywa...
Sienkiewicz: To jedziesz. O normalną laskę mi chodziło!
Budka: Że jak z lewicy to od razu nienormalna? Panie przewodniczący...
Tusk: Nie wytrzymam z wami. Każdy przychodził i błagał jak koń przed wyborami: weź mnie, Donald, ja dla ciebie wszystko, Donald, Donald, zróbmy to, bo ja już nie mam z czego żyć, a teraz się kłócicie? Hasło?!
Sienkiewicz: Najlepsze kasztany są na placu Pigalle...
Tusk: Nasze wyborcze!
Budka: A jest jakieś?
Kierwiński: To te, no... 100 konkretów?
Tusk: Trzymajcie mnie...
Sienkiewicz: „Pieniądze to nie wszystko!". Albo nie. „Odseparuj nas od tego syfu!". Może być?
Tusk: Dobra, to nie ma sensu. Jak was nie wybiorą, to ja was wybiorę. Wiecie, do czego.
Sienkiewicz: Nie.
Kierwiński: Borys, przytrzymaj go...
Budka: Dlaczego zawsze ja?
Tusk: Każdy ma takiego Junckera, na jakiego zasłużył. Tylko żeby mi tam żaden nadbagażu do samolotu nie brał. Już jednego Prosiewicza żeśmy mieli w centrali.

Krzysztof Feusette

Reklama 15/0424/F

eprasa.pl 95fd45879a

Odróżnij prawdę od fałszu

Działania w celu ochrony kampanii wyborczej przed mylącymi treściami AI

Facebook tworzy zaawansowane narzędzia do wykrywania treści tworzonych przez AI, a także współpracuje z innymi liderami w branży, by przeciwdziałać rozpowszechnianiu dezinformujących materiałów tego typu.

Więcej informacji na stronie fb.me/elections

eprasa.pl 95fd45879a

Sojusznik z antypodów

Argentyńczycy dowiedzieli się z platformy X (d. Twitter), że minister obrony ich kraju Luis Petri przedstawił list intencyjny z prośbą Argentyny o status globalnego partnera NATO. Przyjęli oni tę wiadomość z mieszanymi uczuciami, bo na podobieństwo swojego papieża zwykli uważać, że NATO demoluje światowy pokój.

Administracja Kremla wyraziła już ubolewanie, jednak prezydent Javier Milei od początku swojej kadencji stawia na dobre relacje z USA, a w szczególności z Donaldem Trumpem. Znane jest też jego poparcie dla Ukrainy i jednoznacznie proizraelska postawa. Analitycy zgadzają się, że ten zwrot dyplomatyczny w kierunku Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników oznacza zdystansowanie się Argentyny od Chin, czego przejawem była również rezygnacja z członkostwa w bloku krajów BRICS (zabiegał o to poprzedni rząd peronisty Alberta Fernándeza). Ten rodzaj ukłonu w stronę NATO komentowany jest także jako aspiracja ultraliberalnego prezydenta Mileia do objęcia pozycji lidera w regionie zdominowanym przez lewicowe rządy Brazylii (Lula da Silva), Chile (Gabriel Boric) i Boliwii (Luis Arce).

Ze względów geograficznych przestrzeń Sojuszu to północny obszar Atlantyku, więc status „partnera globalnego" jest najwyższym stopniem stowarzyszenia, do jakiego może aspirować kraj Ameryki Południowej. Rzecznik argentyńskiego prezydenta wyjaśnił rodakom, że nowa pozycja w NATO „pozwoliłaby krajowi zgromadzić większe siły zbrojne i zdolności obronne poprzez udział w wielonarodowych ćwiczeniach, dostęp do zaawansowanej technologii, a także uczestnictwo w strategicznych debatach i decyzjach".

Argentyna

Warto pamiętać, że już w 1998 r. Argentyna została uznana przez USA za ważnego sojusznika spoza NATO i ten status obowiązuje do dziś. Argentyński rząd wyraźnie jednak szuka zacieśnienia więzów ze światem zachodnim, o czym świadczy m.in. niedawne sformalizowanie zakupu samolotów F-16, które wcześniej służyły w lotnictwie Danii.

Krajem, który patrzy z największą podejrzliwością (oprócz Rosji) na zacieśnienie współpracy Argentyny z NATO, jest Wielka Brytania, od 200 lat tocząca z Argentyną spór o Falklandy (Malwiny). Nie byłby to jednak pierwszy przypadek takiej współpracy, wszak Brytyjczycy mają swój konflikt z Hiszpanią o enklawę w Gibraltarze i mimo to znajdują się w jednym sojuszu.

Małgorzata Wołczyk

Dla Boga czy dla idola?

Kościół ewangelicki w Niemczech stale się kurczy. W 2022 r. opuściło go ok. 380 tys. członków. Na niedzielne nabożeństwa uczęszcza zaledwie kilka procent tamtejszych luteranów. Taylor Swift to z kolei największa gwiazda współczesnej popkultury. Jej koncerty wypełniają stadiony, a bilety na występ osiągają niebotyczne ceny. W 2023 r. magazyn „Time" przyznał jej tytuł Człowieka Roku.

Vincenzo Petracca, proboszcz ewangelickiej parafii w Heidelbergu, wyciągnął z tych informacji logiczny wniosek i ogłosił, że 12 maja odprawi w kościele nabożeństwo z oprawą muzyczną w postaci piosenek Taylor Swift w wykonaniu miejscowej nauczycielki śpiewu.

Oczywiście udział w liturgii jest bezpłatny, ale duchowny zaznaczył, że należy wcześniej zarezerwować sobie miejsce przez internet (łącznie w kościele są 423 miejsca). Zgłosiło się tak dużo chętnych, że trzeba będzie odprawić dwa niedzielne nabożeństwa, co nie zdarzało się od lat. Proboszcz jest zadowolony, że w ten sposób dociera do nowych odbiorców.

Niemcy

Jednocześnie pojawiają się głosy powątpiewające, czy jest to dobry pomysł. Krytycy przypominają, że Taylor Swift dystansuje się od chrześcijaństwa oraz wspiera publicznie aborcję i postulaty środowisk LGBT+. Katolicki egzorcysta diecezji Nashville w USA ks. Dan Reehil przestrzegał, że na koncertach wokalistki podczas jej trasy „The Eras Tour" na scenie były imitowane (świadomie lub nie) rytuały czarownic. Rodzi się pytanie: czy w Heidelbergu ludzie przyjdą na nabożeństwo dla Boga czy dla idola?

Powyższy przypadek jest ilustracją szerszego zjawiska, a mianowicie priorytetu duszpasterstwa nad doktryną. Takie podejście sprawia, że duchownych bardziej zajmuje problem, jak przyciągnąć ludzi do świątyń niż to, co powinni głosić w kościołach. Koncentrują się więc na atrakcjach, a nie na tym, co jest istotą wiary. Takie niebezpieczeństwo grozi również Kościołowi katolickiemu, jeśli wybierze prymat wymiaru pastoralnego nad doktrynalnym.

Grzegorz Górny

Fot. lev radin/Shutterstock.com; Brian Friedman/Shutterstock.com

Spór o Czanga

Czang Kaj-szek, chiński generalissimus i przywódca Kuomintangu, który po zwycięstwie komunistów w 1949 r. schronił się na Tajwanie i rządził wyspą aż do śmierci w 1975 r., budzi wśród jej mieszkańców wiele kontrowersji. Rządzący Tajwanem liberałowie widzą w nim tyrana i chcą usunięcia jego pomników.

Na Tajwanie znajduje się ok. 800 pomników Czang Kaj-szeka. Największy z nich, przedstawiający siedzącego Czanga, ma ponad 6 m wysokości i można go oglądać w stolicy kraju Tajpej w starannie wypielęgnowanym parku noszącym imię generalissimusa. Wartę honorową przed pomnikiem pełnią żołnierze żandarmerii wojskowej. Monument od dawna budził skrajne emocje mieszkańców Tajpej. Są tacy, którzy chcieliby jego zburzenia, inni twierdzą, że powinien pozostać na swoim miejscu.

Różne opinie na temat Czanga mają ścisły związek z poglądami politycznymi i sympatiami partyjnymi. Rządząca dziś Tajwanem liberalna Demokratyczna Partia Postępu (DPP) wywodzi się z dawnej opozycji przeciwko Czangowi i uważa go za autorytarnego dyktatora odpowiedzialnego za brutalne represje podczas trwającego przez 38 lat stanu wojennego, odwołanego dopiero w 1987 r. za rządów najstarszego syna Czanga – Chianga Ching-kuo. Ofiarą prześladowań padło 140 tys. osób. Czang Kaj-szek jest postrzegany przez liberałów jako najeźdźca z kontynentalnych Chin, co ma wpływ na dzisiejszą politykę partii rządzącej. DPP opowiada się bowiem za niepodległością Tajwanu i sprzeciwia forsowanej przez Pekin polityce jednych Chin.

Zupełnie inaczej oceniają Czanga zwolennicy Kuomintangu, który jest dziś główną partią opozycyjną na Tajwanie. Ich zdaniem generalissimus mimo swojej brutalności miał wielkie zasługi w walce z japońskimi najeźdźcami i z komunistami, a potem stał się współtwórcą tajwańskiego dobrobytu. Kuomintang nigdy też nie zerwał związków z Chinami i w odróżnieniu od DPP sprzeciwia się ogłaszaniu przez Tajwan niepodległości, uważając wyspę za część państwa chińskiego.

W 2018 r. liberałowie powołali do życia specjalną komisję do zbadania rządów Czang Kaj-szeka. Wśród jej zaleceń znalazło się usunięcie monumentów upamiętniających generalissimusa, jednak ich demontaż idzie dość opornie. Nie tylko z powodu rozbieżnych ocen Czanga, lecz także ze względu na sprzeciw armii, która w prostej linii wywodzi się z oddziałów wiernych generalissimusowi.

Jak dotąd kilka tysięcy pomników i podobizn Czanga zostało przeniesionych do jednego z parków w Tajpej. Zgromadzone w nim monumenty stanowią dużą atrakcję turystyczną. Liberałowie chcieliby umieścić tam resztę pomników. Byłoby to dla nich – oprócz zadośćuczynienia ofiarom represji Czanga – symboliczne zerwanie ciągłości z Chinami kontynentalnymi.

Konrad Kołodziejski

Tajwan

Fot. kikujungboy CC/Shutterstock.com, Shutterstock

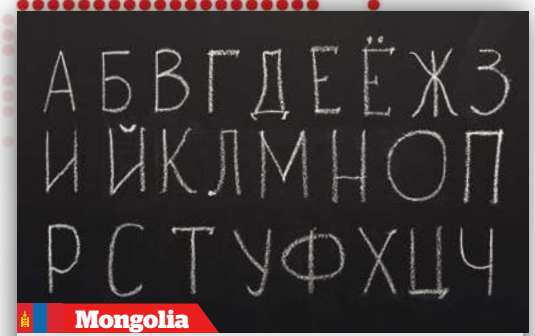

Mongolia

Koniec cyrylicy

Od 1 stycznia 2025 r. Mongolia będzie miała oficjalnie dwa alfabety – używaną od lat 40. ub.w. cyrylicę i tradycyjny biçig, wywodzący się z języka ujgurskiego, będący w użyciu przez ponad 800 lat do momentu wymuszonej przez Stalina „reformy".

Zmiana jest przejawem nowej relacji sił w Azji, czego wcześniejszymi świadectwami było odejście od cyrylicy takich państw jak Uzbekistan czy Kirgistan. W przypadku Mongolii ma ona jednak głębsze znaczenie. Przywrócenie alfabetu biçig oznacza bowiem nie tylko odwołanie się do tradycyjnych wartości i kultury ludów stepu, w tym dorobku imperium Czyngis-chana, lecz także ma wymiar praktyczny, bo ułatwia społeczeństwu Mongolii kontakty z mieszkańcami chińskiej Mongolii Wewnętrznej, w której ten alfabet jest nieprzerwanie w użyciu.

Zdaniem ekspertów stopniowe odchodzenie od cyrylicy, które zaczęło się już w 2011 r., jest również oznaką dążenia Mongolii do zrzucenia kulturowej, a co za tym idzie politycznej dominacji Rosji. Pogłębienie relacji z chińską Mongolią Wewnętrzną, która jest dynamicznie rozwijającą się prowincją, ma również wymiar geostrategiczny i jest świadectwem umacniania się wpływów Pekinu. W tym przypadku mamy jednak do czynienia z manifestacją przez Mongolię swojej odrębności, bo wprowadzenie biçig może być odczytywane w kategoriach alternatywy do oficjalnej polityki Pekinu, który w Mongolii Wewnętrznej promuje język mandaryński. Ułan-Bator rewiduje też swoją politykę edukacyjną, uznając język angielski za pierwszy język obcy w nauczaniu ponadpodstawowym.

Jak zauważył Sumiya Chuluunbaatar z Mongolskiej Akademii Nauk, polityka językowa i zmiana alfabetu nie są w tym przypadku wyrazem naturalnej ewolucji, lecz raczej „projektem politycznym". W tym konkretnym przypadku to skutek słabnięcia Rosji i wzrostu wpływów Chin oraz świata anglosaskiego.

Marek Budzisz

eprasa.pl 95fd45879a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Zielony jad truje Europę!

Jan Pietrzak

Fałszywa ideologia Zielonego Ładu dobiega końca. Zanosi się na to, że Parlament Europejski następnej kadencji ograniczy idiotyzmy, przeciwko którym protestują Europejczycy. To, co w początkach było rozumnym ruchem społecznym przeciwko niszczeniu przyrody, truciu wody, dewastowaniu ziemi i zasmradzaniu powietrza, stało się korupcyjnym geszeftem międzynarodowej oligarchii.

W latach 60. ub.w. sam napisałem ostrzegawczą piosneczkę z muzyką Jerzego Wasowskiego: „Zatrujemy Odrę, Wisłę z dopływami, zadepczemy ostatniego borowika, z nieba spadną uwędzone w smugach spalin makolągwy, kormorany i słowiki". Ówczesna władza narzucona Polsce przez „Czerwony Ład" nie zwracała uwagi na ekologiczne drobiazgi. Dymiące kominy hut były symbolem zwycięskiego socjalizmu. Pamiętam banknoty z kilkoma kominami, które miały świadczyć o wartości pieniędzy. Czym bardziej dymiły, tym lepszy ustrój.

W Jeleniej Górze, gdzie w szkole oficerskiej studiowałem radiolokację, władza ludowa uruchomiła produkcję celwiskozy, czego ubocznym efektem był nieznośny smród otulający Karkonosze. Żartowaliśmy z chłopakami, że żadne radary nie są tu potrzebne, by odstraszyć wrogie eskadry. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że nie był to zakład „odziedziczony" po Niemcach, lecz w 1947 r. celowo zbudowany przez partię klasy robotniczej w okolicy Cieplic, Karpacza, Szklarskiej Poręby, żeby coś śmierdziało, żeby nie było zbyt wczasowo. Mój prywatny kontekst jest taki, że po dzieciństwie w gruzach zmasakrowanej Warszawy, też nie pachnącej zbyt ładnie, Jelenią Górę wspominam z serdeczną nostalgią i przykro mi, że zbyt rzadko tam bywam.

Wracając do „zielonego jadu" zatruwającego umysły coraz szybciej rozmnażającej się ludzkości – są to wypociny europejskiej biurokracji niemającej pojęcia, co robić z władzą, która wpadła im w łapy. Obawiają się, że ktoś zauważy, iż są niepotrzebni. Tylko powrót do prostych reguł z pierwszych lat Unii, czyli ułatwienia w wymianie usług i towarów, ma sens. Całą resztą mają się zajmować państwa narodowe, bo nikt lepiej tego nie zrobi.

Europa wolnych narodów nie potrzebuje zielonego jadu, prowadzącego do zgnilizny.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pożyteczna inicjatywa

Dominik Zdort

Ranking liceów przyjaznych dla LGBT+ to bardzo pożyteczna inicjatywa (każda szkoła jest z natury rzeczy atrakcyjna dla niektórych mniejszości seksualnych, ale w tym przypadku chyba nie oto chodzi). Dzięki rankingowi zwyczajne rodziny dowiadują się, gdzie nie należy posyłać dzieci, bo grozi im wychowanie na geja lub lesbijkę, a w najlepszym wypadku wpojenie przekonania, że normalne jest coś, co w rzeczywistości stanowi odstępstwo od normy. Dla odmiany pary homoseksualne, które chcą ukształtować swoje pociechy na własny obraz i podobieństwo, otrzymują informację, kto im najskuteczniej pomoże w tym zbożnym dziele. Jeśli skorzystają z takiej wskazówki, to niezamierzony efekt może być z pożytkiem dla społeczeństwa... nie dokończę, bo jeszcze ktoś mnie oskarży o to, że zmierzam do seksualnego apartheidu.

Lidera tej listy szkół można się domyślić bez jej przeglądania. To stołeczne liceum od lat znane z edukacyjnych eksperymentów na młodzieży, mające opinię kuźni skrajnego lewactwa. Normalni rodzice i bez rankingu wiedzą, że ich dziecko nie powinno się uczyć w takim miejscu. W pierwszej dziesiątce jest aż pięć szkół warszawskich, czemu także trudno się dziwić – wszak to właśnie w bogatych metropoliach panuje moda na lansowanie genderowych wynaturzeń. Zresztą wystarczy się przyjrzeć, jakie partie wygrywają w stolicy w kolejnych wyborach, aby zrozumieć takie sympatie i tendencje.

W małych miasteczkach wciąż lepiej trzymają się tradycyjne związki męsko-damskie, a specjalne traktowanie gejów i lesbijek nie jest ogromnie popularne – można raczej sądzić, że takie skrajności pojawiają się rzadko i mało kogo obchodzą. Trochę może martwić fakt, że na liście mamy kilka miast średnich – Żywiec, Opole, Zabrze i Olsztyn. No cóż, wielkomiejska propaganda imponuje pewnym środowiskom, które aspirują do bycia bardziej światowymi czy choćby europejskimi. Ale mogę zapewnić, że wywieszenie tęczowego sztandaru czy stworzenie osobnej szkolnej toalety dla gejów, osobnej dla lesbijek, osobnej dla transwestytów nie zmieni 150-tysięcznego miasta w Berlin, Brukselę czy Nowy Jork. Jest wyłącznie wyrazem prowincjonalnych kompleksów i politycznej hiperpoprawności.

Kwestią, która najbardziej może cieszyć, jest obecność na liście szkoły mającej w nazwie „ośrodek socjoterapii".

Autor jest senior research fellow w projekcie Ordo Iuris Cywilizacja

eprasa.pl 95fd45879a

Marszałkowskie wniebowstąpienie

Szymon Hołownia próbuje poruszyć niebo i ziemię, by Sejmflix wciąż się oglądał

Nikt nie potrafi równie wdzięcznie jak marszałek Sejmu Szymon Hołownia walczyć z problemami codzienności, które pojawiają się na jego drodze.

Któż nie pamięta starcia Szymona Hołowni ze śmieciarką, która pojawiła się zupełnie niezapowiedziana? Scena miała miejsce w styczniu 2023 r. podczas jednego ze słynnych internetowych lajfów Hołowni. Tak relacjonował ją publiczności lider Polski 2050: „Zza węgła wyjechała śmieciarka, której tu przed chwilą nie było. Nagle coś zaczęło piszczeć i pojawiła się śmieciarka. Niesamowite, muszę powiedzieć, co człowieka może spotkać na drodze, na której się zatrzymał. Przyjechała śmieciarka, której nie było. Są też panowie, którzy ogarniają, ale mam nadzieję, że nie będą mnie bić. Jest ściana i nagle zza ściany wyłania się śmieciarka. Musze powiedzieć, że to duże przeżycie". Hołownia stoczył ze śmieciarką bój niczym Don Kichot z wiatrakami. A ta przyjechała i odjechała. No, ale nikt nie skomentowałby tego z takim dramatyzmem.

Kilka miesięcy temu Hołowni duży problem sprawiła zwykła bombka. Gdy w marszałkowskim gabinecie pojawili się harcerze, którzy przynieśli do Sejmu Betlejemskie Światło Pokoju, wręczyli marszałkowi także bombkę. Przez dłuższą chwilę nie mógł jej zawiesić, aż wreszcie odłożył ją na choince. Być może trudność wynikała z faktu, że bombka nie miała zawieszki, ale przecież najtrudniejsze do rozwiązania są te najprostsze problemy.

Innym razem marszałek stoczył zażarty bój z nakrętką od butelki. Rzecz działa się podczas spotkania polityków Polski 2050 z seniorami w Sejmie. Wówczas Hołownia sięgnął po butelkę z wodą i... przez dłuższą chwilę siłował się z zakrętką. Ta nie ustąpiła. Sięgnął więc po kolejną butelkę i ta również go pokonała. Chwilę później siedząca obok niego Paulina Hennig-Kloska otworzyła swoją butelkę bez najmniejszego problemu, co Hołownia skomentował: „Jesteś niezwykle dzielna i tężyzna fizyczna zawsze mi imponowała".

Okazało się więc, że pan marszałek oprócz słabej psyche (słynny płacz nad konstytucją) nie może się pochwalić także sprawnością manualną. I jakoś nie idzie to w parze z jego zapowiedzią wgniecenia Putina w ziemię. Być może dlatego, świadom swoich słabości, na wojnę postanowił wysłać żonę. „Moja żona zginie, jeżeli będzie konflikt zbrojny, dlatego że służy realnie w siłach zbrojnych, a nie wojuje słowem, tak jak my to w mediach czy polityce robimy" – powiedział w rozmowie z dziennikarzem serwisu TARNOGORSKI.info.

W kampanii były też potyczki marszałka z żarówkami, które przestawały świecić, znikającymi selfiestickami, co bardzo utrudniało lajfowanie, czy wreszcie internetem, który często pojawiał się i znikał, co przerywało transmisję.

Ostatnio w ramach przybliżania Polakom Sejmu Szymon Hołownia stoczył bój z drabiną. Wspiął się po niej na dach parlamentu, ale wydostać udało mu się dopiero za pomocą metalowej rurki, której marszałek musiał się chwycić. „Tu nie dochodzą wycieczki, nie dochodzi prezydium Sejmu" – mówił polityk. Na szczęście doszedł lider Polski 2050, a wspinaczkę na dach nazwał „marszałkowskim wniebowstąpieniem" i „osiągnięciem szczytu parlamentaryzmu". Zapowiedział też, że to „początek zdobywania korony parlamentów świata". Na szczycie budynku pojawiły się problemy. Wiatr zmierzwił marszałkowi chusteczkę, czego ten nie omieszkał skomentować po swojemu.

„Marszałkowskie wniebowstąpienie" spadło na Polaków niczym grom z jasnego nieba. Ciężko powiedzieć, czy publiczność była wniebowzięta. Pewnie niektórzy byli w siódmym niebie, jednak inni wznosili oczy ku niebu, oglądając marszałkowskie show. Na pewno jednak Szymon Hołownia próbuje poruszyć niebo i ziemię, by Sejmflix wciąż się oglądał. Kto wie, może ktoś kiedyś przygotuje musical: „Marszałek na gorącym blaszanym dachu"?

Jedno mnie martwi. Skoro Szymon Hołownia już teraz zaliczył wniebowstąpienie, to co będzie dalej? Marszałkowska paruzja?

Dorota Łosiewicz

Walizka Pauliny Łaby-Torres

aktorki, wokalistki

Moja historia z podróżowaniem zaczęła się od pasji do teatru i muzyki. Już od najmłodszych lat jeździłam na festiwale, pochłaniając każdą możliwą lekcję wokalną i pogłębiając swoje umiejętności na studiach artystycznych. Wymarzona praca na deskach teatrów muzycznych stała się moją codziennością, a walizka, która towarzyszyła mi w podróżach, była symbolem mojej determinacji i ciężkiej pracy. Jednak przyjście na świat mojej córeczki sprawiło, że moje życie nabrało zupełnie nowego sensu. Walizkę zamieniłam na torbę mamy, otwierając drzwi do najpiękniejszej podróży, jaką kiedykolwiek przeżyłam – podróży w nieznane, pełnej niespodzianek i niezwykłych chwil. W torbie mamy-artystki jest absolutnie wszystko, bo nigdy nie wiem, co przyniesie nowy dzień.

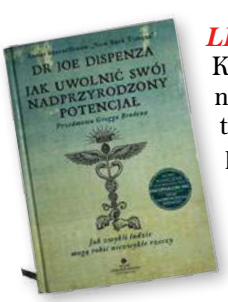

LEKTURA

Książka Joe Dispenzy „Jak uwolnić swój nadprzyrodzony potencjał" to dla mnie nie tylko cenna lektura, lecz także prawdziwa podróż po fascynującym świecie mózgu i jego nieskończonych możliwościach. Uwielbiam nadrabiać książkowe zaległości w podróży.

MATCHA

To mój idealny zamiennik kawy. Kiedy zaczęłam chorować na hashimoto, mocno ograniczyłam kawę i wtedy pokochałam matchę, która dodaje mnóstwo energii.

POWERBANK

Jest nieodłącznym elementem mojej podróżnej torby. W świecie, w którym korzystamy z telefonów na co dzień, staje się niezastąpiony, szczególnie w podróży, gdy nie zawsze mamy dostęp do gniazdka elektrycznego.

eprasa.pl 95fd45879a

SŁUCHAWKI I OPASKA NA OCZY

W podróży lubię się relaksować i najczęściej odcinam się od otoczenia. Słucham wtedy mojej ulubionej playlisty z mantrami lub włączam medytację i odpływam.

MATA DO JOGI

Jako mama niemowlaka często cierpię na bóle kręgosłupa i pleców, a praktyka jogi bardzo pomaga zachować równowagę w życiu.

KOSMETYKI

Makijaż to dla mnie sposób na wyrażenie siebie. Dzięki pracy na scenie nauczyłam się eksperymentować z nim i odważnie podążać za trendami. Lubię bawić się kolorami i wyrażać swoją kreatywność poprzez kosmetyki.

KAPELUSZE

Kapelusze to moja miłość. Mam ich sporą kolekcję w garderobie. Świetnie uzupełniają moje kolorowe stylizacje i wyglądają bardzo stylowo.

KAMIENIE MOCY

Towarzyszą mi w podróży jako niezbędne źródło siły i harmonii. Wierzę w ich zdolność uzdrawiania i ochrony, dlatego zawsze mam przy sobie kilka ulubionych, które dodają mi pewności siebie i pomagają utrzymać wewnętrzną równowagę w każdej sytuacji.

KOALA MOJEJ CÓRKI

Zawsze mam jakąś zabawkę mojej córki. Szczególnie wyjątkowa jest koala marki Fisher Price, do której miałam okazję użyczyć głosu.

PERFUMY

Versace Bright Crystal Absolu – ten zapach kojarzy mi się z latem.

STATYW I LAMPKA

To nieodłączne narzędzia mojej pracy w mediach społecznościowych. Dzięki nim mogę tworzyć wysokiej jakości treści w każdych warunkach, bez względu na oświetlenie czy podłoże. Są one niezastąpione, gdy muszę ekspresowo nagrać materiał lub zrobić zdjęcie.

PLATYNOWA PŁYTA

To pamiątka po hitowym musicalu Mamma Mia, w którym zagrałam główną rolę Sophie w Teatrze Muzycznym Roma w 2015 r.

Wysłuchał
Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, Paulina Laba-Torres, Karol Marik, Shutterstock

eprasa.pl 95fd45879a

Bez kultury i dziedzictwa narodowego

Samuel Pereira

Bartłomiej Sienkiewicz nie jest już ministrem kultury i dziedzictwa narodowego. Ta informacja, która niczym kometa z opóźnieniem docierała do planety Ziemia od grudnia ub.r., kryje w sobie więcej niż możemy sądzić.

Po pierwsze, kryje się za nią kolejne kłamstwo, coś, do czego wydaje się, że politycy Platformy Obywatelskiej chcą nas przyzwyczaić jeszcze bardziej niż dekadę temu. W końcu minister wykpiwał „plotki", zaprzeczał i zapewniał, że nie wybiera się do Parlamentu Europejskiego. „Nazwał PE »cmentarzyskiem słoni«. Teraz sam się tam wybiera. Sienkiewicz odchodzi z rządu" – czytamy na stronach rozgłośni radiowej Agory TOK FM. Jeszcze sześć tygodni temu Sienkiewicz twierdził w Polsat News, że nie wybiera się do europarlamentu. „Część polityków, mniej więcej w moim wieku, udaje się właśnie na coś w rodzaju cmentarzyska słoni, kiedy przychodzi ich czas. Ja mam co robić, dlatego wykpiłem te plotki, że mam tam wkrótce się znaleźć. Może kiedyś przyjdzie taki moment, ale raczej się nie wybieram" – powiedział wówczas Sienkiewicz. To „raczej" jest dziś tylko bladym cieniem twardych zapewnień, które w 2013 i 2014 r. składał Donald Tusk jako premier zarzekający się, że nie ma większego szczęścia niż rządzenie Polską i nie wybiera się do Brukseli. Ostatecznie okazało się, że tam właśnie dostał stołek, i to zaklepany już wcześniej, kosztem zgody na Nord Stream, czyli niemiecko-rosyjską rurę na dnie polskiego Bałtyku.

Po drugie, wysyłka Sienkiewicza jest dziś „zasłużoną nagrodą" polityczną, czyli zwieńczeniem jedynych dokonań, które ten polityk ma na swoim koncie, czyli zaorania instytucji kultury, mediów publicznych i dziedzictwa narodowego, czego symbolem są wszystkie instytucje mające podtrzymywać polską pamięć, a teraz mają utrzymywać pensje znajomych królika. To wszystko kilka dni po tym, gdy głośnym echem odbiła się debata z 2018 r. w Klubie Jagiellońskim, w trakcie której polityk otwarcie ogłosił, że Polska to peryferia Europy, wewnętrzna gospodarka Niemiec, a podmiotowość naszego kraju to sen, z którego powinniśmy się obudzić. Szkoda, że nigdy nie zdążyła mu się nawet przyśnić.

Walcząc o marzenia

Z Luną (Aleksandrą Wielgomas), polską reprezentantką na Eurowizji 2024, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jaki jest przekaz utworu, z którym wystąpi pani w szwedzkim Malmö podczas 68. Konkursu Piosenki Eurowizji?

Luna: „The Tower" mówi o odzyskiwaniu własnej siły, odwadze, walce o siebie, o swoje marzenia, swoją przyszłość. Takiego ducha wewnętrznej sprawczej mocy chciałabym przekazać zarówno utworem, jak i występem.

Czym zamierza pani przekonać publiczność Eurowizji?

Tajemnicą i dużą dawką emocji. Myślę, że wykonanie utworu na żywo, z całym show, przeniesie odbiorców do innego świata. Trochę baśniowego, surrealistycznego. Poza tym najważniejsze jest bycie sobą, zaprezentowanie siebie i własnej autentyczności.

Skąd się wzięła Luna? Czym lub kim się pani inspirowała, budując taki medialny wizerunek?

Czerpałam trochę ze świata baśni, trochę z poezji, trochę nawiązując do kosmicznej mocy Księżyca i gwiazd, w które uwielbiam się wpatrywać.

Przemknęły gdzieś postaci z filmowych serii „Zmierzch" i „Harry Potter"? Albo wybielone bohaterki średniowiecznych obrazów?

Jeśli już, to barokowa „Dziewczyna z perłą" Vermeera. Podobno bardzo ją przypominam. A w malarstwie cenię też surrealizm, zwłaszcza René Magritte'a.

Podobno wystąpi pani w bieli i czerwieni?

Tak, zaznaczony element polskości musi zostać zachowany, ale i w innych stylizacjach staram się zachowywać te barwy.

Co chciałaby pani osiągnąć podczas występu w Malmö?

Energetyczne i emocjonalne połączenie ze wszystkimi widzami. Poczucie wspólnoty. Nie bez powodu motto Eurowizji brzmi: „United by Music" („Zjednoczeni przez muzykę").

Fot. TVP

Internet i terroryzm

Marta Kaczyńska-Zielińska

Od 7 czerwca 2021 r. obowiązuje unijne rozporządzenie w sprawie zapobiegania rozpowszechnianiu w internecie treści o charakterze terrorystycznym (TERREG). Zgodnie z jego przepisami za treści o charakterze terrorystycznym podlegające usunięciu lub blokowaniu uznaje się materiały, które podżegają do popełnienia przestępstwa terrorystycznego; gdy takie materiały bezpośrednio lub pośrednio popierają popełnianie przestępstwa terrorystycznego i tym samym stwarzają niebezpieczeństwo popełnienia jednego lub większej liczby takich przestępstw; nakłaniają osobę lub grupę osób do popełnienia lub przyczynienia się do popełnienia przestępstwa terrorystycznego; nakłaniają osobę lub grupę osób do uczestniczenia w działaniach grupy terrorystycznej; udzielają instruktażu w zakresie wytwarzania lub stosowania materiałów wybuchowych, broni palnej, innych rodzajów broni lub trujących czy niebezpiecznych substancji albo w zakresie innych szczególnych metod lub technik w celu popełnienia lub przyczynienia się do popełnienia przestępstwa terrorystycznego; stwarzają zagrożenie popełnienia przestępstwa terrorystycznego. Rozporządzenie określa, że materiały, które podlegają usunięciu, obejmują teksty, obrazy, nagrania dźwiękowe i wideo, a także transmisje na żywo przestępstw terrorystycznych.

Zdaniem Komisji Europejskiej proces implementacji wymienionego aktu prawnego w Polsce nie jest wystarczający, w szczególności nie są wykonywane przepisy określające mechanizm usuwania z internetu treści o charakterze terrorystycznym. W ocenie KE obowiązujące w Polsce normy ustawy o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencji Wywiadu nie przewidują środków zapewniających natychmiastowe usuwanie takich treści internetowych, a jedynie ich blokowanie.

Za sprawą nowych przepisów, nad którymi pracuje obecny rząd, blokowanie wpisów potencjalnie uznawanych za spełniające kryteria rozporządzenia ma się stać znacznie sprawniejsze niż dotychczas. Według założeń do projektu ustawy o działaniach antyterrorystycznych główna rola w stosowaniu tych procedur zostanie powierzona szefowi ABW. Wyda on nakaz usunięcia przez dostawców usług hostingowych treści o charakterze terrorystycznym lub zablokowania dostępu do treści terrorystycznych oraz będzie nakładał kary administracyjne na podmioty, które się nie zastosują do tych poleceń. Dostawcom usług hostingowych oraz dostawcom treści, w stosunku do których szef ABW wydał nakaz usunięcia treści, będzie przysługiwało prawo do zaskarżania tych decyzji do właściwego sądu administracyjnego. Szef ABW zostanie także zobowiązany do prowadzenia całodobowego punktu kontaktowego właściwego do rozpatrywania wniosków o wyjaśnienie i informacje zwrotne dotyczące nakazów wydanych przez ABW, którego dane będą publicznie dostępne za pośrednictwem Biuletynu Informacji Publicznej na stronie ABW, a także przekazane do wiadomości KE.

Biorąc pod uwagę tempo obiegu informacji we współczesnych mediach i wydłużający się czas procedowania przez sądy, kontrola legalności usunięcia treści uznanych za rozpowszechniające terroryzm może się okazać iluzoryczna. Obecnie czas oczekiwania na rozpoznanie sprawy przez Naczelny Sąd Administracyjny to dwa lata. Z punktu widzenia świata informacji i podmiotów prowadzących działalność gospodarczą polegających na udostępnianiu platform to wyjątkowo długi okres, a jeszcze dłuższy zważywszy na to, że platformy internetowe muszą usunąć treści uznane za rozpowszechniające terroryzm w ciągu godziny od otrzymania nakazu ich usunięcia.

Jeżeli sąd administracyjny uchyli decyzję o usunięciu treści, to w kolejnym kroku przedsiębiorca lub użytkownik internetu będzie mógł dochodzić odszkodowania na zasadach ogólnych, pozywając Skarb Państwa reprezentowany przez szefa ABW przed sądem cywilnym. Podmiot, którego treści zostały wyeliminowane z obiegu informacji, będzie musiał udowodnić przed sądem szkodę, którą poniósł, co może oznaczać nie zawsze skuteczną, ale z pewnością czasochłonną i żmudną ścieżkę procesową.

REKLAMA

19/0424/F

eprasa.pl 95fd45879a

Polityczny sadomasochizm

Według „Słownika języka polskiego PWN” masochizm oznacza znajdowanie przyjemności w zadawaniu sobie cierpień lub w poddawaniu się im. Doznawanie satysfakcji pod wpływem bólu i upokorzenia już dawno wyszło poza sferę upodobań seksualnych (z ostrożności procesowej nie piszę „zboczeń seksualnych”, bo nie śledzę na bieżąco zmian legislacyjnych w tolerowaniu czy admirowaniu nagannych niegdyś zachowań).

Z masochizmem nierozłącznie kojarzy się sadyzm, tzn. znajdowanie przyjemności w zadawaniu komuś cierpień fizycznych lub psychicznych. Połączenie obu tych preferencji nasila się w naszym społeczeństwie proporcjonalnie do brutalizacji walki politycznej. Rozpalone do białej gorączki, skonfliktowane elektoraty walczących ze sobą frakcji opętane są dziś żądzą dokopania swym przeciwnikom za wszelką cenę. Nawet kosztem własnego dobrobytu, rozwoju, bezpieczeństwa, kosztem stawiania na szali przyszłości swoich dzieci i wnuków.

A przecież w Europie jesteśmy na uprzywilejowanej pozycji! Jako kraj „zapóźniony” w wyścigu do nowego porządku świata możemy na bieżąco obserwować plusy i minusy wprowadzanych w UE zmian. I korygować kurs, którym powinna zdążać Polska. Ale nie! Nie przerażają nas zupełnie niekontrolowane migracje roszczeniowych przybyszów z Afryki i Azji. Nie lękamy się nędzy z powodu uporczywego forsowania utopii Zielonego Ładu. Nie boimy się demograficznej zapaści wywołanej przez demoralizujące młodzież ideologie. Lekceważymy zagrożenia i nie sposobimy się do obrony, choć za naszymi granicami trwa regularna wojna. Niczym filmowy Kargul i Pawlak okładamy się sztachetami wyrwanymi z dzielącego nas płotu nienawiści plemiennej, tego jedynego spoiwa narodu i źródła chorej przyjemności wielu Polaków.

Ta wendeta, w której są zaciekle łamane wszystkie przykazania Dekalogu (w efekcie czego polegną z kretesem Prawda i Dobro), prowadzi wprost ku nieuchronnej zagładzie, przy której – parafrazując rtm. Pileckiego – II wojna światowa będzie tylko igraszką.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: M.KOTOWICZ/REPORTER, J.DUDEK/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK x8, BLAIR CALDWELL/PARKWOOD ENTERTAINMENT LLC

eprasa.pl 95fd45879a

Likwidator TVP Daniel Gorgosz (z lewej) oraz Tomasz Sygut, dyrektor generalny spółki

Likwidator z nieciekawą przeszłością

Zatrudniał w TVP „martwą duszę". Trzy sądy stwierdziły, że działał w ten sposób na szkodę spółki. Nie przeszkodziło to jednak ministrowi Sienkiewiczowi oddać mu władzę nad całą telewizją. Kim jest Daniel Gorgosz, za którym ciągną się prokuratorskie zarzuty i legenda człowieka bezwzględnego? Ujawniamy skandaliczne praktyki najważniejszego człowieka przy Woronicza

MAREK PYZA

Fot. PAP/TVP/Jan Bogacz

Gdy w styczniu Bartłomiej Sienkiewicz ogłosił, że to Daniel Gorgosz zostanie likwidatorem Telewizji Polskiej, na wielu zatrudnionych w TVP padł blady strach. Przesunięcie tego człowieka z funkcji dyrektora Biura Spraw Korporacyjnych (pełnił ją od grudnia, pierwotnie likwidatorem został ogłoszony Tomasz Sygut, który teraz jest przesunięty na stanowisko dyrektora generalnego) nie oznaczało nic dobrego ani dla spółki, ani dla jej pracowników.

Każdy wiedział, że likwidacja jest wyłącznie hasłem propagandowym, służącym nielegalnemu przejęciu TVP. Nazwisko Gorgosza wskazywało, że nowa władza

eprasa.pl 95fd45879a

wciąż nie będzie się przejmowała żadnymi przepisami ani zasadami – miała być brutalna rozprawa z „telewizją Kurskiego", nawet kosztem kondycji firmy, oglądalności i życiowych dramatów pracowników, często niemających nic wspólnego z pionem informacyjno-publicystycznym.

Historia, którą opisujemy, pokazuje, że Sienkiewicz wyznaczył na likwidatora postać zepsutą do szpiku, dojącą państwową spółkę i nader oszczędnie dysponującą prawdą w czasie sądowych zeznań.

10 stycznia br. Sąd Najwyższy odrzucił skargę kasacyjną, którą Daniel Gorgosz złożył od niekorzystnego dlań wyroku Sądu Okręgowego z 9 kwietnia 2021 r. Wtedy po raz drugi przegrał proces z TVP. Domagał się w nim wypłaty odprawy i odszkodowania za niezgodne z prawem (jego zdaniem) rozwiązanie z nim umowy w lutym 2016 r. Sądy obu instancji kategorycznie stwierdziły, że wyrzucenie Gorgosza z pracy było jak najbardziej na miejscu, bo ten dopuścił się „ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych" i narażenia pracodawcy na szkodę majątkową.

A zatem Gorgosz trzykrotnie przegrał z TVP w sądzie, udowodniono mu zatrudnianie „martwej duszy", a mimo to kieruje dziś całą spółką, która stała się politycznym łupem koalicji 13 grudnia.

Treść postanowienia Sądu Najwyższego jest ogólnodostępna w internecie. Akta spraw ze wcześniejszych instancji znajdują się w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy. Próbowaliśmy uzyskać do nich dostęp drogą oficjalną, lecz odmówiono nam tego. Powodu nie podano, a przecież rzecz dotyczy państwowej spółki i działania na jej szkodę przez obecnego szefa. Opinia publiczna ma pełne prawo poznać szczegóły tej sprawy, dotychczas skrzętnie ukrywanej.

Mimo odmowy dostępu do akt sądowych udało nam się poznać kulisy tej bulwersującej historii.

LISTY NIE(OBECNOŚCI)

Zaczyna się ona w 2012 r., gdy z Ośrodka Programów Regionalnych do Ośrodka Administracji (OA) TVP trafia Renata Chałas, dotychczas zatrudniona na stanowisku redaktora. O zmianę jednostki wnioskuje Daniel Gorgosz, pełniący wówczas funkcję dyrektora OA.

Prywatnie pani Renata jest żoną Jarosława Chałasa, prawnika doradzającego wtedy członkowi zarządu TVP Bogusławowi Piwowarowi. Do tego wątku jeszcze wrócimy.

Sądy ustaliły, że zmiana stanowiska i wiążąca się z nią podwyżka dla protegowanej Gorgosza to jeden wielki szwindel. Przede wszystkim dlatego, że kobieta nie pojawiała się w pracy, choć powinna to robić codziennie (nie miała zgody na pracę zdalną). W rzeczywistości odbywało się to sporadycznie, miała wchodzić do siedziby TVP na krótki czas, wstecznie podpisywać listę obecności i wychodzić. Kilkukrotnie miało się zdarzyć, że Chałas bywała w pracy przez kilka dni z rzędu po kilka godzin, lecz było to rzadkie odstępstwo od reguły niebywania przy Woronicza.

> Sądy obu instancji stwierdziły, że wyrzucenie Gorgosza z pracy w TVP było uzasadnione, bo ten dopuścił się „ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych" i narażenia pracodawcy na szkodę majątkową

W pewnym momencie bezpośredni przełożeni zbuntowali się i oświadczyli Gorgoszowi, że nie będą dłużej poświadczać nieprawdy w dokumentach, zatwierdzając sfałszowane listy obecności. Wtedy nazwisko Renaty Chałas jako jedyne trafiło na oddzielną listę, zatwierdzaną osobiście przez dyrektora. Potwierdziło to przed sądem siedmioro świadków. Jednocześnie nie byli oni w stanie wskazać, czym kobieta miała się zajmować w ich jednostce.

– Przez kilkanaście miesięcy spotkałam ją w firmie w sumie kilka razy, a powinnyśmy się widywać codziennie. Wiem, że o tej patologicznej sytuacji był informowany pan Gorgosz, a nawet pan prezes, ale nic z tym nie robili – słyszymy od jednej z pracownic Ośrodka Administracji. Kilkanaście minut po naszej rozmowie kobieta dzwoni ponownie. Tylko po to, by upewnić się, że jej nazwisko nie pojawi się w tekście. – To jest bardzo nieprzyjemne towarzystwo, nie chciałabym mieć z nimi znów do czynienia. Dawno zostawiłam tę sprawę za sobą i wolałabym już do niej nie wracać.

Gorgosz musiał się czuć zupełnie bezkarny, bo po kilkunastu miesiącach pozorowania pracy przez Chałas dał jej podwyżkę (z 5 do 7 tys. zł). Nie było to jednak wystarczającą zachętą do pojawiania się w firmie.

Kobiecie nie wyznaczono też zakresu obowiązków, inaczej niż w przypadku pozostałych zatrudnionych w tej jednostce. Stało się to dopiero po kolejnym monicie od przełożonych Chałas, po niemal dwóch latach od zatrudnienia, w dodatku w kontrowersyjnych okolicznościach, bo w tej czynności miał uczestniczyć jej mąż, którego część świadków opisywała jako kolegę Gorgosza, nie raz przesiadującego w dyrektorskim gabinecie.

Jak stwierdził warszawski Sąd Okręgowy, ustalone okoliczności w ewidentny sposób zmierzały do wyrządzenia szkody pracodawcy. Uznał również ponad wszelką wątpliwość, że Gorgosz miał świadomość, iż jeden z jego pracowników nie świadczył pracy lub czynił to jedynie w marginalnym zakresie.

Na polecenie Gorgosza Chałas dostała nawet swój własny pokój do pracy. Jak się okazało – zupełnie niepotrzebnie, bo w zasadzie w ogóle się w nim nie pojawiała. Gdy w 2016 r. komisyjnie otwarto to pomieszczenie w celu zabezpieczenia dokumentów i materiałów elektronicznych, ze zdziwieniem stwierdzono, że nie ma czego zabezpieczać, bo nie znaleziono żadnych materiałów. W komputerze przeznaczonym dla Chałas natrafiono jedynie na list referencyjny napisany dla niej przez dyrektora Gorgosza.

REFERENCJE DLA PREZYDENTA

Tu dochodzimy do kolejnego oburzającego wątku tej sprawy.

eprasa.pl 95fd45879a

W 2014 r. kancelaria prezydenta Bronisława Komorowskiego ogłosiła trzecią edycję Laboratorium Idei – Prezydenckiego Programu Eksperckiego, mającego stanowić fachowe zaplecze specjalistów z różnych dziedzin dla głowy państwa. Inicjatywę opisywano tak: „Stanowi interdyscyplinarną platformę wymiany doświadczeń, otwartą na dialog i przełamywanie schematów w celu wypracowywania innowacyjnych rozwiązań".

Okazuje się, że w gronie ekspertów Bronisława Komorowskiego widziała się również Renata Chałas. Widział ją tam także Daniel Gorgosz. Jego list referencyjny był wyjątkowy w dwójnasób – raz, że inaczej niż w innych przypadkach nie dał go do zweryfikowania i zaakceptowania bezpośrednim przełożonym Chałas, a dwa, że nie miał nic wspólnego z rzeczywistością.

Oświadczał bowiem, że Chałas „pełni funkcję starszego specjalisty w zakresie spraw prawnych, w ramach której zajmuje się przede wszystkim prawem zamówień publicznych, prawem ochrony środowiska, prawem handlowym i cywilnym. Do zadań pracownika należy m.in. sporządzanie i weryfikacja umów handlowych, wsparcie prawne przy przygotowaniu dokumentacji na potrzeby postępowań przetargowych, wsparcie prawne przy analizach stanu prawnego nieruchomości, prowadzenie dokumentacji wynikającej z prawa ochrony środowiska". Wszystko zmyślone, Chałas nie miała bowiem nic wspólnego z zagadnieniami prawnymi.

Kolejne zdanie jest już tylko brnięciem w fikcyjną opowieść: „Przy wykonywaniu obowiązków służbowych pani Renata wykazuje się sumiennością, rzetelnością, obowiązkowością, a także umiejętnością pracy w zespole". Sprostujmy, bo – jak ustaliły sądy – pani Renata wykazywała się czymś dokładnie odwrotnym: nieuczciwością i nieróbstwem, a o żadnej pracy w zespole nie mogło być mowy, skoro nasza bohaterka w pracy się nie stawiała. Możemy sobie tylko wyobrażać, jaki ubaw miał Gorgosz, pisząc do prezydenta Komorowskiego: „Pani Chałas wzorowo i z dużym zaangażowaniem wypełnia wszystkie powierzone jej zadania". Skoro jednak pani Chałas nie miała wyznaczonych zadań, to nie mogła ich nie wypełniać. A zatem – wzorowo nic nie robiła.

Ta laurka to było zbyt mało, by zaczarować urzędników kancelarii prezydenta. Pani Chałas nie dostała się do programu eksperckiego głowy państwa. Na pamiątkę tej brawury zostały jej sfałszowane referencje od Gorgosza.

Wysłaliśmy likwidatorowi 11 pytań. Chcieliśmy dowiedzieć się m.in., dlaczego zatrudnił Renatę Chałas, dlaczego dał jej podwyżkę, gdy nie wykonywała żadnej pracy, czy również dziś zatrudnia w TVP „martwe dusze", czy wywiązał się ze zobowiązań nałożonych przez sąd i wypłacił Telewizji Polskiej kilkanaście tysięcy złotych zasądzonych tytułem zwrotu kosztów postępowań sądowych, czy zamierza w jakikolwiek sposób naprawić szkody wyrządzone TVP poprzez fikcyjne zatrudnienie pani Chałas.

> W pewnym momencie bezpośredni przełożeni się zbuntowali i oświadczyli Gorgoszowi, że nie będą dłużej poświadczać nieprawdy w dokumentach, zatwierdzając sfałszowane listy obecności

Odpowiedział zbiorczo, stwierdzając m.in., że postępowania sądowe dotyczyły przyczyn rozwiązania z nim umowy o pracę w trybie natychmiastowym, a nie szczegółów związanych z zatrudnieniem pani Chałas. Problem w tym, że te szczegóły były sednem procesów – bo stanowiły powód jego zwolnienia, choć Gorgosz twierdzi, że ten był polityczny, a całą intrygę uszyła ekipa, która przejęła TVP w 2016 r. Dodaje, że „Telewizja Polska S.A. rządzona przez 8 lat przez ekipę PiS ani nikt inny nie postawił jakichkolwiek zarzutów wobec mnie i mojej pracy, nie złożono też żadnego zawiadomienia, nie podjęto jakichkolwiek kroków – poza wyrzuceniem z pracy. Historia została przygotowana na tyle dobrze, że sąd pracy podzielił stanowisko pracodawcy, tj. nie znalazł podstaw do kwestionowania tezy stanowiącej podstawę do rozwiązania ze mną umowy, związanej z brakiem prawidłowego nadzoru nad pracą wspomnianej pracownicy. Jednocześnie sąd podkreślił, że moje kwalifikacje na stanowisku ówczesnego dyrektora Ośrodka Administracji były niepodważalne".

Na koniec zaś straszy: „Proces w sądzie pracy wytoczyłem wyłącznie w celu ochrony moich świadczeń pracowniczych i wszelkie Państwa insynuacje zawarte w pytaniach nie znajdują podstaw. Pragnę nadmienić, że jakiekolwiek przejawy pomówienia, zniesławienia mojej osoby, naruszenia moich dóbr osobistych, spotkają się z adekwatną reakcją prawną".

Na szczegółowe pytania nie zechciał odpowiedzieć.

MĄŻ ADWOKAT TO SKARB

Skontaktowaliśmy się też z Jarosławem Chałasem, mężem pani Renaty, adwokatem, który swoją popularność zbudował m.in. na regularnych występach w TVP. To ekspert Business Centre Club ds. prawa gospodarczego, specjalizujący się w prawie korporacyjnym, fuzjach i przejęciach, a także reprezentujący np. Igę Świątek w jej sporze z agencją menedżerską Warsaw Sports Group.

Po informacji, że chcemy rozmawiać o fikcyjnym zatrudnieniu jego żony w Ośrodku Administracji TVP, zaśmiał się i stwierdził: – Ono nie było fikcyjne, za to było bolesne. Jeśli ktoś się znajdzie między dwiema skonfliktowanymi osobami, to dostaje cięgi. Wydawane są mu dyspozycje, które później jedna i druga strona przeciwko sobie wykorzystuje, a finalnie nikt nie chce się pod nimi podpisać.

Według mecenasa w Ośrodku Administracji jego żona miała paść ofiarą „konfliktu strukturalno-ideowego" między kierownikiem a jego zastępcą. Wskazujemy, że jednak trzy sądy potwierdziły, iż Renata Chałas brała wynagrodzenie, nie wykonując żadnej pracy.

– Ja pana mogę zatrudnić u siebie, oddelegować pana do mojego zastępcy, a on powie: „Proszę być pojutrze, może coś znajdę...".

– **Ale panie mecenasie, to „pojutrze" trwało kilkanaście miesięcy zanim przydzielono jej zakres obowiązków.**

eprasa.pl 95fd45879a

Czy wraz z odejściem z rządu Sienkiewicza Gorgosz pożegna się ze stanowiskiem?

– Nie, to nie jest tak, że jej nigdy nie było, bo były kamery itd. A sądy jakie były, takie były i pan o tym doskonale wie. Mogę panu przedstawić, jakie były orzeczenia – zawsze na korzyść TVP. O czym my w ogóle rozmawiamy?

– **Chciałem pana jako prawnika poprosić o ocenę sytuacji, w której pracownik przyjeżdża raz na dwa tygodnie, podpisuje wstecznie listę obecności i wyjeżdża.**

– To nieprawda.

– **Sądy stwierdziły, że jednak tak.**

– Sąd nie uznał określonych dowodów, nie poprosił np. o zdjęcia z kamer.

Jak dodał mecenas Chałas, jego żona została skrzywdzona przez przełożonych z TVP, czego sądy nie dostrzegły. – Zawsze mówię swoim klientom: sąd to jest najbardziej katastrofalne rozwiązanie. Mediujcie, negocjujcie, a sąd odradzam – tu prawnik zaskoczył swoją nieufnością wobec wymiaru sprawiedliwości.

Zapytany, czy uczestniczył w formułowaniu zakresu obowiązków swojej żony, kategorycznie zaprzeczył: – Oczywiście, że nie. Jak by pan prześledził moją karierę, to prócz podatków jest jedna dziedzina prawa, której nie dotykam, bo mam do niej awersję. To prawo pracy. Jeśli znajdzie mnie pan gdzieś zajmującego się prawem pracy, to ma pan bardzo dobry koniaczek.

Koniaczkiem nie byliśmy zainteresowani, ale chętnie odpowiedzieliśmy na pytanie, skąd nasza dociekliwość odnośnie do pani mecenasowej.

– Boże, ona taka ważna się zrobiła? A ja ją tak lekceważyłem.

– **Nigdy nie należy lekceważyć małżonki.**

– A czemu jest taka ważna?

– **Bo wokół jej sprawy doszło do istotnego sporu prawnego między ważnym dyrektorem z TVP a całą spółką.**

– Gorgoszem, który jest teraz likwidatorem!

– **Tak, dziś ten ważny dyrektor rządzi całą telewizją.**

– Już teraz rozumiem. Gorgosz jako likwidator wrócił! Ja się z nim akurat nie lubię, nawet tak osobiście.

– **A dlaczego?**

– Nie chcę wieszać na nikim psów. Ale powiem panu, że nie sympatyzujemy ze sobą.

– **Czy pan też uważa go za człowieka niebezpiecznego, jak większość moich rozmówców?**

– Nie odpowiem. Niech pan nie będzie taki sprytny.

– **Ale to on zatrudnił pana żonę w Ośrodku Administracji.**

– Wydaje mi się, że to nie działo się na jego wniosek. To uzgodnił dyrektor innego działu, w którym pracowała wcześniej i to się zadziało poza nią. Jej najbardziej ulubione miejsce w telewizji to była Polonia. Ona zna cztery języki, dobrze się tam czuła.

To ciekawe, bo przed sądem sam Gorgosz stwierdził, że składał wniosek o zatrudnienie Chałas w OA, choć twierdził, że zrobił to na ustne polecenie Bogusława Piwowara. Sąd nie uwierzył jednak w tę spychologię.

Na koniec mecenas zarzekł się, że dziś ani on, ani jego kancelaria nie współpracują z TVP. Obiecał zapytać żonę, czy z nami porozmawia, choć zastrzegł, że raczej nie będzie miała na to ochoty. I rzeczywiście, do chwili zamknięcia tego numeru „Sieci" państwo Chałasowie już się nie odezwali.

WIĘCEJ „MARTWYCH DUSZ"?

Historia z Renatą Chałas, a w jej efekcie dyscyplinarne zwolnienie Gorgosza to niejedyny element jego zawodowej biografii, którym nie ma co się chwalić. Załóżmy, że Bartłomiej Sienkiewicz jej nie znał – co jest mało prawdopodobne, bo przy Woronicza wielu wiedziało, że dyrektor administracji „poleciał" w trybie nagłym, a później sądził się z telewizją. Nawet jeśli jednak ministrowi umknęła ta wiedza, musiał słyszeć inne doniesienia o swoim wybrańcu.

– Był działaczem młodzieżówki SLD. Tyle o nim wiedzieliśmy. Na korytarzach plotkowano, że blisko zaprzyjaźnił się z jednym z ważniejszych dyrektorów, dzięki czemu robił zawrotną karierę. Szybko został dyrektorem biura kadr, a później Ośrodka Administracji, a przecież wcześniej nie miał żadnego doświadczenia ani w mediach, ani na kierowniczych stanowiskach w biznesie – opowiada nam były wysoko postawiony pracownik z Woronicza. Jak dodaje, Gorgosz próbował wyprowadzać na zewnątrz spółki wszystko, co się dało: – To był ekstremalny outsourcing, który miał objąć nawet usługi logistyczne, telewizyjny warsztat i serwis sprzątający.

Nasz rozmówca kategorycznie prosi o anonimowość: – Nie jestem strachliwy, sporo widziałem, ale takich ludzi wolałbym omijać szerokim łukiem. Są naprawdę nieobliczalni.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 95fd45879a

Inny z informatorów wspomina taką anegdotę z 25 października 2015 r.: – Na dziewiątym piętrze nerwowo czekano na wynik wyborów parlamentarnych. Cisza wyborcza jeszcze trwała, ale pojawiła się informacja, że PiS wygrał. Prezes Daszczyński stwierdził na to: „To mamy przej... ne. A niektórzy pójdą siedzieć" – tu popatrzył na Gorgosza, który szybko wyszedł z tego spotkania.

– Zetknąłem się jako prezes z sytuacją, w której moi poprzednicy wyrzucili go dyscyplinarnie, a mi przypadło tylko podtrzymanie stanowiska już w procedurze odwoławczej. Po konsultacji z dyrektorami, którzy potwierdzili, że mieliśmy do czynienia z oczywistym deliktem fikcyjnego zatrudniania jakichś osób – pamiętam, że chodziło o dwie – sprawa została podtrzymana, a później telewizja wygrała spór sądowy z panem Gorgoszem we wszystkich instancjach. Ten człowiek jest więc prawomocnie przegrany w sprawie o kumoterstwo i fikcyjne zatrudnianie. To, że taką postać zrobiono likwidatorem TVP, jest hańbą i gwałtem na porządku prawnym oraz kulturze i standardach demokratycznych – mówi nam Jacek Kurski.

Były prezes Telewizji Polskiej nie pamięta szczegółów tej sprawy, ani nazwisk fikcyjnie zatrudnianych osób. Możliwe więc, że drugi przypadek, o którym wspomina, był związany z historią zatrudniania w bufecie TVP. Aby ją przypomnieć, warto się cofnąć do początków kariery Gorgosza przy Woronicza, bo pokazuje ona polityczne konteksty jego działań.

– Proszę pamiętać, że on był związany z Grzegorzem Napieralskim. Do telewizji przyszedł prosto z biura SLD, był ich człowiekiem w TVP. Gdy jednak w 2011 r. władzę nad telewizją przejęła Platforma, Gorgosz wykonał zwrot i zaczął wiernie służyć nowym panom. Jak on musiał wkurzyć czerwonych, skoro Urbanowe „Nie" napisało duży artykuł o jego przekrętach, nie zostawiając na nim suchej nitki – słyszymy od jednego z byłych telewizyjnych dyrektorów, który przepracował w spółce ponad dwie dekady.

Nasz rozmówca pije do publikacji „Ssaki telewizyjne", która była ciężkim oskarżeniem wobec Gorgosza. Według artykułu (zgodność jego treści z faktami potwierdza też kilku naszych informatorów) dyrektor miał wskazać dwie osoby do pracy w telewizyjnej stołówce.

Po kilku tygodniach miał się domagać od kierownika nadzorującego bufet wypłaty nadgodzin swoim protegowanym, choć nigdy nie pojawili się oni w pracy. Jednym z nich miał być osobisty trener Gorgosza (jego podstawowe wynagrodzenie opiewało na 4 tys. zł – nie tak dużo jak na telewizyjne standardy, lecz pamiętajmy, że było to 11 lat temu). Gdy kierownik zaoponował, Gorgosz miał rzucić: „Jak podpisywałeś lipę przez dwa miesiące, to teraz musisz podpisywać. Inaczej cię umoczę".

„Nie" pisało też o innych skandalach, np. poleceniu sporządzenia analizy dotyczącej wywozu śmieci i ich segregacji pod kątem nowych przepisów wprowadzonych przez Radę Warszawy. Odpowiedzialna za ten obszar kierownik odmówiła, wskazując, że stawki są zawarte w uchwale rady, więc telewizja nie ma na nie wpływu. Ekspertyza jednak powstała i nie sporządziło jej Biuro Prawne TVP (choć to obszar jego zainteresowań), lecz firma zewnętrzna. Za 47 tys. zł.

> To nie koniec kłopotów Gorgosza z prawem. Prokuratura w Rypinie postawiła mu zarzuty po śledztwie dotyczącym przekrętów w tamtejszym szpitalu

Kolejne zatrudnienie „po uważaniu" dotyczyło „pani Lusi". Jak pisało „Nie", chodziło o kobietę nazywaną „teściową Gorgosza prawem kaduka", matkę jego przyjaciela, która na kilku zleceniach dla telewizji miała zarobić ponad 60 tys. zł.

Nieprawidłowości było ponoć tak dużo, że informowany o nich Bogusław Piwowar z zarządu spółki miał się zrzec nadzorowania pionu administracji, co wziął na siebie prezes Juliusz Braun.

Opisywanymi przez gazetę Urbana narażeniami TVP na straty przez Gorgosza zajmowała się prokuratura. Jednak śledztwo zostało na początku 2015 r. umorzone.

GORGOSZ NIETYKALNY?

To nie koniec kłopotów Daniela Gorgosza z prawem. Prokuratura Rejonowa w Rypinie postawiła mu zarzuty po śledztwie dotyczącym przekrętów w tamtejszym szpitalu. Gorgosz był tam kierownikiem ds. administracji, kontrolingu i zamówień publicznych. Miał poświadczyć nieprawdę w dokumencie i przyczynić się do straty placówki w wysokości ponad 5,5 mln zł, za co grozi pięć lat więzienia. Proces w tej sprawie trwa przed włocławskim sądem okręgowym.

Gdzie nie zajrzeć – tam problemy. Minister Sienkiewicz dokonał rzeczy niezwykłej, trudno bowiem wyobrazić sobie postawienie na czele TVP postaci z większym negatywnym bagażem, bardziej skompromitowanej. Czy Daniel Gorgosz pożegna się z dobrze płatnym stanowiskiem (blisko 50 tys. zł) wraz z odejściem z rządu Sienkiewicza?

– Przy Woronicza chłopaki zaczęli się martwić, gdy minister ogłosił swoją dymisję. Teraz cała telewizja czeka do 10 maja na rekonstrukcję rządu i rekonstrukcję zarządu TVP. Może było tak, że Sienkiewicz wziął Gorgosza, mając świadomość, że są na niego kwity, więc będzie grzecznie wykonywał wszystkie polecenia, a jeśli nie wykona, to sam zostanie wykończony. Ale przecież on lubi takie zadania i chętnie je wypełnia, to właściwy człowiek na właściwym miejscu. Skoro robił takie wałki, gdy był ledwo dyrektorem Ośrodka Administracji, to co się dzieje przy Woronicza teraz, gdy rządzi całą spółką? – pyta retorycznie jeden z funkcyjnych pracowników, którego Gorgoszowa miotła jeszcze nie dosięgła.

W operacji pacyfikacji TVP najwyraźniej nie chodziło o zatrudnienie dobrego menedżera, lecz skutecznego zamordysty, który odpowiednio wyczyści firmę, nawet kosztem jej ewidentnych strat. A te są bezprecedensowe. Gigantyczne spadki oglądalności, finansowa katastrofa i tandetna oferta programowa – oto „dokonania" obecnego likwidatora Telewizji Polskiej. A także samego Sienkiewicza, który zadowolony z siebie zamierza przeprowadzić się do Brukseli.

eprasa.pl 95fd45879a

Zielony kataklizm

Każdy z nas kosztem obniżenia własnego standardu życia sfinansuje zielony projekt Unii Europejskiej. Jest to wielki drenaż naszych portfeli, czeka nas bowiem transfer pieniędzy na niespotykaną dotąd skalę, którymi pod pozorem walki o klimat zasilimy konta globalnych korporacji. Czy taki scenariusz miał na myśli Donald Tusk, gdy mówił o swojej codziennej, ciężkiej pracy nad zapewnieniem Polakom bezpieczeństwa i dobrobytu?

KONRAD KOŁODZIEJSKI

10 maja NSZZ „Solidarność" organizuje w Warszawie wielki protest przeciwko Zielonemu Ładowi. Do wyjścia na ulice skłonił związkowców nowy podatek ETS2, na którego wprowadzenie niedawno zgodziła się Polska. Klimatyczny haracz, który obejmował do tej pory głównie kopalnie, elektrownie i zakłady przemysłowe emitujące gazy cieplarniane, zostanie rozszerzony na kolejne branże – przede wszystkim transport i mieszkalnictwo. Oznacza to dalsze podwyżki cen energii i ogrzewania oraz wymóg kosztownej termomodernizacji budynków.

Według obliczeń ekonomisty Marka Lachowicza rachunki dla przeciętnego gospodarstwa domowego w Polsce wzrosną rocznie o ok. 1560 zł., ale tylko pod warunkiem, że nie dojdzie do spekulacji w handlu emisjami CO_2. W przeciwnym razie ceny emisji pójdą w górę znacznie bardziej i koszty dla gospodarstw domowych okażą się jeszcze wyższe – w najgorszym przypadku w 2030 r. zapłacimy ponad 7 tys. zł rocznie więcej niż teraz, a w 2040 r. nawet 10 tys. zł więcej. „Jeśli cię na to nie stać, to zapraszamy na demonstrację" – piszą związkowcy z Solidarności w mediach społecznościowych.

W PONUREJ TONACJI

Warto zauważyć, że ETS2 to niejedyny koszt związany z Zielonym Ładem. Jak się prognozuje, osiągnięcie przez Polskę neutralności klimatycznej w 2050 r. będzie kosztowało 2,4 bln euro, czyli ponad 11 bln zł. W przeliczeniu na czteroosobową rodzinę daje to ok. 3,5 tys. zł miesięcznie. Mówiąc krótko, każdy z nas kosztem obniżenia własnego standardu życia sfinansuje zielony projekt Unii Eu-

eprasa.pl 95fd45879a

ropejskiej. Jest to wielki drenaż naszych portfeli, czeka nas bowiem transfer pieniędzy na niespotykaną dotąd skalę, którymi – pod pozorem walki o klimat – zasilimy konta globalnych korporacji. Niewielkiej grupie 10 proc. najbogatszych, którzy odpowiadają dziś za ponad 50 proc. światowej emisji CO_2, będzie się dzięki temu żyło lepiej niż dotąd, ale pozostali będą musieli się na to zrzucać.

To gigantyczna rewolucja nie tylko w wymiarze ekonomicznym czy ideologicznym, lecz także społecznym. Jeśli się powiedzie, rządząca dziś UE liberalna oligarchia przekształci się w ponadnarodową klasę panującą, a obywatele państw

Fot. Shutterstock

europejskich zostaną zdegradowani do roli jej poddanych. Nie dziwi więc determinacja, z jaką – mimo wojny na Ukrainie i wielu innych zagrożeń – jest wdrażany Zielony Ład. Unijne instytucje hurtowo przyjmują kolejne pakiety klimatyczne, aby zdążyć przed nadchodzącymi wyborami europejskimi, których wyniki mogą pokrzyżować plany wspólnotowej oligarchii. Chyba po raz pierwszy stawka tych wyborów będzie tak wysoka, bowiem ich rezultaty przełożą się bezpośrednio na życie każdego z nas.

Przyszłość Unii nie rysuje się w wesołych, zielonych barwach. Dominują raczej ciemne, ponure kolory. Obecna polityka eurokratów prędzej czy później musi doprowadzić do wybuchu ostrych konfliktów wewnętrznych, których pierwsze przejawy są zresztą widoczne od kilku lat.

UE miała zapewnić Europejczykom spokojne, dostatnie życie, jednak niepohamowana chciwość unijnych oligarchów prowadzi nas w przeciwnym kierunku. To oni masowo ściągali imigrantów z Afryki i Azji, aby obniżyć koszty pracy, czym doprowadzili do destabilizacji całego kontynentu, oni również – promując interesy globalnych korporacji – spowodowali upadek i ucieczkę przemysłu z Europy oraz pauperyzację klasy średniej. Teraz pod hasłami Zielonego Ładu posuwają się jeszcze dalej, niszcząc kolejne branże gospodarki, przede wszystkim rolnictwo, i przerzucając koszty swojej szkodliwej polityki na barki zwykłych Europejczyków. W naturalny sposób rodzi to pytanie o bilans zysków i strat wynikający z członkostwa w Unii Europejskiej w jej obecnym kształcie. Wydaje się, że coraz więcej osób – również w Polsce, czego dowodzą kwietniowe badania IBRiS dla „Rzeczpospolitej" – dostrzega więcej wad niż zalet dzisiejszej UE.

Można się więc spodziewać, że już w nieodległej przyszłości kształt Unii i jej przyszłość będą kwestionowane. W Polsce takie głosy, do niedawna marginalne, także będą narastać, bo Zielony Ład nada dynamiki temu procesowi, a obecność w UE stanie się prawdopodobnie ważną, być może nawet najważniejszą osią sporu politycznego w Polsce. Majowy marsz Solidarności i protesty rolników są tego pierwszym poważnym zwiastunem.

FALA ZWOLNIEŃ

Zielony Ład jest jeszcze w powijakach, ale już teraz można dostrzec jego negatywny wpływ na polską gospodarkę. Według informacji GUS produkcja przemysłowa w Polsce spadła w marcu aż o 6 proc. w skali rok do roku. To największy taki spadek od maja ub.r., a przy tym zupełnie niespodziewany – ekonomiści prognozowali bowiem, że wyniesie on zaledwie 1 proc. Najmocniej została uderzona branża urządzeń elektrycznych (spadek 29,1 proc. r/r) oraz górnictwo węgla kamiennego i brunatnego (spadek 25,9 proc. r/r). Oberwały również produkcja napojów, przemysł metalurgiczny, odzieżowy i maszynowy.

W tym kontekście bardzo fałszywie zabrzmiały słowa Donalda Tuska, który w połowie kwietnia zapewniał o swojej codziennej, ciężkiej pracy nad zapewnieniem Polakom bezpieczeństwa i dobrobytu. „Niezwykle ważne jest budowanie pozytywnej atmosfery wokół Polski, tak żeby była traktowana przez wszystkich jako miejsce, które wymaga inwestowania i pomocy w razie potrzeby. Nad tym w tej chwili każdego dnia ciężko pracuję i efekty powoli widać" – zapewniał Tusk.

Efekty rzeczywiście widać, ale chyba nie takie, jakimi chciał pochwalić się szef rządu.

Oto w ciągu pierwszych trzech miesięcy br. przez Polskę przetoczyła się fala zwolnień grupowych. W ponad 90 przedsiębiorstwach zapowiedziano odejście ok. 8 tys. pracowników. Ta fala, która dopiero nabiera impetu, objęła w pierwszej kolejności duże koncerny zagraniczne, choć nie tylko. I tak bank ING zamierza zwolnić 1,1 tys. osób, BNP Paribas – 900, a koncern Nokia – 800. Z Płocka wynosi się (podobno do Maroka) amerykański potentat dżinsowy Levi Strauss (800 osób na bruk), co urasta do rangi symbolu, jeśli się pamięta, jakim sukcesem odtrąbiono ściągnięcie Levisa do Płocka w 1992 r. przez ówczesnego senatora Andrzeja Celińskiego. Zamyka się także przemysł motoryzacyjny, zwłaszcza produkcja autobusów, która do tej pory była jedną z polskich specjalności. Swoje zakłady w Słupsku zamyka należąca do Volkswagena szwedzka Scania (700 osób do zwolnienia), a z Wrocławia wyprowadza się Volvo Buses (400 osób). Dodatkowo koncern Stellantis zwolni 468 osób ze swojej fabryki w Bielsku-Białej (dawny Fiat), a francuski Michelin zapowiedział likwidację linii produkującej opony do

eprasa.pl 95fd45879a

samochodów osobowych w Olsztynie, co będzie się wiązało ze zwolnieniem 500 osób. Z kolei 600 pracowników zwolni zajmujący się produkcją urządzeń elektrycznych zakład ABB w Kłodzku.

Do tej ciągle powiększającej się listy można dorzucić jeszcze zakłady IKEA w Goleniowie, papiernię MM Kwidzyń czy liczne firmy z branży informatycznej. Również Poczta Polska planuje zwolnienie kilka tysięcy osób – zdaniem związków zawodowych może być mowa o 10 tys. ludzi wyrzuconych na bruk, co w praktyce doprowadzi do paraliżu publicznych usług pocztowych. Młodzi mieszkańcy miast korzystający z usług prywatnych lub zagranicznych firm kurierskich być może nie odczują tak dotkliwie braku poczty, ale na wsi i wśród osób starszych brak listonosza na pewno będzie dużym problemem.

Co to wszystko ma wspólnego z Zielonym Ładem? Otóż bardzo dużo. Najczęściej pojawiającym się uzasadnieniem zwolnień i likwidacji produkcji są bowiem zbyt gwałtownie rosnące koszty, w szczególności energii. To pokazuje, jak mści się dzisiaj brak energetyki jądrowej w Polsce. Co więcej, rząd Tuska, który podobno tak ciężko pracuje nad stworzeniem w Polsce przyjaznego miejsca do inwestowania, prowadzi dziwną grę na zwłokę wokół elektrowni atomowych. Tymczasem bez szybkiej budowy nowych siłowni polska gospodarka, ciągle oparta na węglu, za kilka lat stanie się niekonkurencyjna i po prostu zawali się pod ciężarem wysokich opłat emisyjnych nakładanych w ramach Zielonego Ładu. Dzisiejsza fala zwolnień będzie zaledwie drobnym podmuchem w porównaniu z gigantycznym tsunami, które spustoszy wówczas Polskę.

Obce koncerny zwijają się z naszego kraju również z powodu rosnących kosztów pracy. To akurat pozytywne i naturalne zjawisko. Wreszcie po wielu dekadach, a może nawet stuleciach przestajemy być rezerwuarem taniej siły roboczej i cudzą montownią. Problem w tym, że obecny rząd nie ma żadnego pomysłu, jak to wykorzystać i wejść do gospodarczej pierwszej ligi. Wręcz przeciwnie. Oprócz energetyki jądrowej blokowane są przecież także inne inwestycje rozwojowe, takie jak CPK, rozbudowa sieci kolejowej czy terminali kontenerowych. Tymczasem polska gospodarka już zaczyna zwalniać, a gdy dopadnie ją Zielony Ład, zostanie całkiem zduszona. Jeśli to jest świadoma strategia, należy zadać pytanie, czyim interesom ma ona służyć.

LUKSUS DACHU NAD GŁOWĄ

Kwestia, na ile mamy do czynienia ze świadomą strategią, a na ile ze zwykłym brakiem kompetencji pojawia się chociażby w kontekście działań prowadzonych przez stojącą na czele Ministerstwa Klimatu i Środowiska Pauliny Hennig-Kloski z Polski 2050. Poczynając od jej roli (jeszcze jako posłanki) w aferze wiatrakowej i kończąc na ostatniej wpadce legislacyjnej, której skutkiem może być fala bankructw wywołana pełnym uwolnieniem od połowy roku cen energii dla mikroprzedsiębiorstw, a także dla małych i średnich firm.

> Polska gospodarka już zaczyna zwalniać, a gdy dopadnie ją Zielony Ład, zostanie całkiem zduszona. Jeśli to jest świadoma strategia, należy zadać pytanie, czyim interesom ma ona służyć

Ceny energii elektrycznej dla gospodarstw domowych oraz podmiotów publicznych mają być wprawdzie zamrożone do końca roku, ale na wyższym poziomie niż teraz, co oznacza, że podwyżki są nieuniknione. W przypadku uwolnienia cen ich skok może być kosmicznie wysoki, ponieważ większość prądu wytwarza się w elektrowniach na paliwa kopalne. Elektrownie, które słono płacą za uprawnienia do emisji, wliczają ten koszt do naszych rachunków za prąd. W efekcie więc każdy z nas musi płacić za emisję CO_2.

Rosną także, i to mocno, ceny ogrzewania oraz gazu. Zgodnie z zasadami Zielonego Ładu – jak już o tym wspomniano – zostaną one podwyższone o podatek ETS2, który ma wejść w życie najwcześniej w 2027 r. Zapłacą go m.in. posiadacze kotłów gazowych i węglowych oraz właściciele aut spalinowych. W tym ostatnim przypadku przełoży się to na wzrost kosztów transportu. Wiele miejsc zostanie odciętych od reszty świata, bo mniej zamożnych, zwłaszcza na wsi, nie będzie stać na utrzymanie starego samochodu, a tym bardziej kupno elektryka. Zresztą nawet gdyby było ich na to stać, to brakuje – i pewnie jeszcze długo będzie u nas brakować – wydolnej infrastruktury energetycznej zapewniającej odpowiednio wysoki poziom zasilania. Nawet bogata Szwajcaria w obawie przed brakami energii rozważa czasowe ograniczenia w ruchu aut elektrycznych.

W odróżnieniu od podatku nałożonego na samochody spalinowe dopłaty do ogrzewania nie zostaną naliczane bezpośrednio właścicielom domów i mieszkań, ponieważ uprawnienia do handlu paliwami kopalnymi będą musiały nabywać firmy dostarczające energię. Przedsiębiorstwa te prawdopodobnie doliczą nowy podatek do cen energii lub surowca (np. węgla czy oleju opałowego). Każdy dom będzie posiadał klasę energetyczną – im niższą, tym więcej zapłacimy za dostarczaną energię. Co więcej, domu z dużym zużyciem energii prawdopodobnie nie uda się nam sprzedać.

Wysokie rachunki mają zmusić odbiorców do przestawienia się na odnawialne źródła energii (takie jak fotowoltaika zasilająca pompę ciepła) oraz inwestycji w termomodernizację budynków, aby podwyższyć ich klasę energetyczną. Z danych Głównego Urzędu Nadzoru Budowlanego wynika, że będzie to dotyczyło aż 17 mln gospodarstw domowych, bo tyle łącznie budynków jest ogrzewanych gazem lub węglem.

Czasu na kosztowne inwestycje nie będzie wiele, bo zgodnie z Zielonym Ładem wszystkie budynki w Unii muszą osiągnąć zerową emisję do 2050 r., przy czym te o najgorszej klasie energetycznej będą miały znacznie krótsze terminy, począwszy od 2030 r. W efekcie koszty

eprasa.pl 95fd45879a

utrzymania gwałtownie wzrosną, a stary dom lub mieszkanie dla wielu – zwłaszcza uboższych lokatorów – mogą się okazać finansową pułapką. Zielony Ład podbije także koszty budownictwa mieszkaniowego, bo od 2030 r. każdy oddany budynek będzie musiał spełniać surowe rygory klimatyczne, co naturalnie przełoży się na wysoką cenę nowych nieruchomości.

Niewykluczone więc, że oprócz fali zwolnień i bankructw grozi nam także fala eksmisji. Zapewne jednak stare, niezmodernizowane domy, z których pozbyto się właścicieli i lokatorów, chętnie wezmą za bezcen landlordowie i rozmaici spekulanci. Im Zielony Ład przyniesie hossę.

WYGASZANIE WSI

Kiedyś przed kataklizmami mogło chronić zaszycie się na odległej wsi. Dzisiaj to także niemożliwe, ponieważ Zielony Ład wedrze się wszędzie. Wieś chyba najmocniej odczuje skutki klimatycznej transformacji, bo tu jest najwięcej starych domów i zużywa się mnóstwo paliw kopalnych (traktory, maszyny rolnicze, opał, a także samochody, bo przecież brakuje komunikacji publicznej). Gigantyczne koszty, które w związku z Zielonym Ładem szykuje rolnikom Unia, zostaną dodatkowo pomnożone nowymi wymogami polityki rolnej. Do tej pory Bruksela promowała model wielkopowierzchniowych gospodarstw nastawionych na zysk. Gdy wielu rolników zainwestowało w tego rodzaju produkcję, UE zażądała od nich powrotu do ekologicznej gospodarki. Koszt takiej transformacji, o ile w ogóle jest możliwa, byłby ogromny, nic więc dziwnego, że rolnicy protestują niemal w całej Unii.

> Zielony Ład wedrze się wszędzie. Wieś chyba najmocniej odczuje skutki klimatycznej transformacji, bo tu jest najwięcej starych domów i zużywa się mnóstwo paliw kopalnych

Być może zresztą chodzi o coś zupełnie innego – o likwidację rolnictwa jako istotnej branży gospodarki w wielu krajach i przekształcenie rolników w najemnych, niskopłatnych robotników. Taki scenariusz stawiałby w uprzywilejowanej pozycji wielkie agroholdingi, przede wszystkim te, które produkują żywność po bardzo niskich kosztach poza Unią i sprowadzają ją do Europy. Oznaczałoby to jednak nie tylko narażenie na szwank bezpieczeństwa żywnościowego UE, lecz także utratę całej klasy społecznej, jaką są dziś rolnicy wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami – zarówno ekonomicznymi, jak i politycznymi oraz cywilizacyjnymi.

W Polsce zapaść rolnictwa to nie tylko utrata dochodowej i ważnej strategicznie gałęzi gospodarki, lecz także powstanie rozległych obszarów ubóstwa i bezrobocia na prowincji, bo rolnictwo wciąż jest u nas źródłem wielu miejsc pracy. Mogą więc powrócić obrazki z epoki Balcerowicza, gdy likwidacja PGR wepchnęła w biedę tysiące ludzi. Wzbogaciłyby się za to różne fundusze inwestycyjne oraz zagraniczne korporacje rolne, które mogłyby tanio skupować ziemię upadających gospodarstw.

Być może niektórzy z państwa zastanawiają się, czemu tyle miejsca w artykule poświęciłem skutkom Zielonego Ładu i ani słowem nie wspomniałem o klimacie. Otóż dlatego, że w Zielonym Ładzie prawie w ogóle nie chodzi o klimat. To tak jak z bateriami do samochodów elektrycznych – nikt rozsądny chyba nie sądzi, że produkcja tego rodzaju napędu ma cokolwiek wspólnego z ekologią. Zielony Ład w obecnym kształcie to tylko zasłona dymna, za którą unijna oligarchia betonuje swoją władzę, a bogaci rentierzy bezkarnie przetrzepują nasze portfele. Nic więcej.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 95fd45879a

STANISŁAW JANECKI

Manewry europejskie

Ugrupowania startujące w wyborach do Parlamentu Europejskiego chcą załatwić przy tej okazji o wiele więcej spraw, niż są w stanie. Jedni dostają miejsca w nagrodę, inni po to, by nie przeszkadzać w kraju

Tyle różnych dodatkowych spraw partie podpięły pod wybory europejskie, że przestały być one tylko wymianą posłów w Parlamencie Europejskim. Chodzi o ustalenie, czy też skorygowanie, hierarchii w ugrupowaniach. O przebudowę ich kierownictwa – jak w przypadku Platformy Obywatelskiej. O osłabienie bądź wzmocnienie poszczególnych polityków. Odstawienie na boczny tor tych, którzy się już wypalili albo stracili wpływy. A poza tym o nagradzanie za zasługi i karanie za błędy.

Niektórzy politycy sami się usunęli (jak Tomasz Poręba z PiS), inni jeszcze walczą, choć ich los jest chyba przesądzony. Liderzy mówią, że to najważniejsze wybory, dlatego trzeba rzucić do walki wszystko, co najlepsze. I w efekcie wręcz zmiażdżyć rywali.

Jeśli chodzi o to miażdżenie, raczej nie powtórzą się wyniki wyborów z 2019 r., gdy zwycięskie PiS otrzymało 45,38 proc. głosów, a tym samym prawie 52 proc. wszystkich mandatów. W 2019 r. padł absolutny rekord frekwencji – 45,68 proc., podczas gdy wcześniej nigdy nie przekroczyła ona 25 proc. (2014 r. – 23,83 proc., 2009 r. – 24,53 proc., 2004 r. – 20,87 proc.). Co oznacza, że wybory europejskie angażują przede wszystkim twarde elektoraty.

W 2024 r. frekwencja nie musi być rekordowa i raczej nie będzie (może wynieść trochę ponad 30 proc.), gdyż szczyt zaangażowania wyborców przypadł na 15 października 2023 r., zaś w wyborach samorządowych był już spory zjazd. A jeśli tak, to kampania wyborcza jest kierowana przez poszczególne ugrupowania głównie do zdecydowanych zwolenników. I opłaca się mieć na listach „duże" nazwiska.

W 2019 r. w pierwszej dziesiątce najlepszych wyników w Polsce znalazło się czworo byłych premierów. Najlepszy uzyskała Beata Szydło (ponad 525 tys. głosów), drugi był Jerzy Buzek (ponad 422 tys. głosów), siódma Ewa Kopacz (252 tys. głosów), dziewiąty Włodzimierz Cimoszewicz (ponad 219 tys. głosów). Poza nimi w pierwszej dziesiątce znaleźli się: Jadwiga Wiśniewska (trzecie miejsce i ponad 409 tys. głosów); Janina Ochojska (czwarte miejsce i ponad 307 tys. głosów); Tomasz Poręba (piąte miejsce i 276 tys. głosów); Patryk Jaki (szóste miejsce i ponad 258 tys. głosów); Róża Thun (ósme miejsce i ponad 221 tys. głosów); Adam Bielan (dziesiąte miejsce i prawie 208 tys. głosów).

UCIECZKA Z RZĄDU

W przypadku rządzącej Koalicji Obywatelskiej rzuca się w oczy obecność na listach do europarlamentu trzech ministrów: Borysa Budki (Ministerstwo Aktywów Państwowych), Marcina Kierwińskiego (MSWiA) oraz Bartłomieja Sienkiewicza (Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego), który podał się już do dymisji.

Do Parlamentu Europejskiego chcą się dostać także szefowie dwóch sejmowych komisji śledczych: Dariusz Joński (pierwsze miejsce w Łodzi, przewodniczący komisji ds. wyborów korespondencyjnych) oraz Michał Szczerba (piąte

Fot. Prawo i Sprawiedliwość

eprasa.pl 95fd45879a

miejsce w Warszawie, przewodniczący tzw. komisji wizowej).

Tylko Sienkiewicz miał kandydować po doprowadzeniu do przejęcia (zdemolowania) przez rządzących mediów publicznych. Wystawiając Budkę, Kierwińskiego, Sienkiewicza, Jońskiego i Szczerbę, Tusk wysłał do partii oraz jej zwolenników sygnał, że każdy, kto podejmie się roli „siepacza" i „terminatora", będzie nagrodzony. I kogoś takiego powinien także nagrodzić twardy elektorat.

Kierwiński zyskał punkty, gdy doprowadził do zatrzymania oraz zamknięcia w zakładach karnych Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. I to zatrzymania w najbardziej bezczelny i prowokacyjny sposób, bo na terenie siedziby prezydenta RP. Sienkiewicz zasłużył się siłowo, przejmując media publiczne i stosując przy tym metody służb specjalnych. Budka zaistniał jako tropiciel i prześladowca Daniela Obajtka, byłego prezesa ORLENU. Joński i Szczerba są nagradzani za swoje „kontrole poselskie" w ministerstwach i urzędach oraz bezkompromisowe kompromitowanie się w komisjach śledczych.

W decyzjach Tuska jest oczywiście drugie dno. Przede wszystkim chce on zmienić kierownictwo partii, gdzie sekretarzem generalnym jest Kierwiński. Był on kiedyś człowiekiem Grzegorza Schetyny, a takich „zasług" Tusk nigdy nie zapomina. Poza tym Kierwiński świadczył różne usługi Rafałowi Trzaskowskiemu, więc jego zesłanie do Brukseli i Strasburga ma też osłabić prezydenta Warszawy. W partii Kierwińskiego może zastąpić Paweł Graś, cień i „kapciowy" Tuska. A przy nim premierowi nikt nie podskoczy. Ma to ogromne znaczenie dla jego prezydenckich planów.

Jest prawie pewne, że to obecny szef rządu, a nie Rafał Trzaskowski będzie kandydatem KO na prezydenta. W związku z tym Trzaskowskiego i jego zaplecze trzeba osłabiać. Kierwiński, jeśli zostanie wybrany, nie przestanie mieć wpływów w partii, ale z czasem będą one gasnąć. Osłabia go też wystawienie tuż za jego plecami Hanny Gronkiewicz-Waltz. Ma ona wprawdzie na koncie długą listę grzechów, ale w Warszawie może wygrać z Kierwińskim. Głównie dlatego, że jest ona wzorcem z Sèvres „warszawki", a on wręcz przeciwnie. Zadanie likwidowania wpływów Kierwińskiego w MSWiA dostanie zapewne Tomasz Siemoniak, zawsze wierny wobec obecnego premiera.

ROZLICZENIA W PRAWIE I SPRAWIEDLIWOŚCI

W PiS układanie list wiązało się weryfikacją tego, co poszczególni kandydaci, w tym obecni eurodeputowani, dają partii, szczególnie gdy chodzi o realizację jej strategicznych celów w Polsce i Unii Europejskiej. Uprzywilejowane miejsca tracą profesorowie (Ryszard Legutko – ogłosił, że nie będzie startował, Zdzisław Krasnodębski, Karol Karski), którzy są cenieni za swoją wiedzę, inteligencję i pozycję naukową, ale to się nie przekładało na konkretne zdobycze i przewagi w strukturach europarlamentu. Tracą też europosłowie mało aktywni, a często kompletnie niewidoczni, jak Elżbieta Kruk, Andżelika Możdżanowska, Krzysztof Jurgiel czy Grzegorz Tobiszowski. Osłabła pozycja Beaty Mazurek (204 tys. głosów w 2019 r. i jedenasty najlepszy wynik w Polsce), a to głównie dlatego, że rośnie ranga działającego w tym samym okręgu prof. Przemysława Czarnka, zaś relacje między nimi nie są najlepsze.

W ostatnich tygodniach media żyły głównie tym, gdzie i jakie miejsce miał dostać Jacek Kurski, były prezes TVP. Chodziło o wypchnięcie prof. Karola Karskiego z „jedynki" w województwach podlaskim i warmińsko-mazurskim albo o jak najlepsze miejsce w okręgu podwarszawskim, gdzie rywalizowałby z Adamem Bielanem.

Niepodważalna jest pozycja na listach Beaty Szydło (za nią są Dominik Tarczyński i Arkadiusz Mularczyk), Jadwigi Wiśniewskiej (za jej plecami będzie Patryk Jaki), Joachima Brudzińskiego, Anny Fotygi (będzie rywalizować z rzecznikiem rządu Mateusza Morawieckiego Piotrem Müllerem), Kosmy Złotowskiego (będzie rywalizował z Łukaszem Schreiberem), Anny Zalewskiej (rywalizującej z Beatą Kempą i Michałem Dworczykiem), Małgorzaty Gosiewskiej (walczącej z Tobiaszem Bocheńskim), Witolda Waszczykowskiego (w Łodzi będzie rywalizował z Joanną Lichocką, Waldemarem Budą i Robertem Telusem). Pewna jest pozycja Mariusza Kamińskiego (Lubelszczyzna) i Macieja Wąsika.

Problemem dla PiS okazało się znalezienie odpowiedniego miejsca dla Jacka Saryusza-Wolskiego, ale jego wystąpienie na konwencji wyborczej PiS dowiodło, że cieszy się uznaniem i poparciem Jarosława Kaczyńskiego. Pewna jest także „jedynka" w Wielkopolsce dla Wojciecha Kolarskiego, wieloletniego współpracownika prezydenta Andrzeja Dudy (będzie rywalizował z Ryszardem Czarneckim). Liderem listy na Podkarpaciu został z kolei Daniel Obajtek.

TRZECIA DROGA POWŚCIĄGLIWIE, LEWICA SZARŻUJE

O mandat europosła będzie się ubiegał polityk PSL, minister rozwoju i technologii Krzysztof Hetman, który do rządu wskoczył prosto z europarlamentu, by natychmiast zapragnąć tam wrócić. Zapewne z powodu bezradności w rozwiązywaniu problemów mieszkalnictwa. W PE chce także zostać Adam Jarubas. Z Warszawy do Parlamentu Europejskiego wystartuje Michał Kobosko z Polski 2050. O mandat będzie się ubiegał przewodniczący klubu parlamentarnego Polska 2050 Mirosław Suchoń (Śląsk). Na listach znajdzie się też Róża Thun (Dolny Śląsk i Opolskie). Szymon Hołownia zapewnił, że z rządu do Brukseli nie odejdą Paulina Hennig-Kloska i Agnieszka Buczyńska.

A na lewicy? Z Sejmu do europarlamentu wybierają się reprezentujący klub Nowej Lewicy Katarzyna Ueberhan, Marcin Kulasek (wiceminister aktywów państwowych), Anna Maria Żukowska, Paulina Matysiak, Joanna Scheuring-Wielgus (wiceminister kultury), Andrzej Szejna (wiceminister spraw zagranicznych), Maciej Konieczny, Wanda Nowicka, Krzysztof Śmiszek (wiceminister sprawiedliwości, który chyba chce być w Brukseli razem z Robertem Biedroniem), Anita Kucharska-Dziedzic. Z list Lewicy (z „jedynki" w zachodniopomorskiem i lubuskiem) wystartuje też sprawdzony towarzysz Włodzimierz Cimoszewicz.

Wątpliwe, czy wszystkie partie zamierzające przy okazji wyborów europejskich załatwić wiele wewnętrznych spraw osiągną swoje cele. Pewne jest natomiast, że polska reprezentacja w Brukseli i Strasburgu albo obroni Polskę przed superpaństwem i obłędem Zielonego Ładu, albo przyłączy się do tych, którzy zniszczą Unię, jaką znamy.

eprasa.pl 95fd45879a

Przystępujemy do czegoś, czego nie ma

Czym jest European Sky Shield Initiative (ESSI), europejska tarcza antyrakietowa, do której przystąpienie ogłosił premier Donald Tusk, a krok ten potwierdziło później Ministerstwo Obrony? Czy może zwiększyć nasze bezpieczeństwo?

MAREK BUDZISZ

Rozważając celowość tego działania, musimy odpowiedzieć na to pytanie, tym bardziej że Polska realizuje własny program budowy wielopoziomowego systemu obrony powietrznej i uczestniczy w konkurencyjnym projekcie DIAMOND, w którym liderem jest Wielka Brytania. Nasz resort obrony zapowiedział zresztą kontynuowanie prac w ramach tego przedsięwzięcia, co jest zrozumiałe, bo przystąpiliśmy do niego w styczniu br. Mamy też zamiar, co jasno wynika z deklaracji Władysława Kosiniaka-Kamysza, kontynuować budowę systemów Wisła, Narew, Pilica, Poprad, będących szkieletem obrony przestrzeni powietrznej Rzeczypospolitej.

To, że z wojskowego punktu widzenia ESSI pozostawał do tej pory na marginesie naszego zainteresowania, potwierdza też komunikat Sztabu Generalnego, który lakonicznie, ale już po deklaracji premiera Tuska, poinformował o pierwszych kontaktach naszych przedstawicieli z ekspertami reprezentującymi pomysłodawcę, czyli Niemcy. Te kontakty, jak napisano, mają charakter roboczy, a celem ich jest uzyskaniu wiedzy na temat „europejskiej tarczy rakietowej". Wygląda zatem na to, że najpierw złożyliśmy deklarację uczestnictwa w przedsięwzięciu, a dopiero potem zaczęliśmy je poznawać.

Fot. Mike Mareen/Shutterstock.com

eprasa.pl 95fd45879a

Minister Kosiniak–Kamysz i resort obrony uspokajali specjalistów zaniepokojonych wypowiedziami premiera Tuska, którzy odczytali je jako zagrożenie dla już realizowanych i znacznie bardziej zaawansowanych polskich projektów obrony przeciwrakietowej, deklarując, że będą one kontynuowane, a z uczestnictwa w europejskiej tarczy będziemy mieć korzyści wynikające choćby z polityki wspólnych zakupów uzbrojenia. Gdyby na podstawie różnych oficjalnych wypowiedzi przedstawicieli polskiego rządu rekonstruować nasze obecne stanowisko w sprawie European Sky Shield Initiative, wynika z niego, że kierując się zasadą „od przybytku głowa nie boli", mamy zamiar kontynuować realizowane projekty Wisła, Pilica, Narew, a dodatkowo wziąć udział w przedsięwzięciu zaproponowanym przez Berlin. Tak też opisują to prorządowe media, podkreślając popularność inicjatywy, do której przystąpiło już 21 krajów europejskich, dodając, że wspólne zakupy pozwolą pozyskiwać sprzęt taniej. Jednak sprawy nie są takie proste.

PIĘTROWA UKŁADANKA I NIEZNANE KOSZTY

Jak zauważył Wes Rumbaugh z amerykańskiego think tanku strategicznego CSIS, który prowadzi projekt badawczy poświęcony właśnie szeroko pojętej broni rakietowej, ogólnie systemy defensywne są droższe od ofensywnych. Na przykładzie budżetu Pentagonu obliczył on, że ta relacja jest jak 2:1, czyli obrona jest dwa razy droższa od ataku, gdybyśmy brali pod uwagę jedynie realia amerykańskiego sektora zbrojeniowego. To zaś oznacza, że państwo budujące swój system obrony powietrznej musi dokonywać wyboru, czyli ze względu na koszty nie jest w stanie dublować rozwiązań. Patrząc z tego punktu widzenia, deklaracje naszego resortu obrony należałoby odczytać w następujący sposób – kontynuujemy budowę naszych systemów, a być może dodatkowo coś uzyskamy w ramach ESSI.

Popularność przedsięwzięcia też nie jest atutem, a raczej barierą dla jego rozwoju. ESSI nie jest bowiem „projektem NATO-wskim" nie tylko dlatego, że nie uczestniczą w nim wszystkie państwa naszego kontynentu, które są członkami Paktu, choćby tacy potężni gracze, jak Francja, Wielka Brytania, Włochy czy Hiszpania. Akces do inicjatywy zgłosiły Austria i Szwajcaria, państwa formalnie neutralne, oznacza to jednak, że integracja systemowa, o której często się mówi, będzie ograniczona, bo zinfiltrowana przez rosyjski wywiad Austria nie może mieć pełnego dostępu do rozwiązań stosowanych przez siły państw NATO. Podobny problem jest z Turcją, która, choć jest członkiem Paktu, została wykluczona przez Amerykanów z dostępu do danych wrażliwych, co ma związek z zakupem przez Ankarę rosyjskich systemów S-400.

Inną kwestią jest skala projektu, do którego „zapisało się" 21 państw. Niemcy chcą, aby systemy IRIS-T, produkowane przez firmę Diehl Defence, były fundamentem „najniższego piętra" obrony europejskiej przestrzeni powietrznej. Mają one zasięg 35–40 km, co oznacza, że trzeba je gęsto rozstawiać, aby stworzyć skuteczną barierę. Problem polega wszakże na tym, że w tym roku Diehl Defence wyprodukuje trzy, może cztery systemy tego rodzaju, a w 2025 r. ma zamiar wypuścić ich osiem, o ile uda się dokończyć inwestycję, która w grudniu ub.r. została wstrzymana przez lokalne władze po protestach ekologów. Nawiasem mówiąc, rząd Niemiec w 2023 r. zamówił u producenta sześć takich zestawów. Kiedy będą one dostępne dla pozostałych uczestników? Nie wiadomo. Choćby z tego powodu rząd Litwy, która też „zapisała się" do ESSI, nie podjął jeszcze decyzji, czy kupuje IRIS-T od niemieckiej firmy, czy systemy NASAMS III produkowane przez Norwegów.

Jeśli chodzi o najwyższe „piętro" europejskiej tarczy antyrakietowej, czyli izraelskie systemy Arrow-3, sprawy są jeszcze bardziej skomplikowane. Otóż niemieccy eksperci z think tanku SWP zastanawiają się, czy te systemy w ogóle nadają się do zwalczania rakiet będących na wyposażeniu Federacji Rosyjskiej, w tym np. iskanderów rozlokowanych w obwodzie królewieckim i na Białorusi, a to one nam zagrażają. Osobną kwestią, którą też trzeba rozstrzygnąć, zanim zadeklaruje się zainteresowanie zakupem, jest zdolność państwowego producenta z Izraela (Israel Aerospace Industry) do realizacji dostaw o odpowiedniej skali. W tym przypadku to pytanie jest zasadne, zważywszy na sytuację bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie i dość oczywiste priorytety Tel-Awiwu.

Niewykluczone jednak, że rozważania na temat pozyskania Arrow-3 są bezprzedmiotowe, bo na ich sprzedaż państwom trzecim zgodę musi wyrazić Waszyngton, przede wszystkim z tego powodu, że około połowy podzespołów używanych do budowy tych rakiet pochodzi od amerykańskich kooperantów, a cała konstrukcja została zbudowana przy wykorzystaniu technologii pochodzących ze Stanów Zjednoczonych. Do tej pory Waszyngton zgodził się na dokonanie zakupu przez Niemcy, ale nie przyszło to łatwo, bo celowość wydania pozwolenia kwestionowali amerykańscy producenci, obawiając się utraty części zamówień. Berlin podpisał warty 3,6 mld dol. kontrakt z Izraelem w październiku ub.r., dostawy mają się zacząć w 2025 r., a system ma być gotowy operacyjnie nie wcześniej niż w 2030 r. Jeśli po jesiennych wyborach w Białym Domu nastąpią zmiany, to jaką mamy gwarancję, że nowy prezydent USA nie zmieni nastawienia administracji i z większą intensywnością nie będzie wspierał interesów amerykańskiego sektora zbrojeniowego, blokując sprzedaż izraelskich systemów? Nawet jeśli ostatecznie zgody zostaną wydawane, to kiedy Arrow-3, jeśli w ogóle, będą wchodzić na wyposażenie państw, które zgłosiły swój akces do European Sky Shield Initiative? W 2035 r.?

Przy tej okazji trzeba też rozwiać nadzieje na to, że kupując razem, pozyskamy sprzęt taniej. Po pierwsze, nie ma czegoś takiego, jak wspólne zakupy broni i uzbrojenia. To nie ziemniaki czy cebula nabywane na targu. Każdy kontrakt negocjuje się osobno, w każdym przypadku trzeba mieć zresztą zgodę władz kraju producenta i kooperantów na transfer technologii, w każdym przypadku rozmowy są trudne, długotrwałe i przede wszystkim prowadzi się je na własny rachunek.

Wszystkie te wątpliwości wskazują na to, że z wojskowego punktu widzenia, nie mówiąc już o kwestiach strategicznych, czyli o tym, kto w razie zagrożenia będzie aktywował system, projekt europejskiej tarczy antyrakietowej ma niewielki sens i należy go raczej traktować w kategoriach tworu narracyjnego czy politycznego.

NIEMIECKIE AMBICJE

Tak o nim zresztą mówią niemieccy eksperci. Henning Vöpel, prezes think tanku

eprasa.pl 95fd45879a

Centrum Polityki Europejskiej, w rozmowie z Aleksandrą Fedorską akcentował nie wojskowy, a właśnie polityczny wymiar tego przedsięwzięcia. Jego istotą miałoby być nie tyle zbudowanie jednej „tarczy antyrakietowej", bo to jest niemożliwe, ile zaakcentowanie woli współpracy między państwami naszego kontynentu przy okazji budowy indywidualnych systemów obrony przestrzeni powietrznej, które w związku z obecną sytuacją zwiększają swe wydatki wojskowe. Na polityczny wymiar tej inicjatywy zwracają też uwagę eksperci niemieckiego SWP, pisząc, że kanclerz Scholz po raz pierwszy powiedział o projekcie europejskiej tarczy antyrakietowej podczas przemówienia na Uniwersytecie Karola w Pradze w sierpniu 2022 r., w którym też, co warto pamiętać, bo to buduje kontekst całej sprawy, mówił o federalizacji Unii Europejskiej. Dopiero sześć tygodni później ówczesna niemiecka minister obrony Lambrecht podjęła ten temat przy okazji spotkania ministrów państw NATO w Brukseli. Celem tego projektu, jak zauważają eksperci, jest dążenie Berlina, aby stać się „liderem europejskiej obrony powietrznej".

To wyjaśnia, dlaczego Francuzi, Włosi, nie mówiąc już o Brytyjczykach, nie są zainteresowani inicjatywą Berlina, który, co ciekawe, wcale nie nalega na Paryż, aby rozważył przystąpienie do tego przedsięwzięcia. Pytany o to w ub. tygodniu przez dziennikarzy „Frankfurter Allgemeine Zeitung" minister Pistorius powiedział: „Jedno jest też jasne – nikt nie musi brać w tym udziału. Francja również podejmuje działania. Ostatecznie naszym wspólnym celem jest to, aby nad Europą istniała skuteczna tarcza ochronna. I to, czy składa się z jednego, czy dwóch elementów, nie jest kwestią kluczową".

W ub. tygodniu Emmanuel Macron wygłosił na paryskiej Sorbonie wykład na temat przyszłości Europy. Większość komentatorów zgodziło się, że przedstawił w nim ponurą wizję przyszłości naszego kontynentu, mówiąc, iż „cywilizacje są śmiertelne" i to też może spotkać nas, jeśli nie przygotujemy się w odpowiedni sposób na prawdopodobną inwazję barbarzyńców ze wschodu. Ale w swym wystąpieniu zawarł on jeszcze jedno, słabiej podkreślane przesłanie. Otóż zapowiedział przedstawienie w najbliższym czasie przez Francję projektu europejskiej inicjatywy obronnej, w tym antyrakietowej, „która musi być najpierw koncepcją strategiczną", a dopiero w drugiej kolejności koncentrować się na kwestiach sprzętu, jego wspólnych zakupach i unifikacji systemów. Jest to czytelna krytyka podejścia niemieckiego, w którym duży nacisk kładzie się właśnie na politykę wspólnych zakupów, co ma przynieść korzyści wynikające z ekonomii skali.

Francuzi zareagowali na inicjatywę Scholza bardzo krytycznie, a nawet wrogo. Jak się spekulowało w europejskich kręgach dyplomatycznych, jej ogłoszenie spowodowało odwołanie w 2022 r. szczytu z udziałem przywódców obydwu krajów, a Macron publicznie skrytykował przedsięwzięcie. „Kiedy widzę – powiedział – że niektóre kraje zwiększają swoje wydatki na obronność, aby masowo kupować systemy pozaeuropejskie, po prostu mówię im: szykujecie sobie problemy jutra".

> Celem tego projektu, jak zauważają eksperci, jest dążenie Berlina, aby stać się „liderem europejskiej obrony powietrznej"

Francuzi są zdania, że bez rozbudowy europejskich zdolności przemysłowych na dłuższą metę państwa naszego kontynentu nie będą w stanie przeciwstawić się agresywnej Rosji. Aby zwiększyć produkcję broni, potrzebne są inwestycje, a te z kolei nie nastąpią, jeśli rządy nie złożą dużych i wieloletnich zamówień w firmach znajdujących się w Europie. Jeśli przyjdą czasy, kiedy będziemy używać naszych systemów antyrakietowych, to kluczową sprawą stanie się też zdolność do szybkiego uzupełnienia zużywających się systemów i rakiet przechwytujących. Jeśli ich producenci będą się znajdować za oceanem, to, zdaniem francuskich ekspertów, proces dostaw znacznie się wydłuży. Stanowi to argument za plasowaniem zamówień zbrojeniowych u siebie, a nie w USA czy Izraelu.

Państwa frontowe, takie jak Polska, Bałtowie czy Finlandia, w świetle tych ocen są w odmiennym położeniu niż Niemcy. W przeciwieństwie do Berlina jesteśmy bardziej zagrożeni, a to oznacza, że musimy szybko zbudować nasze zdolności ochronne, a to przemawia za zakupami „z półki" systemów, które są już dostępne.

ŻELAZNA BAJKA

Czy zatem dzisiaj istnieje ESSI, do której przystępuje Polska? Z pewnością nie jest dopracowaną koncepcją zbudowania nad naszym kontynentem „żelaznej kopuły" na wzór rozwiązań izraelskich. Nie jest też pomysłem na oszczędności związane ze wspólnymi zakupami, bo to raczej ładna figura retoryczna niż opis rzeczywistości. Pozostaje pewien pomysł o wyraźnie politycznym wymiarze.

W Europie będziemy mieć kilka propozycji budowy obrony przeciwrakietowej sformułowanych przez państwa wiodące. Jest projekt niemiecki i brytyjski, Macron zapowiedział zgłoszenie francuskiego. Idealnie by było, gdyby w modelu docelowym nastąpiła ich integracja, ale to nie będzie łatwe. A zatem deklaracje premiera Tuska w tej sprawie należy traktować w kategoriach politycznych, a nie wojskowych. Werbalnie zapisujemy się do „klubu niemieckiego", a realnie i tak będziemy robić swoje, bo innej opcji nie ma. Dziś European Sky Shield Initiative jest bowiem przedsięwzięciem na papierze o niejasnej i nieustalonej formule uczestnictwa, które może zacząć działać w najlepszym razie w połowie przyszłej dekady.

I tak to się w Polsce kręci. Politycy rzucają nie do końca przemyślany pomysł, który, kiedy zacznie się analizować szczegóły, okazuje się mało sensowny, a z pewnością bardzo oddalony w czasie. Związani z władzą eksperci znajdują wiele argumentów na jego obronę, a prorządowe media chwalą, nie wchodząc zbytnio w detale.

eprasa.pl 95fd45879a

Polacy nie kupują już opowieści, że trzeba zaciskać pasa, że jesteśmy na dorobku, że to nie ten moment. To jest właśnie ten moment! Stać nas na to, by wybudować duży hub przesiadkowy i linie kolejowe. Możemy godnie żyć, bez kompleksów

Polskę stać na ambitne plany

Z Pauliną Matysiak, posłanką partii Razem, rozmawia Dorota Łosiewicz

Z wyborów w wybory. Listy Lewicy do Parlamentu Europejskiego gotowe. Złośliwi z Lewicy (np. senator Maciej Kopiec) komentują, że zostały one ułożone tak, żeby do PE na pewno weszli Robert Biedroń, Krzysztof Śmiszek i Joanna Scheuring-Wielgus.

Paulina Matysiak: O tym, kto zdobędzie mandat do Parlamentu Europejskiego, ostatecznie zdecydują wyborcy. My oczywiście walczymy o jak najlepszy wynik i zachęcamy naszych wyborców, żeby poszli głosować, bo już teraz wiemy, że frekwencja będzie niższa niż w poprzednich wyborach. Ostatnie szacunki mówią o ok. 40 proc. Tymczasem w PE zapadają ważne dla Polski decyzje i warto wysłać tam reprezentację, która będzie walczyła o polski interes. Zawsze zachęcam do tego, by poznać poglądy kandydatów i wybrać tych, których przekonania są nam najbliższe.

A jak pani patrzy na konflikt na Śląsku? Jedynkę dostał Maciej Konieczny z partii Razem, mimo rekomendacji regionalnego zarządu dla Łukasza Kohuta, który ostatecznie startuje z list Koalicji Obywatelskiej.

Komitet, z którego startujemy, jest koalicyjny, dlatego w rozmowach brało udział kilka podmiotów. Każda partia ma prawo rekomendować swoich kandydatów. Naszym był Maciej Konieczny, który świetnie zna się na sprawach międzynarodowych i europejskich. Walczyliśmy więc o niego. Wojewódzki zarząd Nowej Lewicy miał prawo rekomendować Łukasza Kohuta, ale ostateczne decyzje podejmował zarząd krajowy. Listy Lewicy są bardzo dobre, a partia Razem ma kandydatów nie tylko na Śląsku.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 95fd45879a

Ma też w województwie łódzkim. Pani startuje z dwójki, ale to nie jest miejsce biorące.

Nie zgadzam się z takim myśleniem, że jakieś miejsce jest biorące lub nie, bo to decyzja wyborców, którzy wielokrotnie pokazywali, że wybierają świadomie. Poza tym ordynację do PE ułożono tak, że wynik w każdym okręgu jest istotny przy podziale wszystkich mandatów. Ja zajmuję się transportem i infrastrukturą, na pewno będę o tym dużo mówiła w kampanii. Będę zachęcała do głosowania na mnie i na Lewicę. Swoje miejsce traktuję jako duży zaszczyt i nobilitację oraz poważną misję. Będę pracowała na jak najlepszy wynik osobisty, łódzkiej listy i całej Lewicy.

Po wyborach parlamentarnych mówiło się, że partia Razem znalazła tajny sposób na „socjale". Wasi kandydaci w kilku miejscach przeskoczyli jedynki. Macie taki sposób?

Mamy po prostu dobrych kandydatów i umiemy ich promować, ale nie posiadamy żadnej tajnej broni. Pracujemy zespołowo, mamy przygotowany program, nad którym długo pracowaliśmy. Są w nim kwestie bezpieczeństwa, obrony cywilnej, transportu, infrastruktury, rozwoju, pracy i energetyki. Nasi wyborcy są świadomi tego, gdzie szukać kandydatów Razem, bo im o tym mówimy. Liczę, że teraz też tak będzie, bo poza parlamentarzystami naszej partii mamy jeszcze innych dobrych kandydatów. Np. Zofię Malisz, która jest czwórką w Warszawie, Dorotę Kolarską – dwójka w okręgu małopolskim i świętokrzyskim. Listę na Podkarpaciu otwiera Wiktoria Barańska, młoda, ambitna, energiczna dziewczyna. Trójką w Wielkopolsce jest Konrad Nowacki. A to tylko kilka przykładów. Nie mamy żadnej tajnej broni, tylko świetnych kandydatów, których promujemy.

Lewica słabnie z wyborów na wybory. PO zagospodarowała elektorat tzw. postępowy, a PiS socjalny. Czy Lewica ma na siebie jakiś pomysł?

Ostatnie wyniki nie cieszą, ale każde wybory mają swoją specyfikę i trafiają do różnych grup odbiorców. Dlatego tak ważne będzie, żeby teraz zachęcić Polaków do głosowania. Niska frekwencja nie jest budująca, martwi, że nasi rodacy odpuszczają wybory. A decyzje podejmowane w PE dotyczą Polski i warto o tym pamiętać.

Jak pani patrzy na listy KO? Kandyduje aż trzech ministrów. Wyborcy to zrozumieją? Powstała nawet akcja: „Nie głosuj na ministra".

Ponieważ w tych wyborach idzie walka o mobilizację elektoratu, każda partia stara się to robić przy pomocy swoich najsilniejszych nazwisk. Każde ugrupowanie chce osiągnąć jak najlepszy wynik i buduje jak najsilniejsze listy. Kalendarz wyborczy jest trudny i nie zostawia wielkiego pola manewru. Dlatego kandydują ministrowie, parlamentarzyści oraz radni, którzy dopiero zdobyli mandat. Ja także dostaję sporo wiadomości od wyborców z głosami, że dopiero zdobyłam mandat sejmowy, a teraz wybieram się do PE. Odpowiadam tym osobom, że cały czas będę pracowała dla dobra Polski w tych obszarach, którymi się interesuję, bez względu na to, czy będzie to w Polsce, czy w Brukseli. Kandydatury ministrów powodują dodatkowy problem w postaci rekonstrukcji rządu i szerszych zmian w obozie władzy. Ich udział w wyborach zawsze jakoś stopuje prace ich resortów, zwłaszcza gdy chodzi o ministrów konstytucyjnych. A tego, jak ministrów na listach ocenią wyborcy, dowiemy się po ogłoszeniu wyników. Mogą wręczyć im bilet do Brukseli lub głosować na kandydatów z dalszych miejsc. Wszystko jest możliwe.

> Były obiecane audyty CPK, ich wyniki miały być znane w marcu, tymczasem audytów jak nie było, tak nie ma

Mówi pani o najmocniejszych nazwiskach, tymczasem na drugim miejscu na liście KO w Warszawie znalazła się wiceszefowa PO, była prezydent stolicy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która nie rozliczyła się z afery reprywatyzacyjnej.

Skoro KO uznała, że Hanna Gronkiewicz-Waltz będzie ich dobrze reprezentować, to ich sprawa. Ja nie oceniam dobrze tej kandydatury. W sprawie reprywatyzacji jest jeszcze wiele do wyjaśnienia. Sposób, w jaki traktowano lokatorów w Warszawie, to skandal. Wciąż nie ukarano sprawców morderstw i wyrzucania z mieszkań ludzi. Mam nadzieję, że warszawiacy zweryfikują tę kandydaturę.

Do PE wybiera się także minister Krzysztof Hetman z PSL-Trzecia Droga, który złożył mandat europosła przed październikowymi wyborami. Jest on autorem programu mieszkaniowego, który stoi w sprzeczności z programem Lewicy.

Liczę, że jeśli pan Hetman zdobędzie mandat, to zabierze do Brukseli swój program mieszkaniowy i wszyscy powiemy mu bez żalu: „Bye, bye". Kredyt 0 proc. to bardzo zły pomysł. W żaden sposób nie poprawia sytuacji na rynku mieszkaniowym. Minister Hetman nawet tego nie ukrywa i w jednym z wywiadów powiedział, że ceny mieszkań wzrosną! Nic dziwnego, dopłacanie do kredytów oznacza wsparcie banków i deweloperów. Cóż z tego, że ktoś, kto załapie się na ten kredyt, będzie miał niższą ratę, skoro ostatecznie zapłaci więcej za mieszkanie. Liczę, że ten projekt nie zostanie wdrożony. Problem mieszkań trzeba rozwiązywać od strony podażowej, a nie popytowej. Trzeba budować mieszkania na tani wynajem, wprowadzać projekty adresowane do samorządów chcących remontować pustostany, by mieszkań na rynku było więcej. Nasza koncepcja nie stoi w kontrze do tych, którzy chcą kupić mieszkanie – oni zawsze mogą to zrobić, ale trzeba myśleć o tych gorzej sytuowanych. Jeśli na rynku będzie więcej dostępnych mieszkań, ceny będą spadały, a nie rosły.

eprasa.pl 95fd45879a

Wiceministrem w resorcie rozwoju i technologii, czyli tym, któremu szefuje (jeszcze) Hetman, był senator Lewicy Krzysztof Kukucki, który porzucił resort, Senat i został prezydentem Włocławka. Na ile konflikt o program mieszkaniowy popchnął go do tej decyzji? To już kolejny minister, który opuszcza rząd.

W sprawie programu mieszkaniowego nie było zgody koalicjantów, ale nie wiem, na ile to wpłynęło na decyzję o starcie ministra Kukuckiego w wyborach samorządowych. On jest wielkim orędownikiem budowy mieszkań na tani wynajem w przeciwieństwie do ministra Hetmana, którego działania wspierają deweloperów. Natomiast Krzysztof Kukucki pełnił wcześniej funkcję wiceprezydenta Włocławka, odpowiadał za program mieszkaniowy, więc jego start w wyborach samorządowych był naturalny. Cieszę się, że wygrał i jestem pewna, że dalej będzie realizował we Włocławku program mieszkaniowy. Pokaże, że to się da zrobić i jak to zrobić. A miasto będzie się świetnie rozwijało.

Pełnomocnik rządu ds. CPK Maciej Lasek stwierdził w mediach, że „Okęcie musiałoby zostać pogrzebane przez projekt CPK". Nawet jeśli to prawda, to czy takie rzeczy powinna mówić osoba, która ma być odpowiedzialna za Centralny Port Komunikacyjny? Pytam panią jako wiceszefową sejmowej komisji infrastruktury.

To stwierdzenie jest prawdziwe, ale dobór słów przez ministra odpowiedzialnego za CPK wywołuje negatywne skojarzenia. Oczywiste, że budowa nowego hubu lotniczego jest z założenia związana z przeniesieniem ruchu lotniczego z Okęcia na nowe lotnisko. To nie żadna tajemnica. Na razie cały czas boksujemy się z tym, czy ten projekt będzie realizowany i w jakim zakresie. Dialog ze stroną parlamentarną i społeczną pozostawia wiele do życzenia. Plany i kierunki działań polityków musimy rekonstruować z urywków ich wypowiedzi medialnych.

„Budowa CPK w Baranowie za ponad 40 mld zł odłożona. Wracają inwestycje na Lotnisku Chopina" – napisała wyborcza.pl po konferencji, na której Polskie Porty Lotnicze poinformowały o rozbudowie stołecznego lotniska i przesunięciu terminu startu CPK na 2035 r. To koniec marzeń o Centralnym Porcie Komunikacyjnym?

Nie, to nie koniec marzeń o CPK. Nastawienie obywateli jest jasne – więcej Polaków chce kontynuacji tego projektu niż jego wstrzymania. Wierzę, że rząd może się wycofać ze złych rozwiązań i zacznie go realizować. Zastanawiająca jest ta ofensywa medialna i informacje, które docierają do Polaków z niektórych mediów, o zatrzymaniu projektu. Absolutne minimum to wystąpienia ministra z premierem i ucięcie wszystkich spekulacji: to i to robimy, to analizujemy, to zmieniamy. To naprawdę nie są wygórowane oczekiwania.

Niedawno usłyszeliśmy, że nie tylko CPK, lecz także szybka sieć kolejowa stoi pod znakiem zapytania, bo projekt trzeba przygotować od nowa.

To tylko pokazuje, że cała dyskusja jest przeciągana w czasie, a my wciąż nie wiemy, co się będzie działo. Były obiecane audyty CPK, ich wyniki miały być znane w marcu, tymczasem audytów jak nie było, tak nie ma. W tej chwili jesteśmy po wewnętrznej kontroli i przejrzeniu dokumentów spółki. Opowieści o tym, że coś będzie przygotowane na nowo, zwłaszcza w tych miejscach i liniach, które już zostały zaprojektowane lub są na zaawansowanym poziomie, oznacza wyłącznie stratę czasu i wyrzucanie pieniędzy w błoto. Pewnie należy zrewidować siatkę połączeń i linii, ale wyrzucanie wszystkiego do kosza nie ma sensu. Brakuje jasnych deklaracji w tej sprawie. Słyszymy za to, że atmosfera w spółce jest fatalna, pracownicy nie wiedzą, co mają robić, nie mają wytycznych odnośnie do obowiązków. Z kolei pan pełnomocnik mówi, że projekt będzie realizowany. Jakoś to wszystko nie współgra ze sobą. A czas to pieniądz. Opóźnienia to wielkie straty finansowe dla Polski, bo umykają możliwe dochody, np. z cargo.

Dlaczego duże projekty rozwojowe, jak CPK czy atom, mają tak szerokie poparcie Polaków?

Jeśli chodzi o elektrownię jądrową, to dyskusja o tym toczy się od bardzo dawna. Gdybyśmy na serio brali zapewnienia polityków, ta elektrownia już by pracowała. Dość przywołać słowa Donalda Tuska, który mówił przed laty, że już w 2020 r. popłynie prąd z polskiej elektrowni jądrowej. Nie ma ani prądu, ani elektrowni. Ten temat jest już więc mocno oswojony i rozbrojony, a wiele wątpliwości i obaw rozwiano na poziomie debaty publicznej. W ostatnim czasie widzieliśmy też, jakie znaczenie dla bezpieczeństwa państwa ma sytuacja na rynku paliwowym i energetycznym. Właściwie wszyscy jesteśmy zgodni, że w energetykę jądrową trzeba inwestować, bo to ważna część składowa miksu energetycznego, opartego z jednej strony o atom, a z drugiej o odnawialne źródła energii. Podobna zgoda panuje w społeczeństwie w sprawie CPK. Większość Polaków popiera kontynuację tego projektu. To nie tylko lotnisko, lecz także linie kolejowe. Polacy czują się częścią Zachodu i wiedzą, że w niczym nie jesteśmy gorsi od zachodnich sąsiadów. Powszechne jest poczucie, że warto zainwestować, by móc się dalej rozwijać, by nie zostać z tyłu. To szansa Polski na skok cywilizacyjny. Nie kupujemy już opowieści, że trzeba zaciskać pasa, że jesteśmy na dorobku, że to nie ten moment. To jest właśnie ten moment! Stać nas na to, by wybudować duży hub przesiadkowy i linie kolejowe. Możemy żyć godnie, bez kompleksów. Polacy rozumieją, że to od nas zależy, jak chcemy się rozwijać. To nie jest tylko spawa, którą żyją politycy i dziennikarze. Wszystkich to interesuje. Często ludzie mnie o to pytają, zaczepiają na ulicy i gratulują, że nie odpuszczam tematu CPK. To już nie jest wąski, ekspercki temat. Ludzie oczekują od rządu informacji, jaki ma plan na naszą przyszłość. Chcemy być wiodącym państwem w tej części UE, a nie zostać skansenem Europy.

eprasa.pl 95fd45879a

Wracają honory dla komunistycznych zbrodniarzy

Koalicja 13 grudnia przywróci honory komunistycznym zbrodniarzom? Domaga się tego gen. Mirosław Różański. Były Dowódca Generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, a obecnie senator Trzeciej Drogi chce zmiany przepisów dotyczących asysty wojskowej podczas ceremonii pogrzebowych żołnierzy. Zamierza to osiągnąć, eliminując Wojskowe Biuro Historyczne i Instytut Pamięci Narodowej jako instytucje opiniujące przyznanie takiego wyróżnienia. Tym samym rządzący przywróciliby haniebną procedurę chowania z honorami komunistów, a przede wszystkim komunistycznych zbrodniarzy

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Gen. Różański tak napisał o tym na platformie X (d. Twitter): „Asysta należy się każdemu żołnierzowi (!) z wyjątkiem skazanych prawomocnym wyrokiem za działalność na szkodę państwa i obywateli". Problem polega na tym, że po 1989 r. nie było w Polsce rozliczenia komunizmu i tylko nieliczni funkcjonariusze sowieckiego systemu zostali skazani przez sądy, których również nie oczyszczono z ludzi skompromitowanych służeniu totalitarnemu państwu (słynne określenie prof. Adama Strzembosza, że wymiar sprawiedliwości „sam się oczyści"). Doprowadziło to do plagi chowania z honorami komunistycznych aparatczyków i, co gorsza, morderców.

HAŃBA PO 1989 R.

W czym gen. Różańskiemu przeszkadza opiniowanie przez WBH i IPN przyznawania asysty wojskowej? Odpowiedź jest oczywista. Obie te instytucje blokują pochówek z wojskowymi honorami wysokich rangą wojskowych oraz oficjeli z czasów PRL, którzy ze względu na swoją zbrodniczą lub agenturalną działalność nie zasłużyli na taką formę uczczenia. Ale ten ruch wpisywałby się w widoczną już zmianę polityki historycznej państwa polskiego, mającą miejsce po ubiegłorocznej zmianie władzy. I nie ma w tym nic zdumiewającego – obecni rządzący niezmiennie po 1989 r. pokazywali, że historię najnowszą traktują po macoszemu, a przede wszystkim bezkrytycznie, czy nawet z nieskrywanym sentymentem oceniają okres PRL.

Przypomnijmy chyba największą hańbę III RP, którą było pochowanie w 2014 r. tow. Wojciecha Jaruzelskiego w Alei Zasłużonych na Powązkach Wojskowych w Warszawie – z wszelkimi honorami i asystą wojskową, kiedy to na pogrzebie zebrali się najważniejsi przedstawiciele państwa polskiego. Stawili się zarówno byli prezydenci RP, jak i wówczas urzędujący Bronisław Komorowski, szef BBN Stanisław Koziej, minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak, doradcy prezydenta Tomasz Nałęcz i Jan Lityński, przedstawiciele części klubów parlamentarnych, politycy, weterani LWP.

„WYBRAŁ MNIEJSZE ZŁO"

W trakcie nabożeństwa ówczesny prezydent powiedział, iż „żegna prezydenta czasów przełomu ustrojowego w Polsce, Wojciecha Jaruzelskiego, polityka mającego swój istotny udział w umożliwieniu pójścia przez Polskę drogą głębokich przemian systemowych po wyborach 1989 roku". Nad grobem z kolei przemawiał były prezydent Aleksander Kwaśniewski: „Żegnamy człowieka szczególnej epoki naznaczonej tragedią, dramatem, poszukiwaniem sensu i nadziei. Żegnamy żołnierza, który służył Polsce taką, jaką była, nie odmawiając ani poświęcenia, ani krwi. Żegnamy dowódcę, który troszczył się o polskie wojsko, o swoich żołnierzy. Żegnamy polityka, który w najtrudniejszym czasie podjął się odpowiedzialności za państwo w stanie kryzysu i ze szczerym przekonaniem wybrał mniejsze zło,

eprasa.pl 95fd45879a

Na Powązkach Wojskowych wręcz roi się od grobów komunistycznych generałów, a ich pogrzeby w większości były uświetniane asystą wojskową i obecnością przedstawicieli państwa z Platformy Obywatelskiej. Na zdjęciu pogrzeb tow. Jaruzelskiego

chroniąc nas przed obcą interwencją albo domową bratobójczą wojną".

Jaruzelskiego pochowano na Powązkach Wojskowych (będących przecież nekropolią chwały polskiego oręża) mimo protestów środowisk prawicowych. Podczas uroczystości słychać było gwizdy, buczenie, licznie zgromadzeni przeciwnicy Jaruzelskiego (w tym ofiary stanu wojennego) skandowali m.in.: „Morderca", „Zdrajca" oraz „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę".

Państwo rządzone przez Platformę Obywatelską zrobiło jednak wszystko, by komunistyczny zbrodniarz został pochowany jak bohater. I nie był on jedyny.

DECYZJE SIEMONIAKA I KOMOROWSKIEGO

Płk Wacław Krzyżanowski, oficer śledczy Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Gdańsku, w 1946 r. zażądał wobec 17-letniej Danuty Siedzikówny „Inki" kary śmierci. Był pierwszym prokuratorem, którego IPN oskarżył o udział w komunistycznej zbrodni sądowej. Sądy III RP nie uznały jednak Krzyżanowskiego winnym – do śmierci w 2014 r. przebywał na wolności, pobierał wysoką wojskową emeryturę, a na cmentarzu komunalnym w Koszalinie pochowano go z najwyższymi honorami. Ówczesny szef MON z Platformy Obywatelskiej Tomasz Siemoniak dopiero po nagłośnieniu skandalu przez środowiska patriotyczne skrytykował zaistniałą sytuację, odwołując ze stanowisk dowódcę oraz komendanta garnizonu Koszalin. Kuriozalność tej sytuacji polegała na tym, że panowie wkrótce zostali przywróceni do pracy.

Honorowe pochówki innych komunistycznych zbrodniarzy odbywały się przy pełnej aprobacie władz. Stanisław Kociołek w swojej długiej komunistycznej karierze był I sekretarzem warszawskiego PZPR, I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku, następnie wicepremierem, a później ambasadorem w różnych krajach, m.in. w Związku Sowieckim. W historii zapisał się jako „kat Trójmiasta", odpowiedzialny za masakrę robotników na Wybrzeżu w 1970 r., który osobiście zatwierdził strzelanie do ludzi. Po śmierci w 2015 r. mimo protestów polskich niepodległościowców został pochowany na Powązkach Wojskowych w Warszawie, w kolumbarium tuż przy Alei Zasłużonych. Zaledwie miesiąc później, znów na tym wyjątkowym polskim cmentarzu, został pochowany Jan Ptasiński – partyzant Gwardii Ludowej, pułkownik UB, wiceminister bezpieczeństwa publicznego w czasach stalinowskich, a później poseł na Sejm i ambasador.

gen. Mirosław Różański

Kolejny komunista, który ponosi odpowiedzialność za masakrę robotników na Wybrzeżu (brał udział w naradzie z Władysławem Gomułką w 1970 r., na której zapadła decyzja o użyciu broni), spoczął na Powązkach Wojskowych niespełna rok wcześniej. To Tadeusz Pietrzak, generał brygady LWP, wiceminister spraw wewnętrznych PRL. Po II wojnie światowej zwalczał podziemie niepodległościowe, jesienią 1946 r. uczestniczył w operacji „Lawina" – akcji

Fot. Andrzej Iwańczuk/Reporter; Ministerstwo Obrony Narodowej

eprasa.pl 95fd45879a

wymordowania na Opolszczyźnie żołnierzy zgrupowania NSZ Henryka Flamego „Bartka", potem pracował w stalinowskiej Informacji Wojskowej. W 2013 r. Związek Żołnierzy NSZ żądał degradacji zbrodniarza, jednak kancelaria prezydenta Bronisława Komorowskiego odrzuciła ten wniosek. Zignorowano także apel Fundacji Łączka o zablokowanie pochówku Pietrzaka na Powązkach. Wymowne jest to, że w tym samym roku Komorowski odrzucił prośby o objęcie patronatem pogrzebu żołnierzy wyklętych, ekshumowanych przez IPN na terenie kwatery „Ł".

„ZASŁUGI" OLEKSEGO

Na Powązkach Wojskowych wręcz roi się od grobów komunistycznych generałów, a ich pogrzeby w większości były uświetniane asystą wojskową i obecnością przedstawicieli państwa Platformy Obywatelskiej. Od 2013 r. obok kwatery „Ł" na Powązkach spoczywa PRL-owski szef MON Florian Siwicki, jeden z architektów inwazji na Czechosłowację i stanu wojennego. Niedługo wcześniej pochowani zostali gen. Jan Czapla i gen. Włodzimierz Sawczuk, szefowie Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Pierwszy z nich był ponadto zastępcą dowódcy ds. politycznych Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który pacyfikował podziemie niepodległościowe. Gen. Eugeniusz Molczyk, zastępca naczelnego dowódcy wojsk Układu Warszawskiego, który chciał zlikwidować Solidarność siłą, a w razie sowieckiej interwencji był szykowany przez Moskwę na dowódcę WP, także spoczął na Powązkach Wojskowych.

Ale nie tylko komunistyczni wojskowi byli chowani z honorami w czasach pierwszych rządów PO. Od 2015 r. na tym samym cmentarzu powązkowskim spoczywa Józef Oleksy, w PRL tajny współpracownik służb komunistycznych, działacz PZPR, a w III RP Prezes Rady Ministrów i marszałek Sejmu. Mimo agenturalnej przeszłości prezydent Komorowski odznaczył go pośmiertnie Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski „w uznaniu wybitnych zasług dla transformacji ustrojowej Polski, za osiągnięcia w działalności państwowej i publicznej".

WARSZAWSKA REKOMUNIZACJA

Inaczej było po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość. Kiedy 5 listopada 2015 r. zmarł tow. Czesław Kiszczak, MON błyskawicznie wydało specjalny komunikat, w którym informowano, że pogrzeb generała nie odbędzie się na Powązkach Wojskowych. Został on pochowany na cmentarzu prawosławnym w Warszawie jedynie przy udziale najbliższej rodziny i przyjaciół – bez asysty wojskowej.

Mimo niezgody PiS na honorowanie komunistycznych morderców na Powązkach nadal chowano niegodnych tego ludzi – chociaż już bez udziału wojska lub przedstawicieli polskiego państwa. Działo się tak, ponieważ ten szczególny cmentarz jest wojskowy tylko z nazwy, w praktyce jako komunalny znajduje się w gestii władz Warszawy. Ponieważ miastem stołecznym zarządzają kolejni politycy Platformy Obywatelskiej – Hanna Gronkiewicz-Waltz i Rafał Trzaskowski, wśród pochowanych na Powązkach w ostatnich latach można znaleźć m.in. propagandystę stanu wojennego Jerzego Urbana czy byłego szefa SB odpowiedzialnego za zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki gen. Władysława Ciastonia. Dodajmy, że obecny prezydent Warszawy, będący jednocześnie wiceprzewodniczącym PO, wielokrotnie sprzeciwiał się dekomunizacji Powązek Wojskowych. A także ręka w rękę z sądami rekomunizował stołeczne ulice.

> Wszystko wskazuje na to, że przez kolejne lata władze państwowe będą próbowały niszczyć pamięć o polskich bohaterach i na ich miejsce wynosić na piedestał zbrodniarzy. A także chować z honorami komunistycznych bandytów

PONOWNIE WYKLĘCI

Po ubiegłorocznej zmianie władzy w Polsce należy się spodziewać powrotu do starych praktyk, czego żąda m.in. polityk Trzeciej Drogi. Warto zaznaczyć, że zapowiedź gen. Różańskiego nie jest jedyna. Koalicja Obywatelska jeszcze przed wyborami obiecywała, że przywróci wysokie emerytury funkcjonariuszom komunistycznego aparatu represji. Skandaliczne zmiany będą także dotyczyć programów nauczania. Mniej lekcji historii, wykreślanie fundamentalnych lektur („Konrad Wallenrod", „W pustyni i w puszczy", „Quo vadis"), usuwanie z podstawy programowej ważnych Polaków (Jan Karski, Witold Pilecki, Irena Sendlerowa) oraz wydarzeń (chrzest Polski, powstania śląskie, rzeź wołyńska). Żołnierze walczący z Sowietami i komunistami mają zostać ponownie wyklęci. Państwo Tuska w wielu komunikatach do organizacji pozarządowych wyraziło brak zainteresowania wspieraniem wydarzeń edukacyjnych lub budowy pomników poświęconych bohaterom powojennego podziemia niepodległościowego.

Ostatnie obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych odbyły się w całym kraju tylko dzięki nieprzejętemu jeszcze przez nowe władze IPN i organizacjom społecznym. Podczas uroczystości na warszawskiej „Łączce" 1 marca oprócz posłów Prawa i Sprawiedliwości jedynym przedstawicielem polskich władz był wicemarszałek Sejmu RP Krzysztof Bosak.

Wszystko wskazuje na to, że przez kolejne lata władze państwowe będą próbowały niszczyć pamięć o polskich bohaterach i na ich miejsce wynosić na piedestał zbrodniarzy. A także chować z honorami komunistycznych bandytów. Znów aktualne okazują się prorocze słowa Jacka Kaczmarskiego, zawarte w powstałym w 1982 r. utworze pt. „Wróżba":

„Kary nie będzie dla przeciętnych drani,
A lud ofiary złoży nadaremnie.
Morderców będą grzebać z honorami,
Na bruku ulic nędza się wylęgnie".

Autopromocja

eprasa.pl 95fd45879a

GDZIE KUPIĆ TYGODNIK SIECI?

Drodzy Czytelnicy,

dbamy o to, żebyście mogli nas kupić w całej Polsce, szczególnie teraz, gdy z dystrybucji prasy wycofał się Ruch SA. Jeśli w Waszym punkcie sprzedaży brakuje prasy, znajdźcie nowe miejsce, gdzie tygodnik Sieci będzie na Was czekać w każdy poniedziałek.

- Sklepy:
  LIDL, BIEDRONKA, AUCHAN, CARREFOUR, STOKROTKA, DINO, INTERMARCHE, KAUFLAND, DELIKATESY CENTRUM, TOPAZ
- Salony prasowe i punkty sprzedaży prasy:
  EMPIK, INMEDIO, RELAY, 1-MINUTE, KOLPORTER, DISCOVER, MEDIA PRESS, MEDIA STAR, ŚWIAT PRASY
- Stacje benzynowe: **BP, ORLEN*,** placówki **POCZTY POLSKIEJ** oraz inne mniejsze punkty sprzedaży

*uwaga! możliwe chwilowe problemy z kupnem prasy

PRENUMERATA PAPIEROWA

1. WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty

Numer konta:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Odbiorca: Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia

Tytuł: pełne dane adresowe do wysyłki prenumeraty

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00 (pon-pt w godz. 14-16)

PRENUMERATA CYFROWA

1. WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

	1 miesiąc	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	od 5,90 zł*	99,90 zł	119,90 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **siec.wpolityce.pl/oferta** i opłać przelewem ze swojego konta

*cena za pierwszy miesiąc, następnie 12,90 zł za każdy kolejny i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 95fd45879a

ZA I PRZECIW OGRANICZENIOM W SPRZEDAŻY ALKOHOLU

Nasi publicyści komentują planowany przez Ministerstwo Zdrowia zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych oraz wprowadzane w miastach ograniczenia w jego dostępności w godzinach nocnych

Spójrzmy na to trzeźwo

Czy jest sens, aby państwo przeznaczało duże pieniądze na kampanie nawołujące do odpowiedzialnej jazdy samochodem, nie robiąc jednocześnie nic przeciwko sprzedawcom, którzy podają kierowcom alkohol pod nos?

GORAN ANDRIJANIĆ

Niedługo w trasę rusza Męskie Granie. To festiwal, który już od 15 lat gromadzi na koncertach w całej Polsce najpopularniejsze w danym momencie nazwiska polskiej sceny rockowej, popowej i hip-hopowej. Głównym sponsorem wydarzenia jest Grupa Żywiec S.A., korporacja, która zajmuje się produkcją piwa i której głównym akcjonariuszem jest holenderski Heineken. Żywiec inwestuje w całe przedsięwzięcie ogromne kwoty, zarówno w organizację samych koncertów, jak i ich promocję. Koncertom towarzyszy agresywna kampania reklamowa, dzięki której o wydarzeniu dowiadują się nawet ci, którzy nie znają się na muzyce.

Korporacja wie, co robi. Promując działalność kulturalną, Żywiec tak naprawdę promuje swój produkt, czyli napój alkoholowy. Łączy spożycie piwa z atmosferą relaksu, dobrą muzyką i prestiżem społecznym oraz efektywnie sprzedaje swój produkt. Taką samą strategię marketingową już od dawna stosują korporacje alkoholowe na Zachodzie, sponsorując rockowe festiwale i podobne wydarzenia.

NA GRANICY PRAWA

Zostawmy jednak teraz to, co mnie jako staremu punkowcowi przeszkadza najbardziej, czyli fakt, że kultura rockowa stała się dziś zwykłą marionetką korporacji, pozwalając się wykorzystywać dla jej zysku. Chcę zwrócić uwagę na jeszcze głębszy problem. Otóż cała ta kampania, która promuje piwo, działa na granicy prawa.

Według polskiej ustawy o wychowaniu w trzeźwości reklamowanie piwa jest dopuszczone, ale tylko jeśli nie kojarzy się z relaksem, atrakcyjnością fizyczną i sukcesem. Oprócz tego nie może być kierowana do młodych. Jak to wygląda w naszym kraju? W większości reklam robi się dokładnie to, co zakazane. Oczywiście nie w sposób bezpośredni, ponieważ wykorzystywane są do tego bardziej wyrafinowane marketingowe techniki perswazji. Efekt jest taki sam.

Podobnie sprawa się ma w świecie biznesu sportowego. Koncerny alkoholowe sponsorują transmisje najlepszych meczów, a następnie w przerwie zamieszczają reklamy swoich produktów, które także na swój sposób naruszają przepisy dotyczące dozwolonej reklamy piwa.

Jednocześnie alkohol jest w Polsce dostępny wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. W sklepach można go zobaczyć w różnej pojemności – od tzw. małpek, czyli w małych butelkach 100- i 200-ml, stojących dla zachęty tuż przy kasach, po butelki litrowe. Sklepy alkoholowe, które pracują 24 godziny na dobę, są absolutnie wszędzie, w każdym mieście, małym i dużym. Alkohol można kupić także na stacjach benzynowych.

UZALEŻNIENI

Tymczasem statystyki są bezwzględne. Każdego roku z powodu alkoholu umiera w Polsce 30–40 tys. ludzi. Mamy ok. 1 mln Polaków, którzy już się od niego uzależnili, ale szacuje się, że liczba tych, którzy piją ryzykownie i szkodliwie, co w prostej drodze prowadzi do uzależnienia, wynosi 3–4 mln.

Prawda jest taka, że nawet bez statystyk, obserwując polską rzeczywistość, nietrudno odnieść wrażenie, że żyjemy w społeczeństwie, które ma poważny problem z alkoholizmem. Wiedziałem o tym jeszcze przed przeprowadzką z Chorwacji do Polski, ale dopiero gdy tu zamieszkałem, zdałem sobie sprawę ze skali tego problemu. Wśród moich przyjaciół,

eprasa.pl 95fd45879a

a także moich bliskich, jest wiele osób, których życie zostało naznaczone alkoholizmem.

„Kod, a ja mam ten kod / Ten kod od was w prezencie / W tłumionych wspomnieniach rozlane jak farba / Obrazy Picassa przypominają dom" – śpiewa zespół Luxtorpeda w piosence „Kod genetyczny DDA" mówiącej o syndromie dorosłych dzieci alkoholików. Syndromie, z którym walczy wielka rzesza Polaków. Nie wspominam o przemocy fizycznej i psychicznej oraz wszystkich tragicznych konsekwencjach, które niesie ze sobą ta choroba dla osoby uzależnionej, jej rodziny czy znajomych.

POTRZEBNA INTERWENCJA

Polskie społeczeństwo ma zatem z jednej strony poważny problem z alkoholizmem, a z drugiej nieuregulowany rynek produktów alkoholowych. Jest to sytuacja, która przypomina bombę z opóźnionym zapłonem.

Właśnie z tego powodu należy poprzeć zapowiedź minister zdrowia Izabeli Leszczyny o zakazie sprzedaży napojów alkoholowych na stacjach benzynowych. Jest ku temu cała masa powodów.

Najbardziej oczywisty to ten, że stacje benzynowe są miejscami, w których alkohol mogą kupić przede wszystkim kierowcy. W 2023 r. polska policja zatrzymała prawie 100 tys. prowadzących pod wpływem alkoholu. W tym samym roku doszło do 1,6 tys. wypadków z udziałem pijanych kierowców, w których zginęło 251 osób, a ponad 1,7 tys. zostało rannych.

Czy jest sens, aby państwo przeznaczało duże pieniądze na kampanie nawołujące do odpowiedzialnej jazdy, nie robiąc jednocześnie nic przeciwko sprzedawcom, którzy podają kierowcom alkohol pod nos?

Ktoś powie: zakazy i ograniczenia sprzedaży alkoholu nie pomagają w walce z alkoholizmem. To mit. Jak bowiem wytłumaczyć, że we wszystkich polskich miastach i gminach, w których wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu w nocy, widać skuteczność takiego działania?

Na nocną prohibicję zdecydowało się do tej pory 7 proc. gmin i miast, m.in. Kraków, Wrocław, Poznań, Zakopane. Efekt? Po pierwsze, mniej interwencji policji związanych z nadmiernym spożyciem alkoholu, a po drugie, zmniejszenie liczby pensjonariuszy izb wytrzeźwień.

„Prohibicja!" – ktoś krzyknie. „Ograniczenie wolności obywatelskich!" – dorzuci inny. Ale przecież o żadnej prohibicji i całkowitym zakazie nie ma tutaj mowy. Chodzi o coś innego – regulację rynku alkoholu, produktu wywołującego niebezpieczne uzależnienia i patologie społeczne, którego nie można i nie wolno traktować jak zwykłego produktu komercyjnego (np. sprzedaż 12 puszek piwa w cenie 6, a wszystko w okolicach rodzinnych majówek).

Nie, rynek nie potrafi samodzielnie uregulować takich kwestii i konieczna jest interwencja państwa. Nie powinien nas interesować zysk zagranicznych korporacji (które w większości kontrolują rynek alkoholi), ale zdrowie i stan psychiczny polskich obywateli. Brzmi jak moralizowanie? Nie trzeba być patriotą, aby bronić idei ograniczenia sprzedaży alkoholu. Wystarczy dobrze policzyć, aby odkryć, że dochody, które państwo uzyskuje z podatku od alkoholu, są mniejsze od kosztów leczenia jego negatywnych skutków. Ideę regulacji rynku alkoholi można obronić choćby tylko ze względów praktycznych.

NIE TYLKO PAŃSTWO

Nie oznacza to, że regulacje państwowe powinny być jedynym sposobem walki z alkoholizmem.

Kiedy Franciszek Blachnicki, wielki polski kapłan z czasów komunizmu, zastanawiał się, jak pomóc swoim cierpiącym rodakom, zdał sobie sprawę, że w pierwszej kolejności powinien się zająć właśnie alkoholizmem, który niszczy duszę Polaków. W 1979 r. rozpoczął inicjatywę mającą na celu walkę z tym i innymi uzależnieniami, ale metodami duchowymi oraz konkretną pomocą osobom uzależnionym. Inicjatywa istnieje do dziś, co oznacza, że jest potrzebna.

Państwo powinno naśladować swoich obywateli w dobrych inicjatywach. W encyklice „Evangelium Vitae" św. Jan Paweł II cytuje św. Tomasza z Akwinu, który pisze: „prawo ludzkie jest prawem w takiej mierze, w jakiej jest zgodne z prawym rozumem, a tym samym wypływa z prawa wiecznego. Kiedy natomiast jakieś prawo jest sprzeczne z rozumem, nazywane jest prawem niegodziwym".

Papież oczywiście zacytował św. Tomasza w kontekście aborcji, podkreślając, że katolicy mają obowiązek sprzeciwiać się przepisom legalizującym cywilizację śmierci. W tym przypadku można jednak zastosować tę samą zasadę. Ustawy promujące dobro wspólne (a więc społeczeństwo z mniejszą liczbą uzależnionych od alkoholu) należy wspierać z pozycji katolickiego konserwatyzmu.

„Sprawa trzeźwości to także sprawa naszej niepodległości i prawdziwej wolności" – powiedział mi kiedyś bp Tadeusz Bronakowski, przewodniczący Zespołu KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych.

To nie jest kwestia religijna, to kwestia zdrowego rozsądku.

Przegrana wojna

DARIUSZ MATUSZAK

Tyrańskim złudzeniem jest przekonanie, iż zakazami zbuduje się trzeźwe, idealne społeczeństwo odpowiedzialnych osobników

Kiedy minister Izabela Leszczyna oznajmiła, że trwają prace nad tym, by zakazać sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych, nie miałem wątpliwości, iż chodzi o to, że skoro nie ma się nic poważnego do zaproponowania, trzeba podjąć modny temat, by symulować aktywność. To cechy każdej ekipy Tuska – schlebianie i przyziemność godna bulwarówek. Żadnych dużych wyzwań, jak inwestycje rozwojowe, tylko mikrozarządzanie. Pigułka, prace domowe, widowiska śledcze, a teraz alkohol na stacjach. Niech lud ma się czym ekscytować, o czym dyskutować. No więc podyskutujmy.

Zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach to zły pomysł ludzi patrzących na świat z perspektywy wielkomiejskich jaśniepaństwa. Umówmy się: Radosław Sikorski nie kupuje na stacjach. Na początku rozprawmy się jednak z mitem, który propaguje minister zdrowia. W rozmowie z Radiem ZET oznajmiła, że leczenie pijących dużo kosztuje. „Skutki leczenia osób, które nadużywają alkoholu, obciążają wszystkich podatników" – powiedziała Leszczyna. Nie o zdrowie więc chodzi, ale o kochane pieniążki. Tymczasem nikt ich nie wpłaca tyle do budżetu co pijący. Żaden towar, oprócz tytoniu, nie jest obciążony tak wysokimi podatkami jak alkohol. Pijąca brać w 2023 r. tylko w akcyzie wpłaciła 13,6 mld zł. A więc pije i leczy się za swoje.

Nie ma też danych, które wskazywałyby na to, że to właśnie kierowcy kupują na stacjach alkohol, piją i powodują wypadki. Skąd przekonanie, że ktoś prowadzi pod wpływem alkoholu, bo zaopatrzył się na stacji? Zresztą liczba wypadków z udziałem pijanych, nie tylko kierowców, lecz także pieszych i rowerzystów, w ciągu dekady spadła o połowę. W 2013 r. było ich 4028, a w ubiegłym –2248. To nadal problem, ale nieprawdą jest, iż jest coraz większy i ma związek ze sprzedażą alkoholu na stacjach. Zwłaszcza że wciąż ich przybywa.

> Zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach to zły pomysł ludzi patrzących na świat z perspektywy wielkomiejskich jaśnie państwa

WYKLUCZENI ALKOHOLOWO

Wielkomiejscy jaśniepaństwo nie rozumieją, że dla prawie połowy Polski stacje benzynowe to sklepy nocne czy niedzielne. Często jedyne punkty „cywilizacyjne". Mieszkańcy wsi i miasteczek nie mają tego szczęścia, że mogą się wytoczyć z hotelu sejmowego i w którą stronę się nie bujną, to znajdą knajpę lub sklep nagłej pomocy. Wywalenie alkoholu ze stacji oznacza tyle: my w mieście możemy pić, ile chcemy i gdzie chcemy, bo wszystko jest w zasięgu jednego slalomu, a ty wieśniaku siedź w chałupie, idź spać, bo o świcie musisz krowy doić, by był kefir dla wielkomiejskiego estety. Miejmy nadzieję, że rolnicy, a może nawet PSL, nie zgodzą się na alkoholowe wykluczenie połowy Polaków.

Szydzę, ale po to, by tym bardziej pokazać absurdalność wielkomiejskiej perspektywy, bezmyślność, która pozwala zapomnieć o połowie naszych rodaków, o ich potrzebach czy nawet słabościach. Oni nie mają do nich prawa. Nie mogą sobie pozwolić na towarzyską spontaniczność, oddać się nagłej ochocie, tylko wszystko muszą zaplanować, działać jak w zegarku, bo Leszczyna pozamykała im wszystko w promieniu 20 km. Ale i z tym lud sobie poradzi. Powstaną meliny i bimbrownie jak w Szwecji, gdzie podziemne gorzelnictwo kwitnie. Takie są tam skutki wojny z alkoholem.

Oczywiście zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach to kolejna kampania odwiecznej wojny z pijaństwem. Odkąd pamiętam, a jestem w wieku nieodwracalnie dojrzałym, ta walka trwa. Całe życie na froncie, przy czym ja mam o tyle dobrze, że za młodu nie musiałem walczyć z faszyzmem, ociepleniem, dyskryminacją kobiet, antysemityzmem, homofobią, rasizmem, mową nienawiści, wykluczeniem i czym tam jeszcze. Zaczynamy żyć w odmętach obsesji, wiecznej mobilizacji i gotowości do naprawiania świata, uczynienia go idealnym. Co oznacza, że w koszmarze.

eprasa.pl 95fd45879a

PIĆ JAK PRAWDZIWY EUROPEJCZYK

Tymczasem mimo wielu nieszczęść to nieprawda, iż problem nadmiernego spożycia jest w Polsce narastający i wyjątkowy. Ilekroć porównamy się do innych, okaże się, że pijemy umiarkowanie. Wedle OECD europejska średnia spożycia czystego alkoholu na osobę w wieku co najmniej 15 lat to 11,3 l. W Polsce to ok. 11,7 l. – różnica ledwie 4 proc. Niezmiennie na podium picia stają Czesi, Łotysze, Austriacy, Francuzi, Niemcy, Luksemburczycy, a Polacy w środku stawki, daleko za Hiszpanami, Irlandczykami, z wynikiem jak Szwajcarzy. 21 proc. Portugalczyków, 13 proc. Hiszpanów i 12 proc. Włochów pije codziennie. Polaków 1,6 proc. Aż 38 proc. Duńczyków pije intensywnie przynajmniej raz w miesiącu, Polaków 16 proc. Nie ma więc powodu, by w szczególny sposób się biczować, wstydzić, bić na alarm.

Nic nie wskazuje na to, że pijemy więcej niż w latach 80. czy 90., kiedy nielegalny handel alkoholem był większy niż oficjalny. Z Zachodu wjeżdżały niezliczone cysterny ze szmuglowanym spirytusem Royal, a Stadion Dziesięciolecia był największą meliną Europy ze wszystkimi trunkami Wschodu – od Kaukazu po Wietnam. Podobne, choć mniejsze były rozsiane po całej Polsce.

Kiedy mowa o tym, że czystego alkoholu spożywamy mniej niż średnio w UE (dane OECD dotyczyły całej Europy), podnoszą się głosy, że Polacy piją nieprawidłowo, nie po europejsku, tylko wódę, jak zacofana hołota. Nie to, co postępowe nacje. Znów zawstydzenie prowincjusza, który nie umie upić się po europejsku. Oczywiście południowcy sączą winko, często robią to codziennie, a my wolimy sporty ekstremalne. Ale może właśnie dlatego pijemy mniej niż inni. Może „polski" styl picia oznacza duże koszty dzień po, wywołuje wstręt i paradoksalnie odstręcza? Ot, Polak wyszumiał się i póki co ma dość, a Francuz się nasącza i wyrabia 15 l czystego alko rocznie. Nie twierdzę, że to dobrze, że pijemy wódkę zamiast wina, a jedynie odrzucam proste prawdy i owo kajanie się za picie nie po europejsku.

Niewątpliwie intensywne picie wódki wykańcza szybciej, powoduje więcej zniszczeń niż wino czy piwo. Wyzwala więcej agresji i nieraz prowadzi do tragedii. Policyjne dane pokazują, że w Polsce 76 proc. aktów przemocy domowej towarzyszy alkohol. Być może wódka jest najgorszym z możliwych wyborów alkoholowych. A jednocześnie Polska ma najlepsze w Europie statystyki, jeśli chodzi o ową przemoc domową. W trzeźwiejszych, po europejsku pijących społeczeństwach jest ona znacznie częstsza.

GRZESZNE LEKARSTWO GRZESZNYCH LUDZI

Za statystykami kryją się tragedie, ale tyrańskim złudzeniem jest przekonanie, iż zakazami zbuduje się trzeźwe, idealne społeczeństwo odpowiedzialnych osobników. Być może należy się pogodzić z tym, że używki są nieodłącznym towarzyszem życia współczesnych ludzi. Że są neutralizatorem dającym, może i złudną, szansę na ucieczkę od problemów, które inaczej kumulowałyby się i znajdowały ujście w gwałtownych reakcjach. Świat pije coraz więcej, więc może to efekt narastającego stresu w skali globalnej. Coraz więcej chorych psychicznie, depresji, samobójstw, żyjących samotnie i w ciągłym napięciu. Jakoś trzeba rozbrajać ładunki wybuchowe, które w duszach i umysłach same się konstruują. Być może alkohol w ogóle pozwala jeszcze części ludzi jakoś egzystować?

Są kultury prohibicji, np. muzułmańska, umówmy się: szału nie ma. Tam, gdzie drastycznie ogranicza się dostęp do alkoholu, mamy do czynienia z piciem patologicznym – do spodu albo przejściem na narkotyki. Szwedzi za każdym razem, gdy odbijają butelkę, to sprawiają wrażenie, jakby chcieli się upić na zapas.

Bezrefleksyjnie podchodzi się też do kreowanego problemu sprzedaży „małpek". Zarzuca się, że poręczne flaszeczki ułatwiają picie. No właśnie o to chodzi w tym wynalazku. Można je schować w garsonce i łyknąć w pracy spod łokcia. A może to i dobrze, że „małpki" można kupić? Może jakoś narzucają umiarkowanie, wyznaczając limit tego, ile się pije? Może niektórym pozwalają funkcjonować cały dzień, a nie żyć w oczekiwaniu na wieczór, kiedy wreszcie będzie się można upić? Nie znam odpowiedzi na te pytania, ale odrzucam ortodoksję ekspertów.

Walka z piciem czy używkami jest w gruncie rzeczy walką z ludzką naturą. Jak wszystkim nałogom, tak i alkoholowi towarzyszą patologie, które bywają problemem dla społeczności czy państw. Ale czy dlatego, że picie wykończyło Inuitów, to teraz polskie państwo ma prowadzić tak restrykcyjną politykę wobec własnych obywateli? Jest coś paternalistycznego, pogardliwego w podejściu do ludzi tych polityków, urzędników, działaczy, którzy chcą kontrolować to, co obywatele robią ze swoim życiem. Sanitaryzm ma wiele cech totalitaryzmu.

Katolicy uznają słabość, grzeszność człowieka. Grzeszni ludzie nie zbudują idealnego społeczeństwa. Nie będzie raju na Ziemi. Ci, którzy chcą go stworzyć, zawsze sprowadzają na ludzkość koszmar niewoli i tragedie. Człowiek ma prawo do słabości i upadku. Kościół to rozumie i dlatego to on ma sukcesy w namawianiu ludzi do życia w trzeźwości, we wstrzemięźliwości, a nie ci, którzy zaprowadzają tylko zakazy i kary. Trzeba znać umiar nie tylko w piciu.

cbrasa.pl 95fd4587

Oddanie się drugiemu człowiekowi

Ruszył proces beatyfikacyjny Heleny Kmieć, 25-letniej polskiej misjonarki zabitej w Boliwii w 2017 r.

GORAN ANDRIJANIĆ

„Słuchaj, Izraelu, Pan jest twoim Bogiem" – śpiewa młoda dziewczyna. Chwilę później dołączają do niej inni młodzi ludzie i zaczynają śpiewać razem z nią. To tzw. flashmob, metoda wykorzystywana również w ewangelizacji, w której ewangelizatorzy umówieni na spotkanie w miejscu publicznym na znak zaczynają wykonywać piosenkę lub tańczyć.

To wideo zostało nagrane na dworcu kolejowym we Wrocławiu w 2012 r. Można na nim zobaczyć szczupłą, wysoką, młodą dziewczynę, która śpiewa w tłumie pięknym i czystym głosem.

O wiele ważniejsza od sfilmowanego flashmoba jest wspomniana dziewczyna, ponieważ wszystko wskazuje na to, że będzie to przyszła święta Kościoła katolickiego.

Helena Kmieć ma na nagraniu 20 lat. Pięć lat później, pełniąc misję w Boliwii, została brutalnie zamordowana przez włamywacza. Razem z koleżanką, również misjonarką, przyjechały tam pomagać w ochronce dla dzieci prowadzonej przez Siostry Służebniczki Dębickie w mieście Cochabamba.

Siedem lat po śmierci Heleny oraz zbadaniu wszystkich faktów dotyczących jej życia Kościół podjął decyzję o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Sługi Bożej Heleny Agnieszki Kmieć, wiernej świeckiej, zwykłej dziewczyny z Libiąża. Metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski ogłosił tę decyzję 14 kwietnia 2024 r.

„Po śmierci Heleny Kmieć spontanicznie pojawiła się wśród wiernych opinia o jej świętym życiu oddanym Bogu i Kościołowi. Wiele osób modliło się i modli za Jej wstawiennictwem. Przykład Służebnicy Bożej z pewnością może stanowić inspirację do tego, by w życiu – szczególnie ludzi młodych – z wielką pasją i zaangażowaniem realizować swoje powołanie do świętości poprzez działalność wolontariacką i misyjną" – czytamy w edykcie abp. Jędraszewskiego.

Jego słowa dobrze wyrażają to, dlaczego historia Heleny, dziewczyny, która oddała swoje życie w służbie innym, jest tak ważna dla dzisiejszego Kościoła, zarówno powszechnego, jak i tego w Polsce. To historia osoby z pasją, pełnej miłości do życia i ludzi oraz typowo młodzieńczego pragnienia poświecenia się czemuś większemu od siebie i własnych interesów. Może zainspirować młodych, nawet tych, którzy już od dłuższego czasu nie mają nic wspólnego z Kościołem.

Helena Agnieszka Kmieć urodziła się 9 lutego 1991 r. w Krakowie jako druga

Fot. Fundacja im. Heleny Kmieć; helenakmiec.pl

eprasa.pl 95fd45879a

córka Jana Kmiecia i Agnieszki z d. Bejskiej. Kilka tygodni po narodzinach zmarła jej matka, a ojciec ożenił się po raz drugi z Barbarą Zając.

„Stała się ona mamą dla dwóch córek – Heleny i Teresy. Obie były wychowywane przez rodziców w domu przepełnionym miłością, ciepłem, a przede wszystkim głęboką wiarą" – czytamy na stronie Fundacji im. Heleny Kmieć, organizacji zajmującej się realizacją programów stypendialnych projektów charytatywnych, działającej w duchu misyjnym.

Żywa formacja katolicka, którą Helena nasiąkała w swoim domu, zadecydowała o jej życiu. Była bardzo utalentowaną uczennicą, toteż mogła się starać o stypendium w prestiżowych europejskich szkołach. Kiedy podczas jednej z rozmów rekrutacyjnych z dyrektorem placówki z Wielkiej Brytania usłyszała pytanie, co by zrobiła, gdyby otrzymanie stypendium było uwarunkowane koniecznością tymczasowej rezygnacji z praktykowania wiary, odpowiedziała, że jest to nie do przyjęcia.

Mimo to otrzymała stypendium i przez dwa lata uczyła się w żeńskiej katolickiej szkole średniej w Leweston School. Po powrocie do Polski zapisała się na studia inżynierskie na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Jednocześnie kontynuowała edukację muzyczną w Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia w Gliwicach. Swój talent muzyczny również poświęciła Bogu, animując msze św. i spotkania modlitewne.

Od najmłodszych lat jej życie było związane ze wspólnotami działającymi w ramach Kościoła – Papieskim Dziełem Misyjnym Dzieci, Ruchem Światło Życie, a na studiach z duszpasterstwem akademickim. Najważniejszym momentem było jednak zaangażowanie się w Wolontariat Misyjny Salvator. Z relacji rodziny i przyjaciół wynika, że służbę na misjach uważała za swoje powołanie, rodzaj odpowiedzi na modlitewne poszukiwania swojego miejsca w świecie. Obraz z filmu opisany na początku tego tekstu został nagrany w momencie, gdy zintensyfikowała swoją działalność w wolontariacie związanym z zakonem salwatorianów.

Po dwóch misjach w Europie (Węgry i Rumunia) Helena wyjechała do Zambii, gdzie przeżyła swoje pierwsze poważne doświadczenie misyjne. Pracowała z dziećmi dorastającymi na ulicy, poznała nędzę i trudności, w jakich dorastały. To doświadczenie dało jej szersze spojrzenie na własny los i życie przede wszystkim z perspektywy chrześcijańskiej.

„Otrzymałam Łaskę Bożą, czyli DDDDD (Dar Darmo Dany Do Dawania) i muszę się tym Darem dzielić! Wszystkie umiejętności, które posiadam, zdolności, które nabywam, talenty, które rozwijam – nie mają służyć mi, ale są po to, bym mogła je wykorzystywać do pomocy innym. Największym darem jest to, że znam Boga i nie mogę zachować tego dla siebie, muszę to rozgłaszać!

> Wiadomo już jednak, że Helena pomogła wielu ludziom zbliżyć się do Boga, zarówno za życia, jak i po śmierci, kiedy głos o jej świętości stawał się coraz silniejszy

Jeśli mogę komuś pomóc, sprawić, że ktoś się uśmiechnie, że będzie szczęśliwszy, może się czegoś nauczyć – to chcę to zrobić!" – napisała, wyjaśniając, dlaczego czuje powołanie do misji.

Po ukończeniu studiów Helena rozpoczęła pracę jako stewardesa. Ten wybór wiele mówi o jej charakterze. Chciała zwiedzać świat i jednocześnie pomagać ludziom. Mniej więcej w tym czasie poznała Michała Szuścika, młodego mężczyznę, z którym chciała założyć rodzinę. Wcześniej jednak pragnęła jeszcze trochę czasu poświęcić swojej pierwszej miłości – misji.

W styczniu 2017 r. wraz ze swoją przyjaciółką Anitą Adamczyk wyjechała do Boliwii. Tym razem czekało ją sześć miesięcy pracy w ochronce dla dzieci. Niecałe trzy tygodnie później do jej pokoju włamał się nocą złodziej z nożem w dłoni. Helena otrzymała 14 ciosów i zmarła. Została pochowana na cmentarzu parafialnym w Libiążu, a uroczystość pogrzebowa miała charakter państwowy. Postanowieniem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej śp. Helena Kmieć została pośmiertnie odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi za działalność charytatywną i społeczną oraz zaangażowanie na rzecz osób potrzebujących pomocy.

W rozpoczynającym się procesie beatyfikacyjnym postulator ks. Paweł Wróbel SDS zapowiada, że nie będzie się on toczył w kierunku męczeństwa, ale „sprawa będzie rozpatrywana pod kątem heroiczności cnót młodej misjonarki". Bo jeśli miałoby to być męczeństwo, do zabójstwa musiałoby dojść „z nienawiści do wiary". Wszystko wskazuje jednak na to, że zabójca włamał się do domu z zamiarem kradzieży (choć jest niejasne, dlaczego aż 14 razy ugodził Helenę nożem, jakby zupełnie stracił panowanie nad sobą). W każdym razie w takich przypadkach zawsze należy poczekać na orzeczenie Kościoła.

Wiadomo już jednak, że Helena pomogła wielu ludziom zbliżyć się do Boga, zarówno za życia, jak i po śmierci, kiedy głos o jej świętości stawał się coraz silniejszy.

Świadectwa przyjaciół i rodziny dziewczyny mówią o osobie pełnej prawdziwej radości życia, niosącej tę radość gdziekolwiek była. Uwielbiała podróżować, o czym świadczą liczne zdjęcia publikowane na stronach internetowych poświęconych jej życiu. Kochała Boga, ludzi i życie. Taka mieszanka tworzy koktajl wybuchowy, który oddziałuje na każdego, kto znajdzie się w jego zasięgu.

Jej życie jest świadectwem, że prawdziwą radość można znaleźć tylko wtedy, gdy poświęcimy się innym.

Często mówi się, że dzisiejsza młodzież ucieka od poświęcenia, jest skupiona tylko na sobie i własnej satysfakcji. Nie mam wątpliwości, że w dzisiejszym pokoleniu żyje wielu, którzy mają potrzebę służenia temu, co dobre i co przynosi prawdziwą radość. Trzeba ich tylko rozpoznać i pomóc ukierunkować. A życie Heleny Kmieć to drogowskaz, który kierunek najlepiej wybrać.

eprasa.pl 95fd45879a

Bohaterowie, „uchylanci" i zmęczone społeczeństwo

„Uchylant" jest ostatnio najpopularniejszym słowem na Ukrainie. Oznacza mężczyznę, który uchyla się od służby wojskowej. Ta nazwa oddaje część nastrojów społecznych w trzecim roku wojny, sytuacja jest jednak bardziej złożona

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

„Uchylanci" nie chcą służyć w armii, nie chcą ryzykować życiem – po prostu. To do tej postawy dorabia się całe polityczne uzasadnienia o „bezsensowności wojny" czy tekstów pasujących do polskich celebrytów spod znaku „nie będę walczyć za ten kraj". W porównaniu z nastrojami z początku wojny, gdy przez pierwsze dziesięć miesięcy nie brakowało ochotników do ukraińskiego wojska, które osiągnęło zawrotną liczebność 1 mln żołnierzy, sytuacja dramatycznie się zmieniła. Zapas gorliwości w służeniu swojemu krajowi się wyczerpuje.

KIJÓW ZARZĄDZA MOBILIZACJĘ

Przyjęte w połowie kwietnia nowe prawo o mobilizacji zobowiązuje obywateli płci męskiej w wieku poborowym do uzupełnienia swoich danych w urzędach do połowy czerwca. W skrócie oznacza to podanie swojego aktualnego adresu, po to, by armia w każdej chwili mogła powołać mieszkańca do służby. W ten sposób „uchylanci" stają przed dylematem: zarejestrować się w „wojenkomacie" i liczyć, że nikt się nie odezwie, czy schować się przed urzędnikami i wojskiem? Ponieważ ustawa nakazuje mężczyznom nosić przy sobie dokumenty w każdym momencie, może się zdarzyć, że powołanie do wojska można dostać na ulicy czy w sklepie. Dlatego „uchylanci" wybierają czasem metodę ukrywania się przed światem – u rodziny na wsi, w hostelach na Zakarpaciu albo nawet we własnym mieszkaniu, udając, że nikt tam nie mieszka i nie wychodząc nawet na klatkę schodową.

Ale sensację wzbudziła też druga część prawa o mobilizacji. Także mężczyźni w wieku poborowym przebywający poza granicami kraju są zobowiązani do zarejestrowania się w konsulatach z podaniem adresu. W innym przypadku konsulat nie będzie wydawał im zaświadczeń i współpracował przy pozyskaniu karty

Fot. Jose Hernandez Camera 51/Shutterstock.com

eprasa.pl 95fd45879a

pobytu. Jeśli więc jakiemuś Ukraińcowi w Polsce skończy się termin pozwolenia na pobyt i pracę w naszym kraju, a nie zechce on zaktualizować swoich danych w ukraińskim urzędzie, nie dostanie przedłużenia pobytu. To tutaj zapanował prawdziwy popłoch wśród tej części emigracji, która faktycznie uciekła przed służbą w czasie wojny.

Dmytro Kułeba, minister spraw zagranicznych, wyraził się w tej sprawie jednoznacznie: „Jak to teraz wygląda? Mężczyzna w wieku poborowym, który wyjechał za granicę, pokazał swojemu krajowi, że kwestia jego przetrwania go nie dotyczy, ale potem przychodzi do urzędu i chce otrzymać usługi tego kraju. To tak nie działa. W naszym kraju jest wojna".

Z mniej sensacyjnych założeń nowej ustawy można jeszcze przytoczyć przepisy mówiące o tym, że wszystkie firmy na Ukrainie będą zobowiązane do odstąpienia pojazdów na żądanie wojska, a inwalidzi II i III grupy zostaną wezwani przed komisję lekarską, by zweryfikować ich dokumenty i stan zdrowia.

W najbardziej dramatycznej formie „uchylanci" próbują uciekać z kraju. Łapówka za przekroczenie granicy z Polską lub Rumunią kosztuje nawet 10 tys. euro, ale nie daje pewności sukcesu – często to oszuści proponują taką ucieczkę, a czasem to służby antykorupcyjne prowokują nieuczciwych obywateli. Tańsza, ale bardziej niebezpieczna jest droga przez... rosyjską okupację. Część Ukraińców, zwłaszcza tych zameldowanych na terytoriach czasowo zajętych przez Rosję, może spróbować przekroczyć granicę frontu (istnieje nieformalny transport pomiędzy dwiema strefami), a stamtąd jechać przez Rosję np. na Łotwę czy do Gruzji. Rzecz jasna okupantom zdarza się mordować, zatrzymywać albo okradać takich podróżników.

PARTIA WOJSKOWA

Jednak błędem byłoby uważać, że Ukraińcy są bliscy poddania się. Mimo niezadowolenia w armii z powodu odsunięcia gen. Walerija Załużnego od dowodzenia obroną, żołnierze są najbardziej zdeterminowaną częścią ukraińskiego społeczeństwa.

– Mamy w kraju partię wojskową – komentuje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" jeden z oficerów, dawniej współpracujący z Załużnym. – Wchodząc w tryb wojenny, zmienia się hierarchia priorytetów, zaczynasz się martwić o kolegę z oddziału, chcesz pomścić poległego przyjaciela z podwórka, nienawidzisz wroga i jesteś gotowy wykazać się wytrzymałością, by go pokonać.

Ukraiński mundurowy podkreśla także, że amerykańska decyzja o przeznaczeniu ponad 60 mld dol. pomocy wojskowej dla ich kraju zdecydowanie wpłynęła na morale żołnierzy. – Byliśmy już na granicy reglamentacji amunicji wedle centralnego sterowania – śmieje się gorzko nasz rozmówca.

Wśród oficerów trudno spotkać takiego, który byłby zadowolony z cywilnych rządów w Kijowie – zarówno z prezydenta, jak i rządu. „Po wojnie zrobimy porządek" – słychać z różnych stron wojennej Ukrainy. Pamiętajmy, że ci, którzy już się sprawdzili w ponaddwuletniej wojnie, mają inne poczucie wartości niż przed inwazją. Człowiek, który przeżył Bachmut, odbijał Chersoń albo obronił Kupiańsk nie zmięknie dlatego, że w mediach społecznościowych matki i siostry „uchylantów" podkręcają histerię. Zniekształcanie nastrojów społecznych w mediach to część wojny informacyjnej Rosji, trzeba więc ostrożnie formułować wnioski. Oficjalnie nie ma tu badań i sondaży, bo w czasie walk morale cywilów jest częścią zasobów broniącego się kraju. Nie jest też tak, by zmęczenie wojną odbijało się w jakikolwiek sposób na zdolności bojowej żołnierzy lub np. destabilizowało zaplecze wojskowe. Ile ludzie mają zwątpienia w głowach – to jedno, ale w realnym świecie można zobaczyć nieustającą obronę Ukrainy.

IM DALEJ, TYM ODWAŻNIEJ

A jednak uderzający jest stosunek mieszkańców różnych części Ukrainy do dalszego prowadzenia działań wojennych. Po 2014 r., a tym bardziej od 24 lutego 2022 r., szybko uwierzono, że podziały na wschód i zachód kraju zostały zasypane, że mamy już jeden naród. Głębokość wpływu cywilizacyjnego na rosyjskojęzyczne społeczeństwa jest jednak dużo większa, niż mogłoby się wydawać. Ci cywile, którzy wychowali się w języku Dostojewskiego i Tołstoja, na cudzoziemskich żołnierzy broniących Ukrainy mówią „najemnicy", a ci, którzy od kołyski słuchali języka Tarasa Szewczenki – „ochotnicy". Ochotnik walczy co prawda za kwotę typową dla innych żołnierzy, ale zgłosił się na konkretną wojnę – nie tę w Palestynie, nie tę w Jemenie, ale tę, którą wywołała na Ukrainie Rosja.

Sieć pojęciowa w języku rosyjskim jest jednak nieco inna i rosyjskojęzyczne kanały internetowe pośród licznych prawdziwych informacji subtelnie przemycają fake newsy – a to Boris Johnson zniszczył rozmowy pokojowe z Rosją, a to Amerykanie dozbrajają Ukrainę, by przedłużyć wojnę, a to Zełenski napełnił skarbiec złotem i zamierza uciec na... Antarktydę (sic!).

Na wschodzie Ukrainy bardziej widać pragnienie pokoju, a na zachodzie – pragnienie zwycięstwa. Przyczyny leżą nie tylko w rosyjskiej propagandzie, w której „pokój teraz" oznacza zatrzymanie 20 proc. ukraińskich ziem. Na wschodzie przecież bardziej odczuwa się wojnę, ostrzały i ciągłe syreny alarmowe. Przykładowy dzień w Charkowie to budzik w postaci wycia alarmu przeciwlotniczego, potem rozkrzyczany telefon informuje, że nad miastem rosyjskie drony monitorują budynki, po kwadransie odgłos eksplozji jakiegoś pocisku „raszystów" i wszyscy szukają w telefonach informacji o zabitych i rannych. Komunikaty informują: „Horyzont już czysty", ale po godzinie znowu wyją syreny i choć nikt nie schodzi do schronu, a codzienne życie wygląda podobnie do naszego, to nieustanne napięcie i zerkanie w telefon w poszukiwaniu informacji o kolejnych ofiarach budzi zmęczenie i poczucie beznadziei. Może cywile na wschodzie nie upijają się w sztok, ale kieliszek wódki czy dwie szklanki piwa na odprężenie nie zaskakują tu nikogo, i to nawet w miejscu pracy.

To na zachodzie Ukrainy częściej słyszałem zapewnienia, że „będziemy walczyć do końca", ale ta część kraju żyje całkiem dostatnio i bezpiecznie, więc z daleka łatwiej jest demonstrować odwagę.

Czy opisywane wyżej nastroje zmieni informacja o wielomiliardowej pomocy USA dla Ukrainy? 60 mld dol. może przynieść sukcesy na froncie, nowe obrazki upokarzające najeźdźców i ulgę w wojskowej logistyce. Morale wojska i społeczeństwa to rzecz całkiem plastyczna, więc jeszcze wiele może się zdarzyć.

eprasa.pl 95fd45879a

Polityczna wojna o country

Demokraci wypowiedzieli republikanom wojnę na ich własnym terytorium, a ich Wunderwaffe stała się czarnoskóra Beyoncé z jej nową płytą, stylizowaną wyraźnymi odniesieniami do country. Muzyki będącej wciąż głosem konserwatywnej, milczącej większości Ameryki

MACIEJ WALASZCZYK

Kampanie wyborcze w USA od dziesięcioleci mają bardzo wysoką temperaturę. Polem, na którym teraz toczy się walka o wyborców, jest m.in. kultura muzyki contry, dla której bazą społeczną jest tradycyjna Ameryka, z tradycyjnym życiem, patriotyzmem, obyczajami i religią. Jedna z jej gwiazd – Morgan Wallen jeszcze dwa lata temu był numerem 1 na liście muzyków najczęściej odtwarzanych w serwisach streamingowych. Jednak w czasie wręczenia nagród Country Music Television (CMT) zlekceważono go, uwzględniając jedynie w gronie nominowanych. W lutym 2021 r. Wallen został bowiem przyłapany przez kamerę na rzucaniu rasistowskich obelg przed swoim domem w Nashville. Szybko starał się z tego wykręcić, przepraszał, wpłacał spore sumy na fundacje charytatywne, ale było już za późno. Sprawa ma bowiem kontekst polityczny. Na wyrozumiałość, nawet po śmierci, nie mógł liczyć zmarły w marcu na raka Toby Keith z milionami sprzedanych płyt na koncie. Uruchomiono wobec niego przemysł pogardy tylko dlatego, że w 2017 r. zagrał na inauguracji prezydentury Donalda Trumpa pod pomnikiem Lincolna. Choć był demokratą i nawet przychylnie wypowiadał się o Baracku Obamie.

CENZURA PRACUJE

Jesienią ub.r. po raz pierwszy w historii utwory muzyki country zajęły trzy pierwsze miejsca na liście 100 najpopularniejszych utworów magazynu Billboard. Triumfowała „Try That in a Small Town" Jasona Aldeana, druga była „Last Night" wspomnianego Morgana Wallena, a na trzecim miejscu uplasowało się wykonanie „Fast Car" czarnoskórej Tracy Chapman w wykonaniu Luke'a Combsa. Popularność „Try

Fot. Blair Caldwell/Parkwood Entertainment LLC

eprasa.pl 95fd45879a

That in a Small Town" Aldeana wzmocniła cenzura uruchomiona przez korporacyjne media i rozwścieczoną lewicę. Próbowano bowiem wymusić odwoływanie jego występów, a piosenkę uznano za rasistowską, bo aluzyjnie potępiała przemoc, demolowanie miast i prywatnej własności przez bojówkarzy z Black Lives Matter. W bardzo prosty i spokojny klip wpleciono nagrania z zamieszek, okradania sklepów przez czarnych manifestantów. Wspomniane CMT, którego właścicielem jest Paramount, uległo presji i teledysk ocenzurowano, a w końcu wycofano z emisji. Muzyk był atakowany też przez organizacje nazywające same siebie komunistycznymi, które przed jednym z jego koncertów w Chicago demonstracyjnie spaliły amerykańską flagę. W obronie wolności słowa i samego Aldeana wystąpił oczywiście Trump. „To fantastyczny facet, który właśnie zaprezentował nową, świetną piosenkę" – oświadczył.

W odpowiedzi na jego reakcję do ataku użyto Maren Morris, zaciągniętą na służbę lewackiej rewolucji i stylizowaną na artystkę woke, która całą branżę muzyki country określiła jako „mizoginistyczną, rasistowską, homofobiczną i transfobiczną". Muzyka Morris jest koszmarem, który atakuje nas z radia także w Polsce, ale to, co robi, jest jeszcze gorsze. Promocja drag queen jako rozrywki dla dzieci czy wspieranie operacji zmiany płci nawet u nieletnich to tylko kilka z jej aktywności publicznych. Trump i inni republikanie mogą się więc obawiać, że na ostatniej prostej do walki zostanie zaangażowana Taylor Swift (300 mln odtworzeń ostatniej płyty na Spotify), a więc najpopularniejsza obecnie gwiazda pop, będzie aktywnie prowadzić kampanię na rzecz reelekcji Joe Bidena. Ale na razie czołowi demokraci wzmacniają swoją bazę za pomocą innego muzycznego koszmaru, a więc Beyoncé.

PRZEBRANA ZA KOWBOJKĘ

Chodzi o jej nową płytę „Cowboy Carter", która łączy w sobie elementy gatunków country i typowej dla niej odmiany dance. Obok rzeczy, za pomocą których można torturować, zawiera również tak ikoniczny dla country utwór, jak „Jolene" Dolly Parton z lat 70. XX w. Na szczyt Billboard Hot Country wdarła się natomiast „Texas Hold 'Em", nawiązująca tytułem do najpopularniejszej odmiany pokera, osiągając na niej pierwsze miejsce. I jest pierwszą czarnoskórą artystką, której się to udało.

Po premierze płyty wiceprezydent USA Kamala Harris i gubernator stanu Michigan Gretchen Whitner zamieściły w mediach społecznościowych wymowne pochwały. „Beyoncé: zdefiniowałeś na nowo gatunek i odzyskałaś czarne korzenie muzyki country" – napisała Harris. I dokładnie o to chodzi. Jak widać, amerykańska lewica nieustannie odrabia lekcję z Gramsciego: ostro atakować, niszczyć pomniki i własność białych, pisać kulturę na nowo, cenzurować, prowadzić bezwzględną wojną, a jednocześnie wypierać przeciwnika z jego własnego terytorium. Na płycie jest wiele elementów manifestujących prawo czarnych do dziedzictwa muzyki contry. To np. hołd dla Linday Martell, piosenkarki z Nashville, która była pierwszą czarnoskórą artystką, która odniosła komercyjny sukces w tym gatunku.

Sama Beyoncé przy okazji swojego niedawnego występu podczas finału Super Bowl próbowała nawet stawiać się w szeregu rzekomo szykanowanych z powodu koloru skóry. Mówiła, że album „zrodził się z doświadczenia, które przeżyła wiele lat temu, kiedy nie czuła się mile widziana". Słowa te padły z ust osoby, której muzyka nieproszona wylewa się z telewizji i radia oraz jest ponad trzydziestokrotną zdobywczynią nagrody Grammy. Nie przypadkiem na płycie pojawia się też Willie Nelson. To słynny, ale już podstarzały gwiazdor country, który wspierał Bidena cztery lata temu, śpiewając podczas jego inauguracji i jadowicie atakując Trumpa.

GŁOS MILCZĄCEJ WIĘKSZOŚCI

Country to kultura głównie białej, chrześcijańskiej, politycznie republikańskiej i protrumpowskiej Ameryki. Jeszcze w latach 60. XX w. nie miała szczególnie politycznego odcienia. Południe było regionem popierającym demokratów, ale na wskroś konserwatywnych i nieprzypominających tych dzisiejszych, o czym świadczyły obyczajowe szykany wobec Elvisa Presleya czy historia wspierającego kontynuację polityki segregacji rasowej demokraty George'a Wallace'a, który w 1968 r. wystartował ze sporym sukcesem w wyborach prezydenckich. Ale wraz lewicową rewoltą kulturową i sukcesami ruchu na rzecz praw obywatelskich nastąpiło przesunięcie sympatii ku republikanom. A wraz z ich wyborami przeniosła się tam także uwielbiana przez nich muzyka country, która kulminowała w okresie prezydentury Richarda Nixona.

To on po raz pierwszy bardzo mocno posłużył się tą kulturą, przejmując dla prawicy jej tożsamościową siłę, będącą głosem konserwatywnej, milczącej większości, który dał prezydenturę jemu, a potem Ronaldowi Raganowi. Gdy w 1969 r. James Brown śpiewał, że jest czarny i jest z tego dumny, Merle Haggard puszczał oko do dziesiątków milionów Amerykanów, śpiewając, że tacy jak on „nie palą marihuany, nie jadą na LSD", lubią żyć dobrze i być wolni. Country celebrowała styl życia ludzi pogardzanych przez elity kulturalne i kontrkulturową lewicę. Tak jest również dzisiaj.

Jedna z gwiazd Aaron Lewis wykrzykuje ze sceny pod adresem prezydenta Biden „Pier... się" – potem w wywiadzie dla „Spectatora" wyjaśniał, że rządy lewicy oznaczają dyktaturę tłumu, który musi mówić i myśleć w taki sam sposób, niszcząc amerykański indywidualizm i wolności. Na jego ostatniej płycie znalazł się wielki przebój „Let's Go Fishing", w którym śpiewa o trudnościach, z jakimi borykają się zwykli Amerykanie za prezydentury Bidena, zmuszeni „pracować na dwa etaty i rabować bank", żeby położyć na stole coś do jedzenia i zatankować samochód. Pierwsze dwa wersy dokładnie oddają istotę przekazu Trumpa, mówiącego od lat, że globalny wolny handel podkopał stabilność materialną i styl życia dziesiątków milionów zwykłych ludzi. „Nie jestem wyprodukowany w Chinach z najtańszych części" – śpiewa Lewis w „Made in China".

W poparcie dla Trumpa całkowicie zaangażowany jest też słynny Lee Greenwood. Jego „God Bless the USA" często wykorzystuje się na wiecach i konwencjach republikanów od czasów Reagana. Jest też częścią ideologicznego nurtu tzw. prawicy religijnej o korzeniach protestanckich, motywującej miliony zwolenników do przeciwstawienia się rewolucji kulturowej lewicy. Przekonują oni, że powinni dążyć do odwojowania z rąk babilońskiej nierządnicy „siedmiu wzgórz Apokalipsy" współczesnego społeczeństwa: religii, edukacji, rodziny, mediów, rozrywki, biznesu i rządu. Na razie jedna z tych „apokaliptycznych" bitew toczy się na ich własnym terytorium – na polu muzyki country.

eprasa.pl 95fd45879a

Wrzenie na amerykańskich uniwersytetach

Wydarzenia, które rozegrały się w czwartek 18 kwietnia na terenie kampusu nowojorskiego Uniwersytetu Columbia mogą się okazać kluczem do bliskiej politycznej przyszłości Ameryki

JAN ROKITA

Na wezwanie rektor Columbii baronessy Nemat Shafik na uniwersytecki kampus wjechały oddziały antyterrorystycznej Grupy Reagowania Strategicznego (SRG) nowojorskiej policji, rozbijając antyżydowskie miasteczko namiotowe wzniesione dzień wcześniej przez studentów i zatrzymując przeszło setkę co bardziej aktywnych uczestników protestu.

Amerykańskie media twierdzą (nie umiem tego zweryfikować), że jest to w USA pierwszy przypadek – od czasu sławnej studenckiej rewolty sprzed po-

eprasa.pl 95fd45879a

Fot. lev radin/Shutterstock.com

nad pół wieku – gdy uzbrojone oddziały policji siłą rozpędziły studenckie protesty na terenie uniwersytetu. Powodem okupacji kampusu Columbii jest oczywiście wojna na Bliskim Wschodzie, a ściślej rzec biorąc – amerykańskie poparcie dla pacyfikacji Strefy Gazy.

Jednak studenci Columbii zręcznie nie uderzyli wprost w bliskowschodnią strategię rządu Bidena, ale w politykę władz swojego uniwersytetu. Oskarżyli uczelnię o... „finansowanie ludobójstwa", na co dowodem miałby być inwestycyjny wkład Columbii w takie koncerny, jak Microsoft, Google i Amazon, które, zdaniem studentów, wspierają operację prowadzoną przez armię izraelską w Gazie i używają cenzury dla zakłamywania obrazu tej operacji w przestrzeni publicznej.

Organizatorzy protestu zażądali zatem od rektor Shafik dwóch rzeczy: primo – aby natychmiast wycofała inwestycje Columbii w tych firmach, secundo – aby zerwała współpracę naukową z partnerskim uniwersytetem w Tel Awiwie. W reakcji na te żądania rektor wezwała na kampus antyterrorystyczne oddziały SRG. A to, co zaczęło się dziać od następnego dnia na dziesiątkach amerykańskich uniwersytetów, jako żywo przypomina hippisowską rewoltę studencką lat 1968–1970, która, jak dobrze wiemy, na dłuższą metę zmieniła ideowe i polityczne oblicze Ameryki.

POSTĘPOWE PANIE REKTOR

Żeby dobrze zrozumieć kontekst zdarzeń na Columbii, trzeba bliżej poznać sylwetkę baronessy Shafik. Pani rektor jest urodzoną w Aleksandrii Egipcjanką, pochodzi z bogatego rodu muzułmańskich właścicieli ziemskich, zdeklasowanego przez egipską rewolucję socjalistyczną. Dzięki emigracji na Zachód zrobiła wielką międzynarodową karierę naukowo-polityczną. W Wielkiej Brytanii przez jakiś czas była wiceprezesem banku centralnego i prezydentem londyńskiej LSE, po czym otrzymała tytuł szlachecki i dożywotnie członkostwo w Izbie Lordów.

Z kolei w Ameryce została najmłodszym w historii wiceszefem Banku Światowego i zastępcą dyrektora Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Aż w końcu na fali ruchu BLM („Black Lives Matter"), za sprawą którego czołowe amerykańskie uniwersytety nerwowo pozbywały się białych mężczyzn profesorów, na gwałt szukając jakichś kolorowych kobiet, rok temu otrzymała posadę rektora nowojorskiej Columbii, należącej do tzw. bluszczowej ligi, czyli dziesięciu najlepszych uniwersytetów świata.

Już w tej nowej roli rektor Shafik musiała obserwować ponure losy swoich bliskich koleżanek, które dzięki tej samej fali objęły funkcje na innych czołowych uniwersytetach, zwłaszcza rektor Uniwersytetu Pensylwanii – Liz Magill oraz Harvardu – Claudine Gay.

Po tym jak w listopadzie 2023 r. po rozpoczęciu izraelskiej pacyfikacji Gazy, na amerykańskich uniwersytetach organizowano pierwsze antyizraelskie manifestacje, obie te bardzo postępowe i antyrasistowskie panie rektor przyjęły wezwanie na przesłuchania w Kongresie USA, których rezultat dla obu był katastrofalny. Próbowały bowiem wtedy (choć trzeba przyznać – w sposób dość umiarkowany) bronić swoich studentów walczących z izraelskim „rasizmem". I obie zapłaciły za to cenę uznania za antysemitki przez cały amerykański establishment z prezydentem Bidenem na czele. A ponieważ uczelniom rządzonym przez antysemickie rektorki żydowski biznes natychmiast wstrzymał donacje, obie w niesławie musiały się podać do dymisji, bo inaczej czołowym uniwersytetom zagroziłoby bankructwo.

Baronessa Shafik albo miała jakąś nadzwyczajną intuicję, albo doprawdy czuwała nad nią Opatrzność, bo pod pretekstem problemów kalendarzowych wyłgała się z grudniowych przesłuchań w Kongresie. Ale niebezpieczeństwo zostania antysemitką groziło także jej, gdyż i ona – na dodatek przecież Arabka – nie dość stanowczo potępiała antyizraelskie manifestacje i coraz częstsze antysemickie wybryki lewicowych studentów Columbii wobec ich żydowskich kolegów. Co więcej, żydowscy potentaci (np. sir Leonard Blavatnik czy Robert Kraft) zawiesili finansowanie także jej uczelni, obwiniając rektor o nie dość stanowczą walkę z antysemityzmem wśród studentów.

Kiedy więc w połowie kwietnia studenci rozpoczęli okupację kampusu, wysuwając na dodatek (co tu dużo mówić) niedorzeczne żądania pod adresem władz uniwersyteckich, rektor Shafik natychmiast wykorzystała okazję do całkowitego uwolnienia się od antysemickich podejrzeń i zarzutów. Po prostu wezwała policję i kazała siłą spacyfikować antyizraelski protest. Tyle tylko, że chyba nie zdawała sobie sprawy, iż jej akcja co prawda uwiarygodni ją wśród Żydów i ocali finanse uniwersytetu, ale rozpęta ogólnoamerykańską awanturę o trudno jeszcze dziś przewidywalnej skali i konsekwencjach.

FALA PROTESTÓW

W poniedziałek 22 kwietnia na amerykańskich uniwersytetach zaczęło wrzeć. Na Columbii strajk rozpoczęli nauczyciele akademiccy, zarówno ci

eprasa.pl 95fd45879a

sympatyzujący z „antyrasistowskimi" żądaniami studentów, jak i ci przekonani, iż Shafik nazbyt pochopnie wezwała siły SRG na teren uniwersytetu. Ale twarda baronessa zarządziła zawieszenie zajęć uniwersyteckich do końca semestru (mogą się odbywać tylko zdalnie), zaś uczestników protestów zawiesiła, pozbawiając prawa do korzystania ze stołówek i domów studenckich.

Niebawem strajk studencki ogłoszono na nieodległym New York University, nad którego kampusem wkrótce pojawiły się helikoptery SRG. „Izrael bombarduje, NYU płaci, ile dzieci dzisiaj zabiłaś?" – pytali strajkujący Lindę Mills, rektor drugiej prywatnej nowojorskiej uczelni. Antyizraelskie miasteczka namiotowe zaczęły powstawać w kampusach w całej Ameryce. W Los Angeles na Uniwersytecie Południowej Kalifornii policja podjęła dość nieudolną próbę likwidacji miasteczka. W Atlancie na metodystycznym Uniwersytecie Emory'ego przeprowadzono akcję aresztowań studentów i profesorów, m.in. na wydziale filozofii. W Yale ogłoszono strajk głodowy, który też doprowadził do policyjnych zatrzymań. W sieci można obejrzeć filmik z kampusu stanowego Uniwersytetu Teksasu w Austin, gdzie widać dość brutalne sceny traktowania studentów przez policję.

Tego samego dnia, 22 kwietnia, gdy na uniwersytetach rozlewała się fala protestów, prezydent Biden występował w stanie Wirginia z okazji akurat przypadającego na ten dzień początku najważniejszego żydowskiego święta – Paschy. Zajścia na Columbii nazwał przypadkiem „rażącego antysemityzmu, który jest naganny i niebezpieczny". W ostrych słowach – mówił, iż „nie będzie dlań miejsca na kampusach uniwersyteckich" – prezydent nie wprost udzielił poparcia zarówno rektor Shafik, jak i kolejnym policyjnym interwencjom na uniwersytetach. Demokratyczny burmistrz Nowego Jorku Eric Adams oskarżył tajemniczych „zawodowych agitatorów" o skryte organizowanie antyizraelskich wystąpień. Rzecz jednak w tym, że jednoznaczne potępienia uniwersyteckich protestów i policyjne pacyfikacje wcale nie budzą zachwytu lewicowego elektoratu Partii Demokratycznej. Przeciwnie, w obozie Bidena zaczynają wywoływać coraz poważniejszą konfuzję.

POWTÓRKA Z 1968 r.?

I tak (by ograniczyć się tylko do nowojorskiej Columbii, od której wszystko się zaczęło) poszczególni kongresmeni demokratów publicznie prezentują skrajnie odmienne poglądy. Np. nowojorski poseł Josh Gottheimer jest tak mocno zaangażowany w walkę z antysemityzmem, iż nadal grozi Uniwersytetowi Columbia, że „zapłaci on cenę za to, iż nie zapewnia poczucia bezpieczeństwa żydowskim studentom". Ale już jego partyjna koleżanka z Izby Reprezentantów Ilhan Omar, która sama pochodzi z Somalii, a w czasie zajść na Columbii policja zatrzymała jej syna, jest całkiem innego zdania. Przekonuje, iż celem akcji studentów jest „wyrwanie uniwersytetu ze stanu ospałego samozadowolenia z trwającego ludobójstwa".

> To, co zaczęło się dziać od następnego dnia na dziesiątkach amerykańskich uniwersytetów, jako żywo przypomina hippisowską rewoltę studencką lat 1968–1970

Widać tu postępujące rozdwojenie jaźni w obozie Bidena w związku z konfliktem w Gazie. Prezydent, choć z pewnymi zniuansowanymi zastrzeżeniami, nie tylko stoi po stronie Izraela, lecz także – podobnie jak premier Netanjahu – uważa antyizraelskie poruszenie na uniwersytetach za przejaw antysemityzmu. Ale ani postępowi studenci, ani ich profesorowie (często jeszcze bardziej postępowi), ani też coraz liczniejsza część lewicowego i murzyńskiego elektoratu partii nie podziela takiego zdania.

„Antyrasistowskie" organizacje, które teraz przejmują koordynację protestów, zapowiadają właśnie, że ich kulminacja nastąpi w Chicago w trakcie konwencji Partii Demokratycznej, gdzie Biden ma uroczyście otrzymać wyborczą nominację. Jeden z czołowych liderów arabskiej społeczności w USA Abu Dayyeh już teraz zapowiada, że sierpniowa konwencja demokratów „będzie najważniejsza od czasu tej z 1968 r."

To oczywiście sarkastyczne nawiązanie do wydarzeń z Chicago z sierpnia 1968 r., kiedy podczas konwencji demokratów, na której prezydencką nominację odebrał Hubert Humphrey, doszło do trwających tydzień ciężkich walk pomiędzy przeciwnikami wojny w Wietnamie a policją i Gwardią Narodową. Ówczesne zdarzenia do dziś są przywoływane jako świadectwo dużej brutalności sił policyjnych. Polityczna istota rzeczy tkwi jednak w tym, że Humphrey, który twardo bronił bombardowań Wietnamu zarządzonych przez prezydenta Johnsona, przegrał ówczesne wybory ze zdeklarowanym konserwatystą Richardem Nixonem. Prowojenny kurs liderów partii rozjechał się bowiem z pacyfistycznymi nastrojami lewicowego elektoratu. A wszystko zaczęło się właśnie od potężnej fali protestów na uniwersytetach.

Zarówno Biden, jak i czołowi politycy demokratów, mocno rozzuchwalili własnych wyborców, nakłaniając ich jeszcze nie tak dawno do klękania przed kolorowymi, a nawet wspierając tak fanatyczne akcje ruchu BLM, jak całowanie butów Murzynów. W imię walki o postęp i przeciw rasizmowi na czołowych uniwersytetach bluszczowej ligi ich nowe władze tworzyły studia kobiece, afro-azjatyckie oraz studia queer/LGBT, jak również na gwałt zmieniały kryteria przyjęć, w efekcie czego na najbardziej prestiżowych uczelniach skokowo zmniejszył się odsetek białych studentów.

Ale fanatyzm, który był rozbudzany i podsycany przez polityków, w tym – co zdumiewające – wielokrotnie przez samego prezydenta, dziś uderza w wyborcze interesy demokratów i samego Bidena. Powtórka z Chicago 1968 r. jest więc o tyle możliwa, że antywojenne protesty osłabiają dziś podzielone i skonfliktowane wewnętrznie przywództwo Partii Demokratycznej. A antyżydowska fala na uniwersytetach tym prawdopodobniejszym czyni jesienne wyborcze zwycięstwo Trumpa.

eprasa.pl 95fd45879a

Komu służą lewicowe narkodyktatury?

Z przemytu i handlu kokainą żyją nie tylko miliony ludzi, lecz także niektóre administracje państw, o czym informuje się rzadko i niechętnie, aby nie łamać zmowy milczenia wobec praktyk lewicowych przywódców z krajów Ameryki Łacińskiej. Biały proszek służy elitom i celebrytom, a poparcie narkodyktatorów dla lewicowej agendy – walce z populistami i konserwatystami. Nikt z mainstreamu nie jest więc zainteresowany pisaniem o kryminalnej działalności lewicowych szefów państw

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Popkultura znieczula nas na tragedie, które suną śladem śmiercionośnego białego proszku. Swoista moda na „geniusza zła" – Pabla Escobara powinna być przedmiotem badań psychologii. Możemy się pocieszać, że popularność jego mitu nad Wisłą nie jest tak patologiczna jak admiracja wielu Latynosów czy Hiszpanów dla Władimirów: Lenina i Putina, ale na niewiele nam się to zda. Zidiocenie mas młodych ludzi jest tym większe, im więcej mamy technologicznych sposobów pokazywania ładnie opakowanych kłamstw i intelektualnego bełkotu.

MODA NA ZBRODNIARZA

Jeden z najokrutniejszych mafiosów w historii świata – Pablo Escobar przeżywa popkulturową reinkarnację w bohatera za sprawą filmów, serialu i książek. Nawet piosenkarz Mrozu, skądinąd dość inteligentny facet, w swojej piosence o kolumbijskim tyranie raczy nas frazami: „Przemycał ukojenie do krwi / W nocy robił wszystko, by związać koniec z końcem". Jeżeli założyciel narkotykowego imperium zła bywa mylony z Robin Hoodem, to tylko czekać, aż Latynosi śpiewać będą o tym, że także Putin robi wszystko, aby producenci i robotnicy przemysłu zbrojeniowego mogli związać koniec z końcem.

Legenda Escobara przekształcona w jakiś romantyczno-gangsterski melodramat skutecznie rozmywa odpowiedzialność narkotykowych bossów i co gorsza narkotykowych tyranów, z którymi dziś mamy do czynienia. Przytoczmy tylko parę danych. On i jego kartel z Medellín są odpowiedzialni za śmierć 550 policjantów oraz ponad 200 sędziów, polityków, dziennikarzy. Ma na sumieniu ponad 620 zamachów w miejscach publicznych, w których zginęło ponad 400 cywilów, a blisko 2 tys. zostało rannych. Szacuje się, że wojna, którą wypowiedział państwu i chaos, jaki zapanował w Kolumbii, pochłonął życie 15 tys. ludzi. Ale cóż to znaczy wobec barwnej legendy stworzonej przez popkulturowe fabryczki na cześć epickiej biografii łotra z egzotycznego państewka nad Morzem Karaibskim?

Dlaczego istnienia państw tyranizowanych przez narkodyktatury nie zauważają jednak media typu „Gazeta Wyborcza", OKO.press czy nawet „Rzeczpospolita"? To akurat najprostsze z pytań, bo bycie w lewicowym mainstreamie zobowiązuje do przemilczania spraw niewygodnych, a już zwłaszcza związku między dyktatorami Ameryki Łacińskiej z ich sympatiami dla agendy lewicowej, progresistowskiej i czasem wprost wyrażonym tęsknotom za komunizmem.

SIEROTY PO KOMUNIZMIE

Zacznijmy jednak od początku, a dokładnie od 1989 r., kiedy Polska zrzuca sowieckie kajdany i pada mur berliński. Kraje Ameryki Łacińskiej, pozostające w orbicie wpływów ZSRR, a przede wszystkim kubański klan Castro, orientują się, że sytuacja staje się rozpaczliwa dla państw „sierot" po rozpadających się Sowietach. Castro zdaje sobie sprawę, że musi stworzyć alternatywę i wraz z brazylijskim liderem lewicy rewolucyjnej, a dziś po raz kolejny prezydentem Brazylii Lulą da Silvą zakłada w 1990 r. Foro de São Paulo. Tak powstaje unia lewicy iberoamerykańskiej, która wyciąga macki po inne kraje regionu, aby je zdestabilizować i wciągnąć w nową lewicową międzynarodówkę,

eprasa.pl 95fd45879a

Kampanię wyborczą prezydenta Kolumbii Gustava Petro, o czym poinformował sam jego syn, sponsorowały kartele narkotykowe

która zapewni im wpływy i nieograniczoną władzę.

Forum zaczyna funkcjonować jako blok wzajemnego wsparcia, transferu wiedzy, towarów, technologii, pieniędzy, a łączy ich lewicowe wyznanie, rewolucyjne zapędy i populistyczne hasła o równości, które zdobywają popularność w społeczeństwach. Forum szybko kolonizuje instytucje Wenezueli, Boliwii, Nikaragui. Między Fidelem Castro a Hugiem Chávezem, prezydentem Wenezueli, rodzi się ścisła współpraca. Zdaje się, że po raz pierwszy w dziejach to malutki kraj – Kuba podporządkowuje sobie znacznie większą i świetnie prosperującą, bogatą wtedy jeszcze Wenezuelę. Ta w niecałe 15 lat staje się tyranią, miejscem humanitarnego dramatu i największego exodusu ludności w historii Ameryki Łacińskiej.

Forum São Paulo opiera się na ideach Antonia Gramsciego, założyciela Włoskiej Partii Komunistycznej, więc jego działacze wiedzą, że zwycięski pochód nowej odmiany komunizmu musi się odbyć przez instytucje kultury i szkolnictwa. „Ponad wszystko jesteśmy marksistami-leninistami" – powtarza Fidel Castro i w celu promowania komunizmu XXI w. Forum zawiązuje współpracę z kartelami narkotykowymi z terrorystami FARC (Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii) i Cártel de los Soles (Kartel Słońca) na czele.

Ta pierwsza organizacja, czyli FARC, to zbrojna grupa działająca w Kolumbii, wyznająca ideologię marksistowską i finansowana z handlu narkotykami. Jej członkowie od lat zabijają i porywają tysiące ludzi, bardzo często małoletnie dzieci, które są wykorzystywane seksualnie.

Z kolei Cártel de los Soles to największa obecnie struktura przestępcza na świecie. Nie jest to grupa hierarchiczna, raczej luźna sieć komórek przemytniczych zrzeszających funkcjonariuszy armii, marynarki wojennej, sił powietrznych i Gwardii Narodowej, od najniższego do najwyższego szczebla, które funkcjonują jako organizacje handlarzy narkotyków. Jak opisała ten kartel prokuratura USA, „jest to wenezuelska organizacja zajmującą się handlem narkotykami, złożona z wysokich urzędników, którzy znęcali się nad ludźmi i przejęli instytucje Wenezueli, w tym część wojska, aparat wywiadowczy, władzę ustawodawczą i wymiar sprawiedliwości, aby ułatwić wprowadzenie ton kokainy do USA. Nazwa nawiązuje do insygniów słońca umieszczanych na mundurach członków kartelu". Należy jednak dodać, że zajmują się również przemytem paliw i kontrolą kopalni złota, kamieni szlachetnych, koltanu i innych minerałów.

Przepływ gigantycznych pieniędzy pochodzących z przestępczej działalności tych i wielu innych karteli podporządkowanych rządowi w Caracas spowodował ekspansję lewicowej ideologii Forum São Paulo na kolejne kraje aż po Peru i Chile i, co ciekawe, ma swoje macki wśród demokratów z USA, a także w Europie – wśród europejskich biurokratów.

KOMISARZ BORRELL SOJUSZNIKIEM WENEZUELI

Jak można przeczytać w „El Mundo": „Partia Ludowa, Ciudadanos i Vox oskarżyły Josepa Borrella, wysokiego przedstawiciela UE ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, o »poddanie się« reżimowi Nicolása Maduro

eprasa.pl 95fd45879a

w Wenezueli". Oskarżenia wobec socjalisty Borrella o współpracę z lewicowymi reżimami wciąż przewijają się w mediach. Hermann Tertsch, eurodeputowany Vox i przyjaciel Polski, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP, jako jedyny od 2020 r. nieustannie denuncjuje na forum Unii współpracę hiszpańskiego komisarza w wybielaniu reżimów wenezuelskiego i kubańskiego.

Wiadomo jednak, że niemal 90 proc. narkotyków trafia do Europy i USA, wobec czego tak naprawdę przeciwstawienie się potężnym wpływom karteli narkotykowych nie leży w niczyim interesie, bo oznaczałoby to wypowiedzenie wojny także wpływowym elitom. Tak jak nikt nie zadziera z Chinami, tak samo nikt nie odważy się psuć interesów międzynarodówce iberoamerykańskiej, która w 2019 r., aby kosmetycznie oczyścić się z kryminalnego cienia, zmieniła nazwę z Foro de São Paulo na Grupo de Puebla. Z chwilą, kiedy ONZ i inne gremia międzynarodowe były zmuszone nazwać po imieniu zbrodnie, które miało na sumieniu Forum i wskazać na gigantyczną rzekę narkotyków wlewającą się za jego przyczyną do świata zachodniego, sprytni prowodyrzy podmienili sobie szyld.

Jako grupa z meksykańskiego miasta Puebla rozpoczęli jeszcze większą ekspansję, zrzeszając 19 państw Ameryki Łacińskiej, a także środowiska skrajnej lewicy z Hiszpanii (partia Podemos i obecna Sumar, pozostająca koalicjantem rządowym). I teraz, cytując za Wikipedią (a nie mamy powodu jej nie wierzyć, bo to wiedza powszechnie znana w Iberosferze): „Grupa Puebla liczy 170 członków. Wśród jej uczestników wyróżnia się 13 byłych prezydentów, premierów, m.in. Cristina Fernández, Evo Morales, José Luis Rodríguez Zapatero". Na liście są też urzędujący prezydenci i premierzy, których mainstream europejski chroni, poważa i traktuje jako swoich ludzi (wystarczy poczytać „GW"): Lula da Silva – prezydent Brazylii, Gustavo Petro – prezydent Kolumbii, Pedro Sánchez – premier Hiszpanii, Gabriel Boric –prezydent Chile itd. Hiszpański rząd jest bezpośrednio uwikłany w działania Grupy Puebla, a posłuszne mu media zachowują dyskrecję.

WSPÓŁPRACA RZĄDÓW Z KARTELAMI

Jak w praktyce wygląda współpraca z kartelami? Wystarczy zacytować artykuł Tertscha z „La Gaceta de la Iberosfera": „To nie przypadek, że rząd Hiszpanii rozwiązał specjalną jednostkę antynarkotykową Gwardii Cywilnej na wybrzeżu Kadyksu. To nie przypadek, że Evo Morales i Rafael Correa rozwiązali swoje jednostki antynarkotykowe w Boliwii i Ekwadorze. To nie przypadek, że Gustavo Petro zawiesił wszystkie wojny antynarkotykowe i negocjuje z gangami narkotykowymi z ELN, FARC, kartelem z Zatoki Perskiej i innymi podział terytorialny w celu wzajemnego wsparcia. To wiadome, że López Obrador w Meksyku ma taki podział terytorialny i jurysdykcyjny z kartelami, który czyni Morenę (partię skoligaconą z kartelem Sinaloa) nie do pokonania. To nie przypadek, że obszary upraw koki i konopi indyjskich powiększają się w Ameryce, Hiszpanii i Afryce. To nie przypadek, że Wenezuela, absolutne państwo narkotykowe, jest także kolosalną, zmilitaryzowaną platformą transportu i globalnej dystrybucji narkotyków wraz ze swoimi kolumbijskimi sojusznikami".

> Narkodyktatorzy rujnują swoje kraje, zlecają zbrodnie, duszą każdy wykwit opozycji. Najważniejsze jednak, że serce mają po lewej stronie, wdrażają polityki klimatyczne, feministyczne i progresistowskie. I dlatego nie możecie o nich nic złego przeczytać w głównych mediach mainstreamu

Z dalszej części tekstu dowiadujemy się, że narkokomunistyczne, międzynarodowe koncerny z Grupy Puebla zajmują się też handlem fentanylem, handlem ludźmi pochodzącymi z nielegalnej imigracji i handlem wpływami. Tertsch potwierdza też, o czym mówi się od lat, że to były premier Zapatero jest aktywnym łącznikiem i koordynatorem współpracy iberoamerykańskiej lewicy z Hiszpanią, Iranem i Chinami. Czym się różni narkodyktatura od dyktatury poza oczywistym tyranizowaniem całego społeczeństwa i oddaniem władzy w ręce jednego wodza? Kampanie prezydenckie narkodyktatorów były sponsorowane przez kartele prowadzące zbrodnicze interesy, np. w przypadku Gustava Petro poinformował o tym sam syn kolumbijskiego prezydenta Nicolas Petro.

Dlaczego handlarze narkotyków mieliby finansować kampanie? To proste – aby móc liczyć na wdzięczność i nieprzeszkadzanie w interesach. Ogromny biznes związany z handlem narkotykami jest najeżony pułapkami na wszystkich etapach. To śmiercionośny proceder na etapie produkcji (niezależnie czy pochodzi z plantacji, czy z laboratorium), zabójczy w dystrybucji hurtowej i detalicznej, a także w rywalizacji dostawców i gangów. Zabójczy w unieszkodliwianiu sędziów, prokuratorów, a także dziennikarzy śledczych. W oczywisty sposób zabójczy dla konsumentów, a jak widzimy na przykładzie USA i problemów z fentanylem – zabójczy dla całych społeczeństw. Zabójczy nawet dla systemów politycznych, bo kartele korumpują polityków, sędziów, świat mediów. Narkodyktatorzy rujnują swoje kraje, zlecają zbrodnie, duszą każdy wykwit opozycji i powodują nieprzerwany strumień imigrantów z Ameryki Łacińskiej.

Najważniejsze jednak, że serce mają po lewej stronie, wdrażają polityki klimatyczne, feministyczne i progresistowskie. I dlatego nie możecie o nich przeczytać nic złego w głównych mediach mainstreamu.

eprasa.pl 95fd45879a

Młody kraj ze starą tradycją

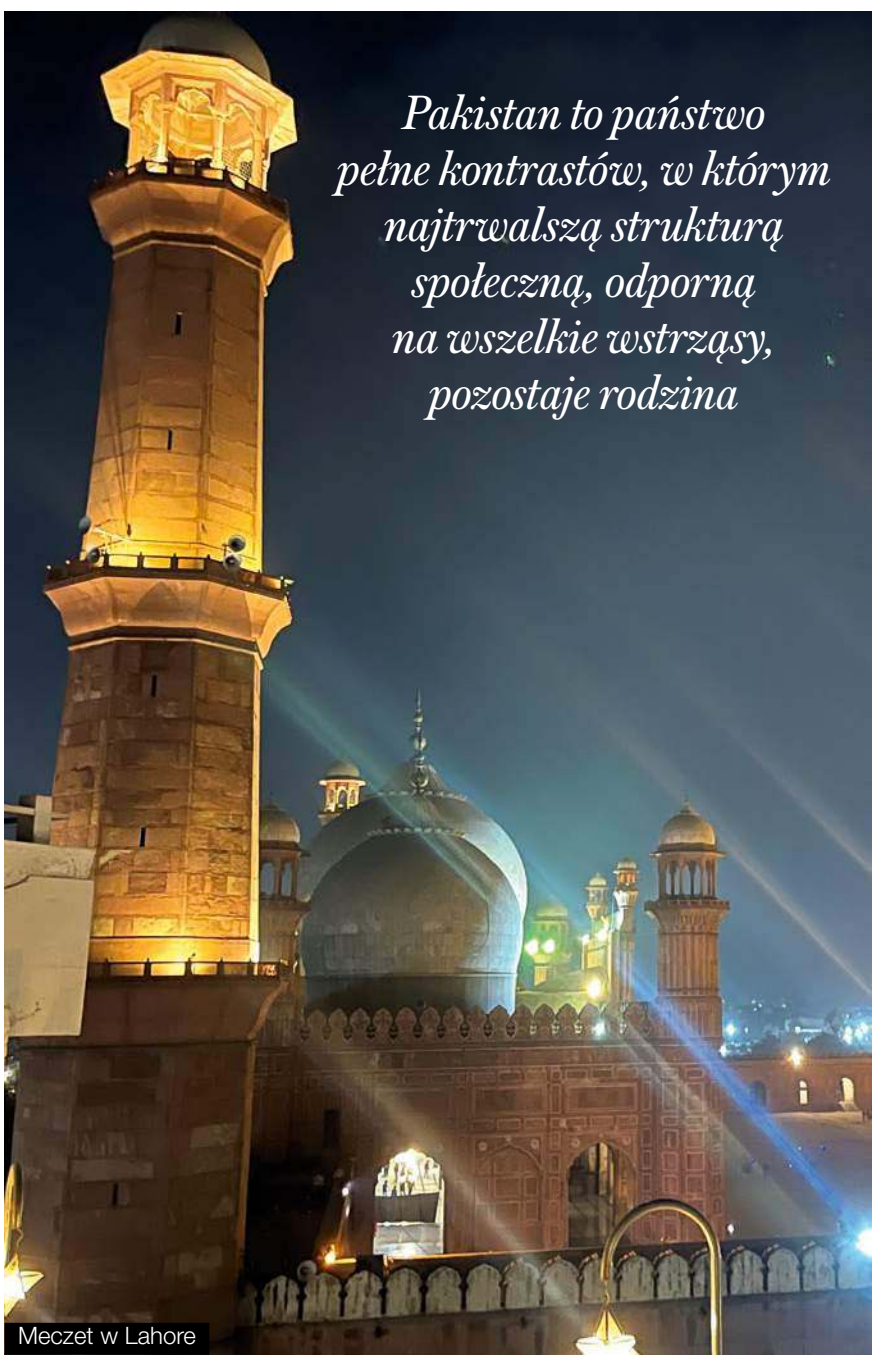

Pakistan to państwo pełne kontrastów, w którym najtrwalszą strukturą społeczną, odporną na wszelkie wstrząsy, pozostaje rodzina

Meczet w Lahore

GRZEGORZ GÓRNY

Granica między Indiami a Pakistanem liczy ponad 3 tys. km. Jest to jedyna granica na Ziemi widoczna z kosmosu, ponieważ Indie zainstalowały na odcinku o długości kilkuset kilometrów ok. 100 tys. mocnych reflektorów, które są włączane każdej nocy. Oświetlenie ma utrudniać przenikanie islamskich terrorystów, którzy w przeszłości dokonywali ataków terrorystycznych.

Największy taki zamach został przeprowadzony w 2008 r. w 10 miejscach na terenie Mumbaju, zginęło wtedy 175 osób. Akcja była dziełem organizacji Laszkar-i-Toiba, od 2002 r. zakazanej w Pakistanie.

BITWA NA SYMBOLE

Mimo tak długiej granicy między obydwoma państwami istnieje tylko jedno przejście lądowe: Wagah-Attari. Każdego dnia odbywa się tam niespotykany nigdzie na świecie rytuał o charakterze patriotycznym, politycznym, kulturalnym, propagandowym i rozrywkowym. Codziennie przed zachodem słońca i zamknięciem przejścia dochodzi do ceremoniału jednoczesnego ściągnięcia z masztów flag państwowych oraz zmiany warty. Po obu stronach towarzyszy temu imponujący spektakl, w którym biorą udział żołnierze kompanii reprezentacyjnych w galowych strojach z pióropuszami na głowach. Wykonywany przez nich układ choreograficzny,

eprasa.pl 95fd45879a

wywodzący się z brytyjskiej musztry, przypomina swoisty taniec bojowy lub pojedynek pawi, które swym wyglądem i zachowaniem próbują wykazać wyższość nad przeciwnikiem.

Po obu stronach przejścia wybudowano amfiteatry – jeden zwieńczony portretem Mahatmy Gandhiego, drugi Muhammada Alego Jinnaha – w których licznie zgromadzeni Hindusi i Pakistańczycy dopingują swoich żołnierzy, wznosząc patriotyczne hasła i śpiewając pieśni. To rodzaj wojny, która odbywa się w przestrzeni symbolicznej za pomocą rytuałów, gestów i znaków zamiast starcia militarnego na froncie. Między obydwoma krajami (posiadającymi zresztą broń jądrową) trwa bowiem zimna wojna, której początki sięgają czasów dekolonizacji.

Przejście graniczne Wagah-Attari

DEKOLONIZACJA I WOJNA

W 1947 r. Anglicy definitywnie opuścili Indie Brytyjskie, zwane perłą w koronie imperium. Była to ich kolonia, która składała się z ziem dzisiejszych Indii, Pakistanu, Bangladeszu oraz Mjanmy (wówczas nazywanej Birmą). Gdyby ów kraj przetrwał do dziś w takim kształcie, byłby państwem liczącym niemal 2 mld mieszkańców. Taki plan miał Mahatma Gandhi, który dążył do zachowania jedności byłej kolonii mimo różnic narodowościowych, religijnych i językowych dzielących jej mieszkańców. Ostatecznie zwyciężyła jednak koncepcja separacji, reprezentowana przez Jawaharlala Nehru z Indyjskiego Kongresu Narodowego i Muhammada Alego Jinnaha z Ligi Muzułmańskiej. Doszło do podziału, który miał charakter religijny: na wyznawców hinduizmu i islamu, mimo że obie grupy mówiły podobnymi językami (hindi i urdu), wywodzącymi się z tej samej mowy hindustani.

W efekcie powstały dwa państwa: Pakistan i Indie, między którymi wybuchła wojna o granice. Zginęło w niej ok. 1 mln osób. Ponieważ ludność muzułmańska i hinduska były wymieszane, dochodziło do starć i pogromów. Prawie 10 mln ludzi zostało przesiedlonych lub w obawie o życie opuściło swe domy, przenosząc się do drugiego kraju. Głównym przedmiotem sporu między obydwoma państwami był i do dziś jest Kaszmir – prowincja zamieszkana w większości przez muzułmanów, której władca, maharadża Hari Singh, początkowo pragnął zachować autonomię regionu, jednak ostatecznie przyłączył się do Indii.

W ciągu ćwierćwiecza oba państwa stoczyły trzy wojny o Kaszmir. Ostatnia zakończyła się w 1971 r. zwycięstwem Indii. W tym samym roku Pakistan musiał przełknąć koleją gorzką pigułkę – oderwała się od niego wschodnia część kraju, która utworzyła własne niepodległe państwo: Bangladesz. Stało się to mimo interwencji pakistańskiej armii, próbującej brutalnie stłumić ruch wolnościowy Bengalczyków.

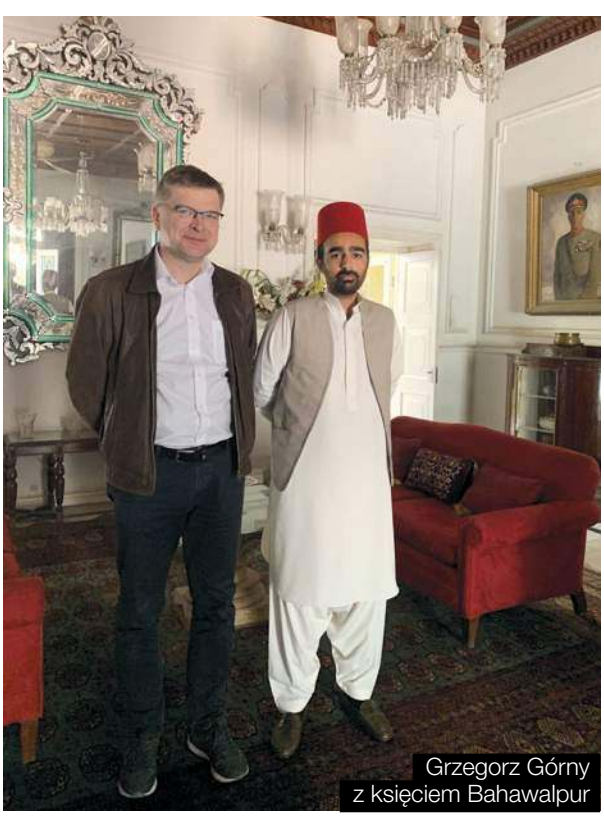
Grzegorz Górny z księciem Bahawalpur

KSIĄŻĘ BAHAWALPUR

W prowincji Pendżab odwiedzam ostatniego księcia Bahawalpura Abbasa Khana Abbasiego. Jego dziadek Sadiq Muhammad Khan Abbasi V znajdował się w podobnej sytuacji jak maharadża Hari Singh w Kaszmirze. Należał do muzułmańskiej dynastii Abbasydów, która rządziła księstwem Bahawalpur od 1690 r. (od 1833 r. pod protektoratem brytyjskim).

Kiedy Anglicy porzucili swą kolonię, monarcha opowiedział się po stronie Pakistanu, mimo długich namów Jawaharlala Nehru oferującego mu w zamian za przyłączenie się do Indii zachowanie władzy w Bahawalpur, nadanie księstwu autonomii i poszerzenie go o część Radżastanu. Książę Sadiq zdecydowanie odmówił, wypowiadając przywoływane do dziś często słowa: „Pakistan to moje

eprasa.pl 95fd45879a

drzwi wejściowe, a Indie to moje tylne drzwi. Każdy dżentelmen chciałby korzystać z drzwi wejściowych, a nie z tylnych".

Jako wyznawca islamu wybrał państwo muzułmanów, nie wysuwając przy tym żadnych warunków wstępnych. W 1947 r. Bahawalpur wszedł więc w skład Pakistanu jako autonomiczne księstwo. Po ośmiu latach autonomię jednak zlikwidowano, a dawne księstwo włączono do prowincji Pendżab. Zrzekając się tronu, Sadiq zarezerwował tytuł księcia dla swoich dwóch kolejnych potomków.

Jego wnuk Abbas Khan Abbasi jest ostatnim członkiem dynastii, któremu przysługuje tytuł książęcy. Przyjmuje nas w rezydencji, która – jak się potem okaże – była właściwie niewielkim zapleczem pobliskiego pałacu jego przodków. Ten ubrany w tradycyjny miejscowy strój, prezentujący (w sposób równie naturalny, co dyskretny) arystokratyczne maniery absolwent londyńskiego King's College sprawia wrażenie nieco zagubionego w świecie pakistańskiej polityki, do której próbuje wkroczyć. Na razie nie jest jednak w stanie odzyskać nawet olbrzymiego rodzinnego pałacu, który stoi obok, całkowicie zdewastowany w środku. Książę nie chce tam nawet wchodzić, ponieważ serce go ściska na widok tej ruiny.

W jego sylwetce jest coś przypominającego polskie losy: wywłaszczonych ziemian we wnętrzach swych splądrowanych posiadłości, których dawna świetność pozostała tylko na czarno-białych fotografiach.

SIŁA WIĘZÓW KRWI

Dziś centrum życia politycznego znajduje się w milionowym Islamabadzie – nowej stolicy kraju, która nie przypomina żadnego z miast Pakistanu. Zbudowana od podstaw w latach 60. XX w. z założenia miała się stać symbolem nowoczesnego państwa. Metropolia została zaprojektowana przez greckiego architekta i urbanistę Konstandinosa Doksiadisa – twórcę ekistyki, czyli takiego sposobu projektowania osiedli, by osiągnąć harmonię między mieszkańcami oraz środowiskiem naturalnym i społeczno-kulturowym. Miasto rzeczywiście stanowi kontrast w porównaniu z bardziej orientalnym, przeludnionym 15-milionowym Karaczi, które było stolicą do 1966 r.

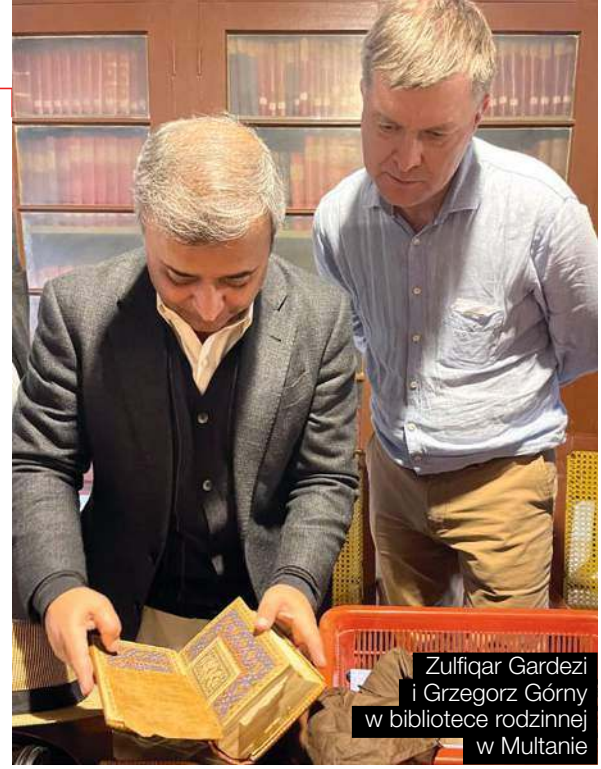

Zulfiqar Gardezi i Grzegorz Górny w bibliotece rodzinnej w Multanie

Choć sam Pakistan jest państwem młodym, istniejącym zaledwie od roku 1947, to jednak wśród mieszkańców żywe są inne tradycje, sięgające wiele stuleci wstecz i zbudowane na więzach krwi, jak choćby w przypadku rodu Gardezich w 2-milionowym Multanie.

Zulfiqar Gardezi, podejmując mnie w jednym ze swych domów, opowiada, iż najstarsze zapisy dotyczące jego rodziny w tym mieście sięgają 1088 r. (w Polsce był to czas panowania Władysława Hermana). Później wielokrotnie zmieniali się panujący, dynastie i królestwa, ale każdy kolejny władca potwierdzał rodzinie tytuł nadania własności. Wszystko wokół się zmieniało, powstawały i upadały państwa, ale familia trwała.

Najsłynniejszym przedstawicielem rodu był Szach Jusuf Gardezi, czczony jako wielki suficki święty. Jego grobowiec w formie mauzoleum, wzniesiony w 1152, a przebudowany w 1548 r., do dziś jest celem wędrówek licznych pielgrzymów. Zulfiqar Gardezi może się też pochwalić rodzinną biblioteką liczącą 20 tys. książek – są wśród nich średniowieczne, bogato iluminowane rękopisy Koranu.

O tym, jak ważną rolę w życiu Pakistańczyków pełnią więzy rodowe, przekonuje mnie fotografia wisząca w jego posiadłości. Na grupowym zdjęciu przed budynkiem widać ustawionych 496 osób. Każda z nich jest ponumerowana i opisana pod spodem z imienia i nazwiska. „To moja najbliższa rodzina" – wyjaśnia z uśmiechem gospodarz.

NAPIĘCIE RELIGIJNE

Książęta Abbas Khan Abbasi czy Zulfiqar Gardezi to przedstawiciele wykształconych i majętnych elit, które stanowią zaledwie kilka procent mieszkańców 236-milionowego Pakistanu. Jest to bowiem kraj olbrzymich kontrastów społecznych.

> Książęta Abbas Khan Abbasi czy Zulfiqar Gardezi to przedstawiciele wykształconych i majętnych elit, które stanowią zaledwie kilka procent mieszkańców 236-mln Pakistanu. Obok bogatych żyje tam wielu biednych, 40 proc. z nich nie potrafi czytać ani pisać

Obok bogatych żyje tam wiele biednych, 40 proc. z nich nie potrafi czytać ani pisać. Państwo, w którym na spłatę zadłużenia jest przeznaczane 57 proc. PKB, nie potrafi się uporać z problemem analfabetyzmu.

Może to być źródłem wielu nieoczekiwanych wydarzeń. Np. 25 lutego w kawiarni w Lahore młoda kobieta omal nie została publicznie zlinczowana

eprasa.pl 95fd45879a

Mauzoleum Gardeziego w Multanie

przed oblicze sądów. Najgłośniejszy był przypadek katoliczki Asi Bibi, fałszywie oskarżonej i skazanej na śmierć, lecz potem uniewinnionej i wypuszczonej na wolność, choć do dziś ukrywającej się w bezpiecznym miejscu. Lecz wyznawcy Chrystusa najczęściej padają ofiarami fałszywych oskarżeń i fizycznej agresji ze strony okolicznych mieszkańców.

Takie nastawienie jest jednak znacznie większym zagrożeniem dla powstałej w XIX w. wspólnoty Ahmadijja, która liczy w Pakistanie – według różnych szacunków – od 600 tys. do 2 mln wiernych. Ta społeczność religijna, która sama siebie uważa za muzułmańską, jest uznawana za heretycką sektę przez dużą część świata sunnickiego i szyickiego. Dlatego jej miejsca kultu są celami regularnych napaści bojówek ekstremistów, którzy m.in. burzą minarety owej wspólnoty. W zeszłym roku zgłoszono 42 przypadki takich ataków.

Jednak wszystkie wewnętrzne animozje ustają, gdy dochodzi do rywalizacji z Indiami, np. w krykiecie, który w obu krajach jest sportem narodowym. Elity z dwóch stron starają się kanalizować emocje społeczne w przestrzeń symboliczną, np. w kinematografię, w której czarnymi charakterami w filmach Bollywood pozostają Pakistańczycy, a negatywnymi bohaterami w filmach Lollywood – Hindusi. Zawsze lepsza jest strzelanina na ekranie niż w rzeczywistości.

przez rozwścieczony tłum. Okazało się, że miała na sobie wzorzystą sukienkę ozdobioną arabskimi literami. Ktoś, kto nie potrafił czytać, dopatrzył się w tych napisach cytatów z Koranu, których w rzeczywistości tam nie było. Zarzucono jej profanację i zamierzano na miejscu wymierzyć karę. W ostatniej chwili dziewczynie uratowała życie policja, która pod eskortą wyprowadziła ją z lokalu.

Ten przypadek pokazuje, że w Pakistanie oskarżenie o bluźnierstwo może dotyczyć także wyznawców islamu (wspomniana kobieta była muzułmanką). Na Zachód docierają zazwyczaj wieści o chrześcijanach, aresztowanych i trafiających z tego powodu

Zulfiqar Gardezi w mauzoleum szacha Jusufa Gardeziego w Multanie

Fot. Grzegorz Górny

eprasa.pl 95fd45879a

Lepsza śmierć z własnych rąk

Wojenna propaganda na Ukrainie pracuje na pełnych obrotach – prasa, radio i telewizja z całych sił podtrzymują na duchu zarówno walczących żołnierzy, jak i wspierające ich społeczeństwo. W miastach, przy drogach wielkoformatowe grafiki opiewają siłę ukraińskiej armii i dziękują jej za wysiłek. Przeważa patos, ale jest też zauważalna satyra. Jej ostrze jest wymierzone przede wszystkim we Władimira Putina. Jego zdjęcia są prześmiewczo retuszowane, a karykaturzyści uśmiercają go na przeróżne sposoby. Wszystkim moim ukraińskim rozmówcom najbardziej do gustu przypadła makabreska nazywana putakiri

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Gdyby samobójstwo Putina się ziściło, z miejsca stałoby się najbardziej wyszukiwaną frazą w internecie. Nie miałoby żadnego znaczenia, w jaki sposób do niego doszło, najważniejsze byłoby to, że Putin nie żyje. Tak przyjąłby to cały świat – poza Japonią. Dlaczego? Bo w tym kraju sposób zejścia ze świata ma ogromne znaczenie, a tradycje własnoręcznego odbierania sobie życia sięgają początków istnienia państwa.

Pierwsze wzmianki o seppuku – rytualnym rozcinaniu sobie brzucha przez samurajów – zaczęły docierać do Europy w połowie XVI w. w listach katolickich misjonarzy. Do szerszego audytorium informacje o tej praktyce dotarły 300 lat później. W 1854 r. komodor Matthew C. Perry, wpływając na czele flotylli dziewięciu okrętów wojennych do zatoki Edo (dzisiejsze Tokio), wymusił na szogunacie Tokugawów nawiązanie stosunków handlowych i dyplomatycznych z USA. W przeciągu kolejnych pięciu lat Japonia podpisała porozumienia z innymi zachodnimi mocarstwami – Francją, Anglią i Rosją. Zakończyło to ponad 200-letni okres *sakoku* – samoizolacji Kraju Kwitnącej Wiśni – i umożliwiło kupcom, podróżnikom oraz dyplomatom docierać do otwartych dla nich miast. Wkrótce zaczęły spływać listy i ukazywać się drukiem korespondencje opisujące Japonię i jej egzotykę.

W sobotę 30 maja 1868 r. do rąk czytelników francuskiego tygodnika „L'illustration Journal Universel", znanego Polakom z publikowania ilustracji obrazujących potyczki powstania styczniowego, trafiło wydanie pisma, na którego pierwszej stronie wydrukowano rycinę przedstawiającą harakiri Taki Zenzaburo z 9 lutego tego samego roku. Japończyk ów zawinił, wydając rozkaz ostrzelania cudzoziemskiej kolonii w Kobe, po tym jak dwóch francuskich marynarzy zakłóciło przemarsz podległej mu kolumny wojskowej. Trzydniowe starcia uspokoił dopiero rozkaz samego cesarza Mutsuhito, by Taki popełnił seppuku. Ze względu na międzynarodowy charakter zajścia świadkami ceremonii miało być siedmiu Japończyków oraz siedmiu cudzoziemców z przedstawicielstw dyplomatycznych Włoch, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Holandii. Po raz pierwszy w historii obcokrajowcy mieli na własne oczy przekonać się, że rytualne samobójstwa samurajów to nie zmyślone przez podróżników legendy. Jednym z obserwatorów był Anglik Algernon Bertram Mitford,

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 95fd45879a

TALES OF OLD JAPAN.

BY

A. B. MITFORD,

SECOND SECRETARY TO THE BRITISH LEGATION IN JAPAN.

THE CORNHILL MAGAZINE.

NOVEMBER, 1869.

którego relacja wraz z szerokim komentarzem autora ukazała się w listopadzie 1869 r. na łamach londyńskiego „The Cornhill Magazine". Jest ona najbardziej znanym i szczegółowym opisem naocznego świadka harakiri, przywoływanym często również przez japońskich historyków.

Dwa lata później Mitford wydał w Londynie „Opowieści dawnej Japonii", książkę która odniosła sprzedażowy sukces i zaznajomiła europejskiego czytelnika z japońską kulturą i tamtejszymi przekazami. Pierwszym z nich była historia 47 roninów, którzy po dokonaniu zemsty za śmierć swojego pana musieli rozpłatać sobie brzuchy.

BOSKIE POCZĄTKI

Przetłumaczone przez angielskiego dyplomatę opowieści były jedynie niewielkim ułamkiem wręcz ociekających posoką z porozrzynanych samurajskich trzewi japońskich sag wojennych. Ich bohaterowie wbijają w siebie swoje miecze na polach bitew, by nie dać satysfakcji wrogom z ich pojmania. Inni patroszą samych siebie w samotności i cierpliwie czekają, aż powolny upływ krwi przyniesie im śmierć. Kolejni rozrzucają naokoło swoje wnętrzności lub piszą przedśmiertne wiersze własną krwią. Jedni zabijają się z pomocą sług lub wasali, drudzy robią to z przyjaciółmi. Całe gospodarstwa domowe popełniają zbiorowe seppuku. Ojcowie ścinają głowy synom, a synowie ojcom. Zakochani rozcinają się na grobach ukochanych, wasale giną z własnej ręki w aktach rozpaczy po śmierci władców, a znieważone żony przebijają się ostrzami, by zawstydzić mężów.

Japońska literatura zawiera wyjątkowo bogaty wybór zarówno miejsc, jak i powodów, dla których bohaterowie targali się na własne życie. Niezmienna pozostaje jedynie zasada, zgodnie z którą wojownik niebędący już w stanie dumnie żyć powinien dumnie umrzeć, a najgodniejszą śmiercią samuraja jest harakiri.

Jedna z najstarszych zachowanych japońskich kronik – pochodzący z 713 r. n.e. krajoznawczy opis prowincji Harima, znajdującej się mniej więcej w połowie drogi między Kioto a Hiroszimą – zawiera pierwszy opis samobójczej śmierci w typowy dla samurajów sposób. W „bagnie rozciętego brzucha" miały nie żyć żadne ryby, po tym jak w jego wodach skończyła żywot bogini Aomi, którą szał spowodowany niemożnością odszukania jej boskiego męża Hananami pchnął do rozcięcia sobie mieczem trzewi i rzucenia się w toń.

GDZIE JEST DUSZA?

Genezy seppuku należy jednak szukać w wierzeniach starożytnych ludów Dalekiego Wschodu, według których siedliskiem duszy człowieka był właśnie brzuch, a nie serce czy głowa. Należy przyznać, iż koncept ten nie był obcy również w Europie – w greckim micie sęp wyjadał Prometeuszowi wątrobę, bo właśnie ona miała mieścić w sobie ludzką duszę.

Chińskie przekazy datują na 660 r. p.n.e. genezę legend o udowadnianiu wierności wojownika przez rozcinanie swojego brzucha. Wtedy to Hong Yang znalazł wątrobę zabitego i zjedzonego przez wrogów księcia Yi. Pogrążony w żałobie miał powiedzieć: „Panie pozwól, że posłużę ci za okrycie", następnie rozciąć się, umieścić książęcą wątrobę obok swojej i umrzeć.

Z kolei w V w. n.e. chiński skryba Rong Liang, kierując się logiką, według której człowiek o czystej duszy nie może mieć złych intencji, będąc oskarżony o romans z jedną ze służek, chwycił za miecz i za jego pomocą wydobył swoje wnętrzności. Akt ten dowiódł nie tylko czystości siedliska duszy obwinianego, a tym samym w mniemaniu wszystkich niewinności, lecz także zakończył jego 18-letni żywot.

PRAGNIENIE WSPANIAŁOŚCI

Choć rzeczywiście chińskie kroniki wcześniej odnotowują kilka przypadków samobójstw przez rozcięcie brzucha, to Japończycy uznali taką śmierć za najdoskonalszą, a sam akt wynieśli do rangi podniosłego rytuału. Nie był to zresztą odosobniony przypadek – w Kraju Kwitnącej Wiśni niejednokrotnie udoskonalano importowane z Państwa Środka techniki. Przez dostosowanie chińskiego pisma powstały japońskie znaki kanji. Z Chin na wyspy trafił też inny wynalazek, bez którego trudno sobie wyobrazić harakiri – miecz. Pierwsze egzemplarze przypłynęły w III w. n.e. Początkowo były przedmiotami obrzędowymi, lecz z czasem trafiały w ręce szlachty i wojowników.

Seppuku na stałe weszło do obyczajów japońskiego rycerstwa w końcowej fazie epoki Heian (794–1185), kiedy cesarstwo nawiedziły liczne klęski żywiołowe. W 1177 r. pożar strawił większą część Kioto, trzy lata później potężny tajfun ponownie zniszczył ówczesną stolicę Japonii, a w 1181 r. susza wywołała dwuletni okres strasznego głodu. Chaos dodatkowo pogłębiła seria trzęsień ziemi z 1185 r. W czasach, w których natura nie wszystkim pozwalała przetrwać do następnego dnia, wojownicy postrzegali odebranie sobie życia jako jedyną metodę zapisania swoich imion na kartach, milczących o ofiarach naturalnych kataklizmów, kronik. Samuraj nabity na własny miecz, leżący w kałuży krwi, z wyciekającymi organami umierał spektakularnie i w momencie wybranym przez siebie, a nie przypadkowo, jak to działo się w przypadku ludzi z gminu.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 95fd45879a

Minamoto no Tametono (1139–1170) i Minamoto no Yorimasa (1106–1180) już za życia otaczały legendy. Obydwaj zasłynęli jako wyśmienici wojownicy i łucznicy – pierwszy z nich miał jedną strzałą zatopić statek, a drugi ustrzelić *nue*, japońskiego demona. Zbieżność ich nazwisk jest przypadkowa, Tametono to kryminalista i okrutnik, Yorimasa służył ośmiu cesarzom, był wodzem i poetą. Obydwu samurajów połączyła śmierć przez harakiri. Pierwszy rozciął swój brzuch chwilę przed pojmaniem przez mających go zgładzić cesarskich żołnierzy, drugi zakończył żywot w świątyni po przegranej bitwie pod Uji, w której zginął także jego syn. Głowa Tametono została obcięta przez Kagekado – znanego tylko z tego czynu wojownika – i dostarczona cesarzowi. Yorimasa przed śmiercią napisał krótki wiersz i poprosił Tonau Watanabe, jednego ze swoich ludzi, o dekapitację po nabiciu się na własny miecz, by przez to na kartach kronik nie zapisał się nikt niegodny. Ten po śmierci swojego pana przywiązał jego obciętą głowę do kamienia i by nie wpadła w ręce wrogów, wrzucił do rzeki. Harakiri wspomnianych samurajów są najwcześniejszymi zapisanymi w japońskiej historii.

Przedśmiertny wiersz Minamoto no Yorimasy (na ryc.):
Jak kamienne drzewo
Które nie rodzi kwiatów
Smutne było moje życie
Skazane na niewydanie owoców

Wkrótce po nich w 1186 r. Satō Tadanobu, uciekając przed pościgiem, miał wejść na dach domu i tam – by w przypadku schwytania i tortur, nie zdradzić swojego pana – wykrzyczeć: „Teraz zobaczycie, jak rozcinam swój brzuch! Zabiję się, zanim którykolwiek z was zetnie mi głowę! Moja śmierć będzie przykładem dla wszystkich następnych!". Po czym przystąpił do dzieła samozniszczenia. Rozciął się dwoma cięciami na krzyż, ale nie stracił nawet przytomności. Sięgnął po swoje wnętrzności i rzucił nimi w ścigających go ludzi na ziemi. Pchnął się mieczem po raz trzeci. Udało mu się zakończyć życie dopiero po włożeniu miecza do ust, tak by ostrze wchodziło do gardła i rzuceniu się na twarz.

Wszyscy późniejsi samurajowie pragnęli, by ich śmierć była równie wspaniała. Dążąc do niej, własną krwią pisali historie rodów i cesarstwa. Ich posoka znaczyła pola bitew, świątynie, komnaty, a także sufity. W 1600 r. ostatni obrońcy zamku Fushimi popełnili zbiorowe harakiri. Ich krew na trwałe zastygła w drewnianej podłodze bronionej przez nich wieży. Twierdza upadła, ale czas poświęcony na jej oblężenie nie został stracony. Tokugawa Ieyasu zebrał armię, dzięki której wygrał bitwę pod Sekigaharą i został szogunem. W akcie uznania dla samurajów z Fushimi Tokugawa rozkazał rozebrać podłogę wieży, a deski z krwawymi plamami przekazać do siedmiu świątyń w Kioto z zastrzeżeniem, że nie wolno po nich stąpać. Mnisi wmontowali je w sufity i do dziś można je tam zobaczyć.

POWSZECHNA SPRAWA

Śmierć w Kraju Kwitnącej Wiśni nie była niczym szczególnym, a samobójstwa powszechne. Samurajowie popełniali je, by zachować honor, oczyścić się z winy lub niepowodzenia. W XVII w. popularne stały się harakiri po naturalnej śmierci pana – po bitwie pod Sekigaharą w cesarstwie zapanował trwający 300 lat pokój. Wojownicy nie mieli okazji zginąć piękną śmiercią. Małe księstwa na praktyce zwanej *junshi* ponosiły ciężkie straty – nie dość, że umierał władca, to jego najbliżsi współpracownicy uważali za dyshonor żyć dłużej niż ich suweren i kończyli przebici własnymi mieczami. Szogunat, widząc w tym marnotrawstwo, zakazał tej praktyki pod groźbą... kary śmierci dla członków rodziny samobójcy.

W Japonii nie tylko samurajowie ginęli z własnych rąk. Ze względu na wyjątkowo kreatywny i bezwzględny katalog kar dla kryminalistów woleli oni zabić się sami, niż dać się pojmać. W kronikach zapisały się przypadki rzucania się piratów i wykrytych skrytobójców na własne miecze. Szybka śmierć chroniła ich przed torturami i egzekucją, ale nie tylko ich. Świadomi tego byli złodzieje, którzy w sierpniu 1781 r. ograbili holenderski statek w japońskim oknie na świat, czyli w porcie w Deshimie. Mimo że zostali rozpoznani przez świadków i poddani kilkudniowym mękom, żaden z nich nie przyznał się do winy. Gdyby postąpili inaczej, kara spadłaby również na ich rodziny – tak jak w przypadku tłumacza, który w 1763 r. zamordował jednego z urzędników koreańskiego poselstwa. On sam został stracony, a jego bogu ducha winnemu bratu wyrwano wszystkie zęby i paznokcie.

W dobie powszechnego harakiri niczym nadzwyczajnym nie było odnalezienie martwych zwłok samuraja z rozciętym brzuchem. W takim przypadku wszyscy przyjmowali, iż nieboszczyk zginął z własnych rąk. I w tym swoją szansę dostrzegli zabójcy, którzy by zmylić trop, potrafili pozorować harakiri u swoich ofiar.

9 lipca 1656 r. Inaba Masayoshi, szef straży szoguna, został odnaleziony z otwartym brzuchem w swojej komnacie. Rodzina zmarłego nie zgodziła się z werdyktem, iż było to samobójstwo, i rozpoczęła własne śledztwo. Wkrótce potem dwóch strażników przyznało się do zamordowania swojego przełożonego. Inaba odkrył, że byli oni kochankami i w obawie przed konsekwencjami swoich wynaturzonych upodobań postanowili go zabić i upozorować harakiri. Mord na panu był jedną z najcięższych możliwych zbrodni, zatem kara musiała być odpowiednio surowa. W tym wypadku wykopano głęboki dół, napełniono go węglem drzewnym i przykryto bambusowymi żerdziami. Morderców wysmarowano olejem, przywiązano do bambusów i zgrillowano jak ryby.

Samobójstwo nie było wyłączną domeną mężczyzn, kobiety również targały się na własne życie. Najczęściej decydowały się na taki krok po śmierci męża czy ojca lub w sytuacji możliwego ich zhańbienia. Japonki najczęściej umierały nie aż tak spektakularną śmiercią jak ich krajanie, ale za to szybszą. *Jigai* polegało na przecięciu jednym ruchem noża lewej tętnicy szyjnej. Często przed jego wykonaniem damy związywały sobie kolana razem, by mimo pośmiertnych konwulsji zostać znalezione w godnej i przystojnej pozie.

Jednak zdarzały się również bardziej męskie samobójstwa kobiet. Jesienią 1730 r. Asano Yoshinaga, władca Hiroszimy,

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 95fd45879a

zakupił w stołecznym domu uciech młodą dziewczynę i dwóch przystojnych chłopców. Fakt ten był ryzykowny, ale dla jego żony znacznie gorsze było to, iż swoje „zakupy" zabrał z sobą w podróż do domu. Pani Setsu zamknęła się w swojej komnacie i rozcięła swój brzuch pojedynczym cięciem. W liście pożegnalnym napisała: „Być może dla możnowładcy kupowanie sobie zabawek w dzielnicy przyjemności nie jest nieprzyzwoite, ale to, że przyprowadza je do domu, jest niewybaczalne". Rankiem, w chwili odnalezienia, jeszcze oddychała. Gdy zmarła, trzy z jej służących poprosiły o zgodę na dołączenie do swojej pani. Po akceptacji ich prośby dwie rozcięły swoje brzuchy, a trzecia przebiła sobie gardło sztyletem. „Męska" śmierć żony Asano wywołała sensację. Jej manifestacja była zarazem karą dla męża. Setsu pochodziła z samurajskiej rodziny i swoim czynem pokazała, że było jej bliżej do miana wojownika niż mężczyźnie, którego poślubiła.

Sześć lat później inna kobieta postąpiła podobnie. Za zabicie własnego męża, który miał romans z żoną swojego pana, została skazana na uduszenie i ukrzyżowanie. Mizoguchi Yono zażądała śmierci przez rozcięcie brzucha. „Mogę być kobietą, ale jestem też samurajem. Chcę umrzeć przez harakiri" – miała powiedzieć po usłyszeniu wyroku. Jej przełożeni przychylili się do jej prośby. Dzięki takiemu rozwiązaniu skandal nie nabrał rozgłosu, a sprawa została załatwiona za zamkniętymi drzwiami. Mizoguchi przyjęła na siebie wstyd za występek męża, ale też zachowała honor, rozcinając swój brzuch.

RYTUAŁ ŚMIERCI

W kraju, w którym parzenie herbaty podniesiono do rangi długotrwałego ceremoniału, wykonywanie kary śmierci nie mogło nie rozwinąć swoich obrzędów. Większość opisanych dotąd samobójstw było mniej lub bardziej, ale dobrowolnymi aktami. Każdy samuraj za popełnione czyny mógł być skazany przez swojego pana na śmierć. W takim wypadku ginął on podczas rytuału seppuku, podczas którego rozcinał swój brzuch (dokonywał harakiri), po czym zostawał ścięty mieczem.

Życie w feudalnej Japonii było stąpaniem po kruchym lodzie. Śmierć czyhała niemal za każdym rogiem. Rozkaz seppuku mógł przyjść w każdej chwili. Nie trzeba było popełnić ciężkiej zbrodni w naszym rozumieniu, by musieć włożyć białe, żałobne kimono i założyć w nim prawą połę na lewą, tak jak robiono to wyłącznie nieboszczykom, by skończyć bez głowy i z rozciętym brzuchem.

W archiwach z pierwszej połowy XVII w. zachowały się rozkazy seppuku i ich przyczyny. 25 kwietnia 1613 r. decyzją szoguna: śmierć synów Ōkubo Nagayasu – za niedawno odkryte malwersacje ich zmarłego ojca, ponadto konfiskata spadku. 12 maja 1623 r. rozkazem władz wojskowych: nakaz seppuku dla Matsudaira Jinzaburō za obrazę przełożonego. Lipiec 1623 r.: seppuku dla Yody, wasala Tokugawa Tadanaga, za złamanie zakazu zsiadania z konia wewnątrz czwartego kręgu zamku w Edo. 6 czerwca 1636 r. seppuku: dla Imada Gentarō i dekapitacja jego rodziny (trzy osoby) za ukrywanie chrześcijan.

Na śmierć można było zostać skazanym za łapówkarstwo, kradzież, niegospodarność czy udział w walce niezależnie od tego, czy się atakowało, czy było się napadniętym. Nie zdarzały się odmowy wykonania dostarczanego wyroku. Samurajowie przyjmowali go z wdzięcznością za umożliwienie im odejścia w honorowy i oczyszczający sposób. Wiedzieli też, że w razie sprzeciwu czekałby ich jeszcze straszniejszy los. Sami zostaliby pozbawieni tytułu szlacheckiego i zhańbieni publicznym ścięciem jak ludzie z gminu, ich majątek uległby konfiskacie, krewni płci męskiej, niezależnie od ich wieku, zgładzeni, a kobiety oddane w niewolę lub do domów publicznych.

Od momentu odczytania wyroku skazany był już uważany za martwego, a ceremonię należało przeprowadzić jak najszybciej rankiem lub wieczorem, tak by odbyła się ona przy tuszującym drastyczność świetle świec. Miejsce seppuku należało odpowiednio przygotować – rozpalić maskujące nieprzyjemne wonie kadzidła, rozłożyć maty i przykryć je czerwonym materiałem. Jeżeli egzekucja odbywała się na otwartym powietrzu, rozstawiano białe zasłony zapewniające dyskrecję. Obowiązkowo musieli być obecni oficjalni świadkowie sporządzający protokół i potwierdzający wykonanie wyroku. Skazaniec

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 95fd45879a

z kolei przygotowywał się, odbywając kąpiel, świeżo goląc część głowy, która w tradycyjnej samurajskiej fryzurze *chonmage* powinna być łysa, pisząc przedśmiertny wiersz i przez nadzorców przekazując ostatnie słowa pożegnania. Twarz mył w zimnej wodzie, bo ciepła zwiększała ukrwienie i późniejsze krwawienie. Na koniec mógł zjeść lekki posiłek i nakładał róż na policzki, by jego oblicze nawet po śmierci wyglądało zdrowo. Bezpośrednio przed seppuku była mu podawana sake, która miała też znaczenie oczyszczające w sensie religijnym.

Niepomijalnym uczestnikiem rytuału był kaishakunin, często przyjaciel skazańca, który oddawał mu ostatnią przysługę – w odpowiednim momencie ścinał mu głowę. Funkcja ta pojawiła się po 1500 r., kiedy ceremonia seppuku kończyła się formalizować. Kaishakunin nie rzadko popełniał harakiri po wykonaniu swojego zadania – szczególnie gdy dobijał własnego pana, a po dotknięciu mieczem władcy dla samuraja śmierć była jedynym wyjściem. Ci specyficzni sekundanci byli powoływani z praktycznych powodów – samo rozcięcie brzucha rzadko kiedy kończyło się szybkim zgonem. Ponadto oczekiwano, iż skazaniec w trakcie harakiri, by się nie zhańbić, zachowa ciszę i spokój – kaishakunin mógł szybko skończyć jego męki w chwili słabości. Samego ścięcia dokonywano najczęściej mieczem skazańca – symbolicznie ginął on od tego samego ostrza, z którego żył. Kaishakunin w trakcie egzekucji stał za popełniającym seppuku, tak by ten go nie widział, i zadawał cios po rozcięciu przez niego brzucha. W rzeczywistości najlepszy moment do ścięcia pojawiał się, gdy skazaniec sięgał po sztylet *wakizashi*, kładziony na małym stoliku przed nim w takiej odległości, by biorąc go, musiał się pochylić. Skutkiem czego, szczególnie od XVIII w., skazani często ginęli, zanim mieli możliwość rozcięcia siebie.

Kaishakunin w wyrazie szacunku mógł tak ciąć, by głowa nie upadła na ziemię, a zawisła na cienkim pasku skóry. Zdarzało się, że ścięta głowa mrugała jeszcze oczami lub gryzła żwir, co było dla niej hańbiące. Z kolei korpus powinien paść przed siebie. Jeżeli tak się nie działo, rolą kaishakunina było go obalić i ewentualnie przebić mieczem, gdyby jeszcze okazywał oznaki życia. Po zadaniu ostatniego ciosu sekundant chwytał głowę za włosy, a w przypadku łysych – przebijał jej ucho szpikulcem *kogai* i na nim prezentował ją świadkom.

INCYDENT W SAKAI

W teorii wszystko przebiegało sprawnie, jednak wraz z upływem lat i trwającym od 1600 r. pokojem samurajowie zatracali umiejętności posługiwania się mieczem. Zdarzało się, że potrzebowali kilku cięć do oderżnięcia głowy lub musieli ją odcinać niczym piłą, gdy nieumiejętnie prowadzone ostrze klinowało się między kręgami szyjnymi.

Takim pokazem niekompetencji zakończyło się seppuku 20 samurajów, uznanych za winnych zastrzelenia 11 francuskich marynarzy, którzy 8 marca 1868 r. zeszli na ląd w Sakai w pobliżu Osaki, mieście zamkniętym dla cudzoziemców. Ceremonia odbyła się 19 marca w Myōkokuji, najstarszej świątyni w Sakai. Uczestniczyli w niej przedstawiciele francuskiego poselstwa. Władze klanu Tosa, z którego pochodzili skazani samurajowie, nakazały im, by dali z siebie wszystko, pokazali dzielnego ducha Tosa i zaimponowali cudzoziemcom.

Przebieg ceremonii zapisał uczony Sasaki Kaizō. Pierwszy miał zginąć 24-letni dowódca – Minoura Inokichi. Zasiadł na wyznaczonym miejscu, rozebrał się do pasa, przystawił ostrze do lewego boku i wykrzyczał w kierunku obserwatorów: „Ej, wy podli Francuzi! Nie umieramy dla was! Robimy to dla cesarza i Japonii! A teraz patrzcie, jak Japończyk rozcina swój brzuch! Już nigdy nie będziecie chcieli jeść mięsa!". W normalnym wypadku za taką impertynencję kaishakunin ściąłby go, ale te seppuku miały być pokazowe. Inokichi rozciął się dwoma cięciami na krzyż, włożył rękę w trzewia i wyrwał z nich garść wnętrzności. Trzymając je w dłoni, patrzył na Francuzów, jakby chciał w nich rzucić tym, co trzymał w dłoni. Jego kaishakunin, Mabuchi Momotarō, postanowił przerwać spektakl, ale chybił i miecz zadał jedynie płytką ranę na czubku głowy Minoury. „Uspokój się, Mabuchi!" – krzyknął raniony. Drugi cios zagłębił się głęboko w szyję. Głowa Minoury przechyliła się do przodu, ale nie była odcięta. „Nadal żyję! Uderz jeszcze raz!" – krzyczał dławiący się krwią Minoura. Przerażeni Francuzi odwracali wzrok, a umierający ponownie włożył rękę w rozcięty brzuch, jednak trzecie cięcie pozbawiło go życia.

Wyjątkowo krwawy spektakl trwał kilka godzin. Mniej niż połowa z 20 kaishakuninów wykonała zadanie jednym ciosem. Jedna z głów, obcięta zbyt wcześnie, została zhańbiona niemal sześciometrowym lotem, który odbyła po niewprawnie zadanym ciosie, a czwartemu kaishakuninowi nie udało się oddzielić głowy skazańca nawet po siedmiu próbach! To seppuku skończyło się, gdy kaishakunin na klęczkach odkroił głowę swojego samuraja sztyletem. Po 11. egzekucji Francuzi mieli dość i opuścili chram. Japończycy skończyli pracę po złożeniu 20 ciał w grobach przy świątyni.

IDZIE NOWE

W marcu 1869 r. Ono Sigorō zgłosił w japońskim parlamencie projekt zniesienia przymusowego seppuku. Ustawa w pierwszym czytaniu nie została przyjęta, a jej wnioskodawca został zamordowany. Dwa lata później, w duchu modernizacji Japonii, nowe prawo zostało zaakceptowane i seppuku zniknęło z japońskiego systemu karnego. Nie oznaczało to wymarcia rytuału. W 1876 r., po wprowadzeniu zakazu noszenia samurajskich mieczy przez Japonię przeszła fala ceremonialnych samobójstw. Samurajowie nie mogli żyć bez katan i *wakizashi* przy pasie, będących ich duszą i największym skarbem. Ostatnim znanym seppuku w historii było popełnione przez japońskiego pisarza Mishima Yukio w 1970 r., po nieudanej próbie wywołania puczu i restauracji władzy cesarskiej.

* * *

Wracając do Putina – moi ukraińscy rozmówcy zgodnie twierdzili, że nie uratowałby on honoru, popełniając seppuku, bo go nigdy nie miał. Wysublimowany rytuał był zarezerwowany tylko dla ludzi godnych, a nie dla kanalii jego pokroju. Ich zdaniem najlepiej, gdyby zapił się na śmierć, jak Rosjanie mają to w zwyczaju, zagrał w rosyjską ruletkę pistoletem albo uwiązał młyński kamień u szyi i rzucił się w morskie odmęty.

Imiona i nazwiska japońskich postaci wymienianych w artykule są pisane w tamtejszym porządku: nazwisko i imię

eprasa.pl 95fd45879a

Zwycięskie Waterloo

Pół wieku temu nieznany szerszej publiczności szwedzki zespół odniósł spektakularny sukces. I to przywołując słynną klęskę Napoleona. Utwór „Waterloo" pokonał eurowizyjną konkurencję i rozpoczął światową karierę zespołu ABBA

Fot. East News/Rex Features

eprasa.pl 95fd45879a

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Myślą o 19. Konkursie Piosenki Eurowizji – który odbył się w kwietniu 1974 r. w brytyjskim Brighton – stworzony kilkanaście miesięcy wcześniej zespół ABBA przygotował dwie propozycje. Ballada „Hasta Mañana" (w Polsce znana z wykonania Anny Jantar) wydawała się lepiej pasować do formatu Eurowizji. Wygrał jednak inny utwór, otwierając grupie drogę do światowych sukcesów.

NAJWAŻNIEJSZE W PIOSENCE

Zgodnie z opinią Stiga Andersona, menedżera zespołu, a także tekściarza i kompozytora, „Waterloo" miało to, co w piosence najważniejsze (poza chwytliwą muzyką), czyli tytuł „krótki i łatwy do odczytania na ekranie telewizora; zrozumiały zarówno w Polsce, jak i Jugosławii". Trzysylabowe słowo rozpoczynało też wpadający w ucho refren.

W książce „ABBA. Historia kultowego zespołu", wydanej właśnie przez Znak Koncept, Carl Magnus Palm wspomina, że już podczas szwedzkich eliminacji do Eurowizji ABBA miała w rękawie jeszcze jednego asa. Były to kostiumy – „najbardziej ekstrawaganckie, jakie kiedykolwiek widziano", zainspirowane stylem glamrockowych grup, takich jak T. Rex, Wizzard czy The Sweet.

Palm nie ma wątpliwości: „Błyszczące, kolorowe tkaniny, pagony (pasujące do „militarnego" motywu piosenki) i buty na koturnie stworzyły stylizację, która musiała zrobić wrażenie na widzach". Do tego doszło żywiołowe wykonanie „Waterloo" i ABBA mogła kupować bilety na Eurowizję, by również na tej scenie odnieść widowiskowe zwycięstwo.

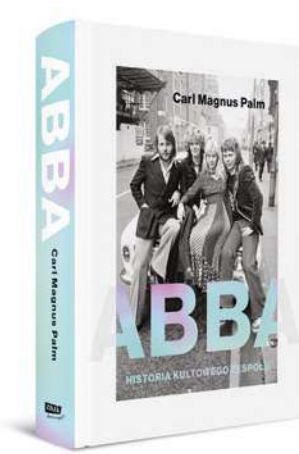

SZALONA HISTORIA

Sprawdziła się zarówno muzyczna dynamika, jak i lśniący wizerunek. „Zastosowano wszelkie tanie chwyty i nawet dyrygent Sven-Olof Walldoff zgodził się przebrać za Napoleona – wspomina Palm. „Wszystko poszło zgodnie z planem, a nawet lepiej" i Björn Ulvaeus mógł tak skomentować sukces zespołu: „Boże, wczoraj byliśmy zupełnie nieznani, a jutro cały świat stanie przed nami otworem. Staliśmy się sławni w ciągu jednej nocy".

Cztery dekady później ten sam artysta stwierdził: „Dziś trudno dostrzec, jak szalona jest historia zespołu ABBA. Zdarzyła się naprawdę, jednak gdyby ją spisać jako powieść, wszyscy uznaliby ją za mało realistyczną".

Trudno się z tym nie zgodzić, bo jakie szanse na międzynarodowy sukces miała grupa, która początkowo nosiła niemożliwą do wymówienia nazwę: „Björn & Benny, Agnetha & Anni-Frid"? I kto mógł przypuszczać, że założony w 1972 r. zespół zostanie uznany za jeden z najbardziej znaczących i kasowych w historii muzyki pop, sprzeda ponad 300 mln płyt na świecie, a musical oraz film „Mamma Mia!" sprawią, że utwory ABBY są współcześnie o wiele bardziej znane niż u szczytu kariery grupy w latach 70. ub.w.?

W SKUTECZNYM CZWOROKĄCIE

C.M. Palm uważa, że zadziałało też niespotykane wcześniej połączenie różnych charakterologicznie postaci. Z jednej strony naiwna blondynka (Agnetha Fältskog, rocznik 1950), która „miała na swoim koncie kilka przebojów w Szwecji, ale wydawała się nieprzygotowana na międzynarodową karierę". Obok niej urodzona w Norwegii (w 1945 r.) Anni-Frid Lyngstad, ciemnowłosa wokalistka i tancerka ze skomplikowaną rodzinną historią. I jeszcze dwóch byłych gwiazdorów muzyki pop (Benny Andersson, ur. 1946 r. i Björn Ulvaeus, ur. 1945), popularnych w latach 60., którzy w nowo powstałym kwartecie postanowili rozwijać się w roli kompozytorów i producentów.

„Dodajmy do tego piosenkarki wchodzące w romantyczne związki z tymi kompozytorami i producentami i mamy historię [...] jak z taniego romansu" – podsumowuje Palm, jednocześnie podkreślając znaczący wkład w sukces zespołu wspomnianego już menedżera. „Kiedy ABBA święciła swój pierwszy triumf, Stig miał 20 lat doświadczenia w branży" – komentuje autor książki. „Jego pomysłowość w odnajdywaniu nowych ścieżek, którymi można wydostać się poza granice Szwecji, jego nastawienie, dzięki któremu to, co inni postrzegali jako przeszkodę, on traktował jako kolejny krok oraz jego przekonanie, że nie wolno absolutnie niczego pozostawić losowi, nawet jeśli oznaczało to niezliczone loty z jednej strony globu na drugą, by spotkać się z kimś osobiście, okazały się kluczowymi atutami w osiągnięciu tego, co wielu uznało za niemożliwe. Stigowi, rzecz jasna, bardzo pomogło to, że muzyka, którą chciał pokazać światu, była tak chwytliwa" – dodaje.

Zwycięskie „Waterloo" z 1974 r. stało się dla zespołu ABBA medialną, artystyczną i komercyjną trampoliną. Wypromowało też na świecie szwedzką branżę muzyczną.

Tegoroczny 68. Konkurs Piosenki Eurowizji odbędzie się 7, 9 i 11 maja w Malmö. Szwecja po raz siódmy będzie gospodarzem wydarzenia. Czy ktoś dorówna ABBIE?

Fot. Shutterstock, materiały prasowe

eprasa.pl 95fd45879a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Do piachu" – trudna, a jednak prawda

„Bezwzględna próba demitologizacji niepodległościowego podziemia w czasie drugiej wojny, a także bezlitosna polemika z romantyczną wizją walki" – takim entuzjazmem „Gazeta Wyborcza" zaanonsowała powtórkę „Do piachu" Tadeusza Różewicza w TVP1. Kazimierz Kutz wystawił tę sztukę w 1990 r. w Teatrze Telewizji. Pamiętałem spektakl i wrzawę wokół niego. I jak go wtedy broniłem, tak nadal bronię, bo w moim odczuciu to nie o demitologizację tu chodzi.

Co ciekawe, ten dramat, opisywany jako „pamflet na Armię Krajową", latami blokowała PRL-owska cenzura. W 1979 r. pozwolono go wystawić Tadeuszowi Łomnickiemu w Teatrze na Woli. Oprotestowali go kombatanci, wtedy już tradycja AK-owska była do pewnego stopnia uznawana za część oficjalnej spuścizny przez PRL. Sam autor, dawny partyzant AK, chciał jej zdjęcia z afisza. Po raz drugi Kutz zrobił ją dla telewizji po przełomie i stracił posadę szefa krakowskiego ośrodka jako autor „antypatriotycznej prowokacji". „Do piachu" zwalczały środowiska prawicowe.

Zaczyna się szokująco. Partyzancki watażka Marek (fenomenalny Jan Nowicki) wygłasza pijackie tyrady. Przyznaje się do brzydkich czynów, zarazem jako polski pan kłoni głowę przed chłopami-partyzantami. Potem zapatrzony w niego parobek Walek (wielka rola Piotra Cyrwusa) idzie z Markiem rabować plebanię, dochodzi do gwałtu. Marek i jego kompan Bury dezerterują, za to Walkowi grozi kara śmierci. Mamy do czynienia z okrutnym mechanizmem. Tylko jak inaczej coś takiego załatwić w wojennych realiach?

Drugim wątkiem jest życie codzienne oddziału AK. Z celnymi obserwacjami politycznymi. Oglądamy pogadankę podchorążego o pseudonimie Kiliński (Jakub Ulewicz). Dość mechanicznie potępia on nadchodzący komunizm. Zarazem jest lewicowcem popierającym reformę rolną, nie chce bronić interesów ziemian. I to prawda, londyńskie podziemie w 1944 r. szło w lewo, społeczna zmiana nastąpiłaby i bez komunistów. Podobne jest podejście Komendanta, chłopskiego syna, ciepło zagranego przez Jerzego Trelę. Odrzuca on sugestię wymuskanego oficera NSZ, aby stworzyć odrębną latrynę dla oficerów, by zwiększyć dystans między nimi a żołnierzami. Oto żywa historia, nawet jeśli trochę przerysowana.

„Są brudni, śmierdzący, bardziej podobni do zwierząt" – tak opisuje przedstawionych partyzantów zajawka TVP. Czy rzeczywiście? Komendant mówi: „Ci ludzie mają dużo wrodzonej godności i taktu". Ta sztuka pokazywała coś, co było niewygodne dla komunistów: leśne oddziały AK były chłopskie, ludowe. W lesie nie dało się pięknie pachnąć, rozmowy też mogły być niepiękne, oglądamy ludzi prostych w niecodziennym położeniu. Ale oglądamy ich także podczas pięknie namalowanej mszy świętej. Prawda, Kutz zderza ją z brudną codziennością. Ze sraniem w latrynie, co także oburzało. Z obrzyganym przez Marka gramofonem z pierwszej sceny. I z okrucieństwem wojennego mechanizmu, który każe rozstrzelać Walka. Ten chłopiec nigdy nie powinien trafić do partyzantki. Tylko jaka na to rada?

Rozumiem, że AK-owscy kombatanci obawiali się odmitologizowania swojej walki, bo jej legenda jawiła się jako odtrutka na komunistyczne zakłamywanie historii. Różewicz, unikający starć z PRL, nie rozumował takimi kategoriami. Ten problem stawał nawet mocniej u progu wolnej Polski. A jednak nie widzę w tym wybitnym przedstawieniu plucia na patriotyczne wartości. Widzę prawdę, trudną, bo ciężej się utożsamiać z takimi partyzantami, zwłaszcza patrząc z wygodnego fotela. Ale rację ma Komendant: ci chłopscy synowie zachowali godność. Wystarczy zrozumieć kontekst. I wsłuchać się w poezję Różewicza, przywołaną głosem Treli. Tym ludziom wojna zabierała ojców, matki, braci. To, a nie piękno męskiej przygody, było ich racją.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Hitler i Stalin zrobili co swoje

ROBERT TEKIELI

„Bijcie Polaków, ażeby aż o życiu zwątpili. Mam wielką litość dla ich położenia, ale jeżeli chcemy istnieć, to nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytępić" – tak 26 marca 1861 r. pisał Otto von Bismarck w liście do siostry. Od tego czasu nic się nie zmieniło. Niemcy, gdy tylko są w stanie, dalej prowadzą wobec Polski tę bismarckowską politykę wyniszczenia.

„Polska inteligencja ma zostać całkowicie zniszczona" – zapisał w swoim pamiętniku Martin Bormann. Reszta narodu miała zostać zdegradowana do poziomu prostych robotników rolnych czy przemysłowych. I dokładnie takiego losu doświadczyli Polacy wywiezieni w czasie II wojny światowej na prace przymusowe w głąb Niemiec. Mechaniczne i proste czynności wykonywane na rzecz niemieckich panów. Zbieranie szparagów. Niemieckie stypendia z lat 90. dla uczniów z przygranicznych województw mające ich zachęcić do pójścia do zawodówek, a potem do pracy w Niemczech. 15 dekad konsekwencji w działaniu.

Nie jesteśmy w stanie jako zbiorowość przyjąć do wiadomości skali eksterminacji elit, a potem pierekowki duszy polskiego narodu, które miały miejsce między 1939 a 1953 r. Co więcej, nie rozumiemy do końca ich natury i wypieramy mordercze konsekwencje, które do dziś determinują nasz zbiorowy los. Mylimy też proporcje. Pamiętamy Katyń, i słusznie. Jednak w anihilacji polskiej warstwy przywódczej to Niemcy odegrali dużo większą rolę niż Sowieci.

Intelligenzaktion, rozpoczęta 1 września 1939 r. masowa i szczegółowo zaplanowana akcja eksterminacji najwartościowszej polskiej grupy społecznej, przyniosła wielokrotnie więcej ofiar niż zbrodnia katyńska. Na terenach wcielonych do III Rzeszy oraz w Generalnym Gubernatorstwie zamordowano ponad 100 tys. przedstawicieli polskiej inteligencji. Ginęli profesorowie akademiccy, nauczyciele, politycy, księża, lekarze, prawnicy, najwybitniejsi sportowcy, z których Polacy byli tak dumni. Mordowano wszystkich, którzy mogli być autorytetem czy wzorem dla społeczeństwa. Zniknęła cała grupa społeczna, warstwa, która nadawała ton II Rzeczypospolitej.

Po 17 września we wschodniej części II RP eksterminację elit i pierekowkę polskich dusz rozpoczęli Sowieci. Za czasów PRL Moskwa odniosła wielki sukces, wychowując nową przywiślańską „elitę". Jej członkowie do dziś brylują na europejskich salonach. Po 1989 r. pałeczkę w wychowywaniu pokoleń uległych liderów przejęli Niemcy. Choć wybranych ludzi łowili już w latach 80.

Dekady ciężkiej pracy przyniosły efekty: „Piękniejsza od Polski jest ucieczka od Polski tej na ziemi, konkretnej, przegranej, brudnej i biednej. I dlatego tak często nas ogłupia, zaślepia, prowadzi w krainę mitu. Sama jest mitem". „Polska zawsze będzie krajem peryferyjnym. W naszym interesie jest rezygnacja ze snów o podmiotowości. Jesteśmy wewnętrzną gospodarką Niemiec, wywijanie szabelką to samobójstwo". Intelligenzaktion została zakończona sukcesem.

Mentalni niewolnicy sąsiednich imperiów. Złamani, wydrążeni ludzie, skolonizowane dusze. Cynizm kompradorów. Serwilizm.

Dziś ambasador Niemiec może mówić o polskiej zgodzie na przejęcie przez Berlin odpowiedzialności za wschodnią flankę NATO. Polski Sejm może dziś przyjąć ustawę o istnieniu języka śląskiego, co jest pierwszym krokiem do uzyskania statusu mniejszości narodowej dla Ślązaków i przywrócenia autonomii Śląska, którego praw chce bronić Miedwiediew i Kadyrow.

„Unia i NATO przedstawiają Polsce dwie sprzeczne listy celów – ostrzega szef Sojuszu Północnoatlantyckiego. – Absurdalny spór rozpala Zachód od środka". Z punktu widzenia Berlina ten spór wcale nie jest absurdalny. Polska samodzielna militarnie, budująca własne systemy obronne, Polska jako podmiot polityki międzynarodowej samym swym istnieniem sprzeciwia się odwiecznej niemieckiej strategii. W 1864 r. w liście do Wilhelma I Otto von Bismarck pisał: „Głównym celem naszej polityki zagranicznej powinno być to, aby Polska nigdy nie powstała z popiołów. Tylko pod tym warunkiem możemy zmusić Francję, aby stała się [naszym] wasalem". Po zjednoczeniu Niemiec Francja odgrywa w UE rolę junior partnera Niemiec. Tak prowadzi się politykę konsekwentną i długofalową.

Przed nami zapowiedziana przez Radosława Sikorskiego zgoda Polski na rezygnację z prawa weta w UE i przyzwolenie na zmianę traktatów pozbawiającą polskie państwo suwerenności. Akceptacja niszczącej tkankę społeczną polityki migracyjnej, degradującego gospodarkę Zielonego Ładu i niszczącej ład moralny rewolty obyczajowej.

Hitler i Stalin zrobili co swoje. Jak wiele trzeba zabrać narodowi, nim sam zacznie odrzucać siebie? Czy Polacy mają w sobie zgodę na samounicestwienie?

eprasa.pl 95fd45879a

POPKULTURA

Może być Druga część science fantasy Zacka Snydera pt. *„Rebel Moon"* zatytułowana „Zadająca rany" ma wady i zalety części pierwszej, choć jest chyba filmem odrobinę lepszym. Ręki Snydera („300", „Wonder Woman", „Aquaman") trudno nie poznać: patos i slow motion, mówiąc najkrócej. Intryga, niby ucięta w pierwszej części dylogii w połowie, zaczyna się od nowa. Zły charakter (Ed Skrein) zostaje wskrzeszony, więc wraca dokończyć zemstę i rzeź, a Sofia Boutella w roli przywódczyni rebelii robi to, co potrafi najlepiej – skacze, kopie, strzela i wszyscy są zadowoleni. Snyder nie jest wizjonerem; fantastyczny świat, który przedstawia, jest wtórny, widzieliśmy te obrazki wiele razy. Największym

„Rebel Moon"

zaskoczeniem był dla mnie napęd imperialnego kosmicznego pancernika – w uniwersum Snydera latający drednot jest napędzany węglowym miałem. Ale tyle oryginalności. Z jednej strony zimni mordercy z bezwzględnego imperium, z drugiej miłujący pokój rolnicy żyjący „zgodnie z naturą" w hipisowsko-westernowej komunie, więc wybór jest prosty. Co więcej, przy tak wyrazistym rozłożeniu racji mniej zdają się przeszkadzać braki logiki w następstwie zdarzeń czy niewytłumaczalne psychologicznie przemiany bohaterów. Zakończenie drugiej części podpowiada, że ciąg dalszy nastąpi. Okazało się bowiem, iż zamordowana lata temu przez główną bohaterkę księżniczka żyje. Czy tylko ja się spodziewam, że w następnej odsłonie „Rebel Moon" zobaczymy smoki?

POPKULTURA

Warte W prosty sposób można odróżnić serial pierwszorzędny od niegodnych większej uwagi. *„Franklin"* jest właśnie taki: ogląda się go jak dobry film. Zaś przepis na sukces jest prosty: bierzesz dobrego aktora – Michael Douglas pasuje jak znalazł – i opowiadasz zajmującą historię. Np. narodziny globalnego mocarstwa, najpotężniejszego w całej historii świata.

W 1776 r. Benjamin Franklin rusza do Francji z tajną misją, stawką jest sojusz walczących kolonii z Paryżem, co wobec przewagi Anglików nad zbuntowanymi prowincjami oznacza niepodległość zjednoczonych stanów. Franklin jest przyjmowany we Francji jak celebryta. Jego misja to teatr, uwodzenie, precyzyjna rozgrywka. „W tym kraju przywary nie są nieistotne. Ale śmieszność przynosi zgubę", mówi bohater o Francji i pewnie ma rację. Jednak w ostatecznym rozliczeniu liczą się fakty,

„Franklin"

nie wizerunek, czyny, nie słowa. Z teatru trzeba kiedyś wrócić, ważne, co zastaniemy po powrocie.

Finał pierwszego sezonu serialu przed nami, ciekawe, czy jego twórcy zechcą pokusić się o kontynuację.

POPKULTURA

Warte Serial *„Fallout"* jest ekranizacją bardzo popularnej gry komputerowej. Akcję osadzono w alternatywnej linii historii. Wiele lat po atomowej zagładzie jest przygotowywana rekolonizacja Ziemi. W podziemnych bunkrach przetrwały małe grupy ludzi, retrofuturystyczna technologia (nie wymyślono tranzystorów, komputery używają lamp elektronowych) daje im pewną przewagę nad zdegenerowanymi ludźmi mieszkającymi na powierzchni. Powoli odkrywamy historię tego świata, wczorajsi bohaterowie okazują się nie tacy wcale heroiczni. Córka (Ella Purnell) szuka porwanego ojca (Kyle MacLachlan), wychowana w podziemnej merytokracji z trudem rozumie reguły postapokaliptycznego świata. Cała akcja serialu została zorganizowana wokół jej eskapady. Scena po scenie ogrywane jest kulturowe zderzenie ludzi wychowanych w podziemnym azylu dla ocalałych bogaczy z ukształtowanymi przez radioaktywne środowisko mieszkańcami Pustkowi.

„Fallout"

Serial obsługuje wyraziste zbiorowe emocje: lęk przed atomową zagładą oraz sentyment do amerykańskiego raju utraconego lat 50. Oglądając kolejne odcinki, doskonale się bawiłem, choć momentami zaskakiwał mnie wizualny czy logiczny paździerz.

Gra i serial opowiadają o ciemnej stronie człowieczeństwa. Wojna towarzyszy naszemu gatunkowi od zawsze. Grzech pierworodny, cień śmierci, a reszta to dekoracje. Dziś nie zmieniło się nic. Na wojnie umiera się na tysiące sposobów, a instynkt samozatracenia przegląda się w milionach roztrzaskanych luster.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 95fd45879a

Derek Solomons, „Haydn Symphonies", (18 CD), Sony Music Entertainment 2024

Symfonie papy Haydna

W latach 1980–1986 mieszkający w Londynie skrzypek-dyrygent Derek Solomons wraz z zespołem L'Estro Armonico nagrał 49. symfonię Josepha Haydna. Na instrumentach z epoki

Ten zestaw 18 płyt z odświeżonymi cyfrowo nagraniami po raz pierwszy trafia w całości do słuchaczy. Zawiera m.in. dwa tuziny utworów powstałych w latach 1766–1776, w tzw. okresie burzy i naporu tego klasycznego już kompozytora. Grane przez orkiestrę pozbawioną wyrzuconego ze składu klawesynu, z rozmysłem osadzone w tonacji molowej, wpisują się w popularny w kręgu wówczas młodych i zbuntowanych Niemców trend odrzucania rokokowych konwenansów wyrosłych z francuskiej kultury arystokratycznej. Miały ustąpić emocjom i podszeptom „święcie płonącego serca", o którym pisał potem Goethe. W ten sposób Haydn, idol Mozarta, a także prorok romantyzmu, przekształcił symfonię z formy rozrywki towarzyskiej w intensywną, a nawet agresywną i odważną muzykę wymagającą od słuchacza uwagi. Dlatego nie będę udawał, że przesłuchałem całość tych nagrań, ale warto się w nie wsłuchać. Powstały na fali pewnej mody na wykonawstwo na instrumentach historycznych. Skrzypce, fagoty czy waltornie sprzed ponad 200 lat, a przynajmniej rekonstruowane według ówczesnych wskazań, brzmią nieco inaczej. Głównie z powodu skromniejszego składu orkiestry, Solomons trzymał się bowiem zasady, że zespół Haydna przez długi czas składał się tylko z trzech pierwszych i trzech drugich skrzypiec, altówki, wiolonczeli i basu, pary obojów i rogów oraz fagotu. Sekcje smyczków nie przytłaczają partii instrumentów dętych, wszystko brzmi bardziej subtelnie, ale przekonująco i – jak przyznawali krytycy – po dziełach „ojca symfonii" po raz pierwszy nie przejeżdżał się walec wielkiej orkiestry.

Haydn jest autorem 107 symfonii. Zamknięty w złotej klatce rezydencji rodu Esterházy w Fertőd tworzył i tworzył, przyznając, że jest „chodzącą klawiaturą". W ramach projektu Haydn2032 i przygotowań do 300. rocznicy urodzin kompozytora od 2014 r. nagrywane są wszystkie jego symfonie, również z pomocą historycznego instrumentarium. Wkładem w ten projekt jest nagranie Solomonsa.

Maciej Walaszczyk

Czarne perły z Karaibów

Takie składanki to skarb, szczególnie gdy ktoś pracowicie pozbiera, oczyści i wstawi w jednym miejscu garść muzycznych pereł

Tym razem to perły prosto z Morza Karaibskiego i czasów złotej obfitości epoki narodzin muzyki ska, reggae i rocksteady. Ta podwójna płyta jest kolekcją piosenek jamajskich legend z lat 60. i 70. XX w. i skarbnicą ponadczasowych hitów nagrywanych kiedyś dla Trojan Records. Płyta wychodzi pół wieku po bankructwie słynnej wytwórni, w której pozostawiono niezapłacone tantiemy i długi. Ale nie tylko. W tym samym 1975 r. jej księgowy Colin Newman przejął prawa do katalogu z 10 tys. utworów, m.in. wczesnymi piosenkami Jimmy'ego Cliffa, Boba Marleya i Desmonda Deckera, a w 2001 r. odsprzedał je Sanctuary Records za ponad 10 mln funtów. Ostatecznie prawa do niego kupiła BMG.

Uptown Top Ranking: Trojan Ska & Reggae Chartbusters, Trojan 2024

Dzięki temu możemy posłuchać oryginalnych wersji takich pięknych piosenek jak „Red Red Wine" z 1967 r., napisanej i pierwotnie nagranej wtedy przez Neila Diamonda. „Everything I Own" Kena Boothe'a w wersji reggae, popularnej potem w latach 80. Słynnego „Monkey Man" w oryginalnym wykonaniu The Maytals, który po latach był grany przez The Specials, No Doubt czy Amy Winehouse. Mamy tu również „Rivers of Babylon", przebój oparty na biblijnym psalmie i spopularyzowany przez Bonney M., ale 10 lat wcześniej skomponowany przez Brenta Dowe'a i Trevora McNaughtona z jamajskiej grupy The Melodians. Kompilacja zawiera też przyprawiającą wręcz o ciarki pierwotną wersję „Black Pearl" Horace Faitha z 1970 r. czy znane chyba wszystkim „Help Me Make It Through the Night" w wykonaniu autora Johna Holta. Przebój wprost z Kingston był potem nagrywany m.in. przez Sammi Smith, Elvisa Presleya, a kilka lat temu Michaela Bublé i Loren Allred. No i w końcu klasyka reggae, m.in. „You Can Get It If You Really Want" i „Israelites" w wykonaniu Desmonda Dekkera & The Aces. Piosenka z 1969 r. natychmiast zdobyła szczyty wielu list przebojów na całym świecie, torując mu drogę do popularności. To Dekker jako pierwszy dostrzegł talent swego kolegi spawacza Boba Marleya i przyprowadził go do właściciela Trojana Lesliego Konga, gdzie nagrał swoje pierwsze piosenki: „Judge Not" i „One Cup Of Coffee". Właśnie w stylu ska.

eprasa.pl 95fd45879a

Grecki anty-Fukuyama

Jeśli wszyscy opowiedzą się za „prawami człowieka" i „demokracją", konflikty się zaostrzą, a nie złagodzą. Bo poczują się ośmieleni do rywalizacji o te same prawa i zasoby

Panajotis Kondylis był Grekiem, który przez większość życia mieszkał i pracował w Niemczech. Przeszedł pewną intelektualną drogę z obozu lewicy do prawicy. Jak dowcipnie wyjaśniał, odcięcia się od marksistowskiej eschatologii i „heroiny marksizmu" nie zastąpił „heroiną liberalizmu, moralizmu czy chrześcijaństwa". Był zdania, że aby obiektywnie rozpoznawać rzeczywistość, nie wolno przyjmować obrazu władzy, jaki tworzy ona o sobie samej i narzuca innym. Jego „Polityka światowa po zimnej wojnie", która ukazała się w 1992 r, a więc w roku publikacji „Końca historii i ostatniego człowieka" Francisa Fukuyamy, była zaprzeczeniem tej optymistycznej wizji. Kondylis wyjaśnia w niej przyczyny naszej obecnej sytuacji. Zwraca uwagę na przesunięcia światopoglądowe, które nastąpiły w ciągu ostatnich kilkuset lat. Wywiedzioną z czasów średniowiecza teologię, antyczno-chrześcijański pogląd wyrażający się m.in. w tym, że człowiek, choć wobec przyrody może postępować jak Bóg, to z natury jest podporządkowany jej prawom, wyparła nowożytność. Podniosła ona rangę świata materialnego, przyniosła racjonalizm, po nim pojawiły się wielkie utopijne projekty, głównie komunistyczne, a potem modernizm liberalizmu i postmodernizm demokracji masowej. Dziś to one są głównymi osiami światopoglądowymi rządzącymi naszymi wyobrażeniami. Proces historyczny dokonuje się na wszystkich obszarach i forsuje powiązane z sobą przekonanie o prymacie aktywnego życia i naukowo-technicznego rozumienia wszelkich zjawisk, powodując dominację odwiecznej idei ciężkiej pracy w opozycji do szlachetnej idei wolnego czasu.

Ludzie nie są już związani hierarchicznym porządkiem wyznaczonym przez Boga lub los, który został zastąpiony przez otwarte, spłaszczone uniwersum i otwartą wspólnotę o niskim stopniu zhierarchizowania. Wszystkie potężne ruchy polityczne XX w., tzn. komunizm, narodowy socjalizm, faszyzm oraz przedefiniowany w kierunku egalitarnym i państwowo-opiekuńczym liberalizm wspierały tendencje do rozwoju demokracji masowych. Eliminowały tradycyjne mieszczańskie hierarchie, łącząc równość z pojęciem prawa. Tę ewolucję charakteryzuje rosnąca atomizacja społeczeństw, powodowana wysoce kompleksowym podziałem pracy i bardzo dużą mobilnością społeczną oraz radykalną zmianą paradygmatu we wszystkich obszarach kultury. Wir masowej demokracji jest tak silny, że wyrównuje każdą hierarchię z wyjątkiem hierarchii bogactwa w jeden spłaszczony obraz świata. Rządzą nim prawa poziomej i pionowej mobilności społecznej – migracje za pracą, imigracja, deklasacja profesji; każdy może stać się każdym i każdemu zadać pytanie. Umożliwia to ciągłe narodziny i rozpad różnorodnych powiązań, wzmagając poczucie chaosu. Ten globalny model organizacyjny ruguje tradycyjne hierarchie i zmienia miliony ludzi w anonimowych konsumentów. W żadnym wypadku nie prowadzi do osiągnięcia ostatecznej i trwałej równowagi.

Równocześnie po raz pierwszy w historii pojawiły się warunki umożliwiające trwałe przezwyciężenie biedy. Nadwyżka dóbr konsumpcyjnych spowodowała spadek znaczenia postaw ascetycznych jako wartości moralnych, sprzyjając masowej konsumpcji. Nie dla wszystkich ich wystarczy, więc ich ekwiwalentem jest różnorodność wartości – konsumpcja staje się wartością, a wartości produktami konsumpcyjnymi. Składnikami takiej ideologii nasyconego dobrobytu stały się „prawa człowieka", „wolność", „demokracja", „równość", „godność", zawsze interpretowane ekonomicznie i związane z oczekiwaniami konsumpcyjnymi, czyli aspiracjami do średniego poziomu życia wyznaczanego przez zachodnią masową demokrację. To oznacza zintensyfikowaną i egzystencjalną walkę o zasoby oraz unieważnienie mitu o „końcu historii".

Co dalej? Ekonomizacja polityki, tak silna jeszcze 20–30 lat temu, może ustąpić jej „biologizacji", a walka o zasoby i rynki reanimuje dyscyplinę, hierarchie, ideologie i religię. Elementarne schematy ludzkich zachowań są bowiem stabilne i niezmienne, więc także wiara w obiektywny charakter norm i wartości pozostaje najważniejszą artykulacją instynktu przetrwania społeczeństw z wszystkimi tego konsekwencjami politycznymi.

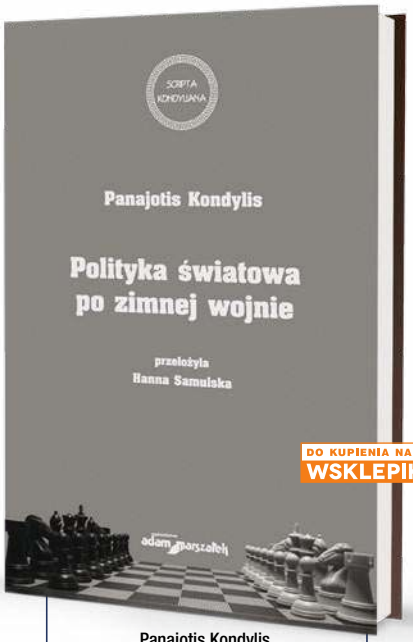

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Panajotis Kondylis, „Polityka światowa po zimnej wojnie", Wydawnictwo Adam Marszałek 2019

eprasa.pl 95fd45879a

HANNA ZBYRYT AKTORKA

Pasja z obłędnym widokiem

W serialu „Leśniczówka" gram Małgosię. Śmieję się, że to taka polska Bridget Jones. Stale pakuje się w kłopoty, ale fajne jest to jej wariactwo.

Lubię mówić o sobie, że jestem zwyczajnym człowiekiem, który znajduje swoje bezpieczne miejsce w zakątku z lat dziecięcych. W moim przypadku tym zakątkiem jest Olsztyn pod Częstochową. Miasto w „uroczych okolicznościach natury", czyli malowniczej Jurze Krakowsko-Cząstochowskiej. Z pięknymi ruinami zamku, jaskiniami i lasami. Właśnie w takim otoczeniu się wychowałam.

Kiedy byłam dzieckiem, nie mogłam długo usiedzieć w jednym miejscu. Wszędzie było mnie pełno. Zaglądałam do jaskiń, wdrapywałam się na drzewa. Ta dynamika została we mnie do dziś. Stale jestem czymś zajęta. Teraz m.in. prowadzę autorski Teatr Rozrywki RZT Szymaszkowa w Zakopanem. Mój teatr jest dobudowany do małego pensjonatu, z którego rozciąga się obłędny widok na pasmo gór. Cudowne miejsce, więc poza graniem także w nim odpoczywam. I w domowych butach schodzę do pracy.

Zakopane na dobre zaistniało w moim życiu za sprawą prywatnego związku. Z zakopiańczykiem osiedlonym w stolicy Tatr, ale nie góralem z dziada pradziada, co też jest znaczące. Uwielbiam odwiedzać Zakopane (także by uprawiać skitouring – sport, w którym się zakochałam: połączenie turystyki, nart biegowych i nart zjazdowych), ale nie mogłabym w nim na stałe mieszkać. Ktoś, kto się tam urodził i wychował funkcjonuje inaczej niż ktoś, kto się tam osiedlił albo jest przyjezdny jak ja.

Swoje życie zawodowe i prywatne dzielę teraz między trzy miasta: Zakopane, Częstochowę i Warszawę. A takie rozwiązanie jest możliwe tylko wtedy, gdy zawód staje się pasją.

W Częstochowie jestem na etacie w Teatrze im. Adama Mickiewicza. Z serca polecam grane tu spektakle [w ub.r. aktorka otrzymała Nagrodę Miasta Częstochowy w dziedzinie teatru i filmu „ze szczególnym uwzględnieniem roli Kunegundy w spektaklu „Kandyd" w reż. Rafała Szumskiego, oraz – tuż przed Wielkanocą – Złotą Maskę 2024 za rolę Kustoszki w spektaklu „Zemsta", w reż. Joanny Drozdy – przyp. red.].

W Warszawie gram w serialu „Leśniczówka" i szukam nowych projektów. A żeby złapać oddech, najchętniej uciekam do Olsztyna. Z Częstochowy to raptem 14 km i już jestem w przestrzeni mojego dzieciństwa. Cały czas tu jest mój dom rodzinny.

Całkiem niedawno odkryłam dla siebie Półwysep Helski. Mogłabym tam mieszkać przez trzy letnie miesiące. Klimat, ludzie, a także sporty wodne... Bardzo mi to odpowiada.

Jeśli chodzi o dalsze wyjazdy, pewnie z racji temperamentu numerem 1 są dla mnie Włochy. Dobrze się w nich odnajduję. Może w przyszłości kupię domek w Toskanii, kto wie [śmiech].

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 95fd45879a

SŁODKO-SŁONY

Śmietanowiec

ANNA MONICKA

Piwo z rana jak śmietana – mawiał mój przyjaciel po wiosennych imprezach na świeżym powietrzu. Byliśmy wtedy piękni i młodzi, dziś częściej spotykamy się przy stole, a nie ognisku, i rozmawiamy o tym, co i gdzie kogoś strzyka i kłuje.

Ostatnio zaczęłam słoneczny piękny dzień u dentysty, a tam czekające na swoją kolej panie zawzięcie dyskutowały o... słodkościach. A konkretnie – ulubionych deserach z dzieciństwa, które na pewno nie zniszczyłyby uzębienia dzisiejszej młodzieży, gdyby ta chciała się wysilić i je zrobić. Ale wiadomo, nastolatki są leniwe, wolą kilogramami kupować żelki i inne świństwa, zamiast ruszyć do kuchni z mikserem. Zrobiło się i śmieszno, i straszno, bo niewinny z pozoru temat nagle zaczął przybierać na wadze i niebezpiecznie skręcać w stronę międzypokoleniowej konfrontacji. Najwyraźniej stres przed wierceniem dawał o sobie znać, a starszemu pokoleniu widocznie puszczały nerwy.

Ale nastawiłam uszu, gdy usłyszałam słowo „śmietana", a jedna z pań przypomniała sobie o lekkim jak chmurka cieście bez pieczenia (i z małą zawartością cukru, któremu większość kolejki zawdzięczała protezy oraz implanty), tak łatwym do zrobienia, że każdy dzieciak zadziwi nim dorosłych. Ten łagodzący obyczaje smakołyk to śmietanowiec. Robiłam go w ub.r. z moją nastoletnią córką, opętaną ideą idealnej sylwetki, i nawet ona stwierdziła, że nie urósł jej brzuch. A o ile dobrze pamiętam, zjadła ze trzy kawałki.

Potrzebujemy 0,5 l nie za tłustej śmietany, najlepiej 18-proc., 2–3 kwaśnych galaretek do środka, najlepiej bezbarwnych winogronowych lub cytrynowych, ale może też być lekko żółtawa agrestowa, dwóch na wierzch i owoców, najlepiej truskawek. Pierwsze galaretki rozpuszczamy w połowie wrzątku, który zaleca przepis, studzimy i dokładnie mieszamy rózgą ze schłodzoną śmietaną (można dodać odrobinę cukru pudru), wlewamy do formy i wstawiamy do lodówki. Dwie następne rozpuszczamy w normalnej ilości wody i studzimy. Na stężałej masie śmietanowej układamy pokrojone, osuszone owoce i zalewamy ostudzoną resztą galaretek. Wstawiamy znów do lodówki i gotowe! Deser dobry i na śniadanie, i na obiad, i na podwieczorek w czasie upałów.

Jak miło jest pójść z samego rana do dentysty.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Dziewięć dzięciołów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mamy w Polsce aż dziewięć gatunków dzięciołów. To dużo – kraj ornitologów, czyli Wielka Brytania, ma ich trzy. To konsekwencja wyspiarskiego, izolowanego charakteru terenu i znacznie mniejszej powierzchni lasów.

My jesteśmy w lepszej sytuacji – mamy łączność z rozległymi przestrzeniami przyległych lądów. Dzięki temu Polska mogła być zasiedlana przez kolejne gatunki np. po zlodowaceniu. Chociaż nasz najnowszy gatunek, dzięcioł białoszyi zwany syryjskim, przybył do nas z południowego wschodu kilkadziesiąt lat temu i od tego czasu coraz liczniej gnieździ się w Polsce (nie był sprowadzany, to proces naturalnego rozszerzania zasięgu).

Drugim czynnikiem sprzyjającym dużej liczebności dzięciołów jest zróżnicowanie lasów, utrzymywane dzięki polskiej szkole leśnictwa, dzięki czemu każdy gatunek tego ptaka znajduje swoją niszę.

Dzięcioł czarny to największy dzięcioł Europy, większy od kawki. Wykuwa dziuple, które w spadku po nim są zasiedlane przez sowy włochatki, puszczyki, kraski, popielice i wiewiórki.

Dzięcioł zielony jest coraz liczniejszy w miastach. Jego głos przypomina donośny, złośliwy chichot. Jest mrówkożerny i często widuje się go, jak fedruje w trawnikach, wyciągając mrówki niezmiernie długim, lepkim językiem. Ponieważ ten narząd jest kilkukrotnie dłuższy od dzioba, kiedy nie chwyta mrówek spoczywa owinięty wokół czaszki. Dzięcioła zielonego należy odróżnić od znacznie rzadszego zielonosiwego.

Spośród dzięciołów o pstrym, czarno-białym, urozmaiconym czerwienią upierzeniu najliczniejszy jest dzięcioł duży – to jego spotykamy najczęściej, również w miastach. Rzadszy od niego jest podobny dzięcioł średni, który z powodu słabszego dzioba zamiast kuć woli zbierać owady z powierzchni kory i liści.

Najrzadszy z czarno-biało-czerwonych dzięciołów to dzięcioł białogrzbiety, występujący w starych lasach liściastych w górach i na północnym wschodzie kraju. W tych samych rejonach żyje dzięcioł trójpalczasty, wyróżniający się żółtą czapeczką i trójpalczastą łapą (pozostałe dzięcioły mają po cztery palce), specjalizujący się w wydłubywaniu korników z drzew iglastych.

I jeszcze dzięciołek. Niewiele większy od wróbla, robi wrażenie zabawkowej miniatury większych kuzynów.

eprasa.pl 95fd45879a

OGNIEM NA WPROST

Cztery powody na przegraną

Andrzej Rafał Potocki

W Europie zapanował defetyzm. Eurokraci z Komisji Europejskiej w kółko mówią o przegranej Ukrainy, wzroście potęgi Federacji Moskiewskiej i nadchodzącej ponownie erze Donalda Trumpa, która niesie ze sobą wstrzymanie pomocy militarnej Kijowowi. Prym w tym czarnowidztwie wiodą oczywiście Niemcy, a za nimi jak za panią matką podąża nasz rząd. Polska polityka zagraniczna przez ostatnie miesiące rządów „miłościwie nam panującego" Donalda Tuska i jego akolitów osiągnęła już poziom dyplomatolstwa. Lizusowskie wpisy Pawła Kowala są jednym z dowodów fatalnego postrzegania rzeczywistości, której kwintesencją i myślą przewodnią pozostaje osiem gwiazdek zamiast pochwały prezydenta RP za to, co zrobił dla Ukrainy w USA. Podkreśla to większość poważnych mediów wolnego świata, tylko nie Kowal et consortes. Prawda jednak jest nieco inna, niż starają nam się wmówić europejscy politycy.

A teraz o sytuacji na froncie. Najpoważniejsza jest pod Awdijiwką. Po utracie miasta Tryzuby cofnęły się na linię wzgórz i oparli swoją obronę na rzece Durna. Na północ od jej źródeł na odcinku Oczeretnego Moskal wbił się dość głęboko w pozycje Ukraińców. Ci natomiast kontrolują wyłom, bowiem bojcy nie wsparli przełomu na flankach (widać są głupsi od nazwy rzeki, którą próbują sforsować). Położenie nie jest łatwe, ale stabilne.

Łykanie propagandy, że moskiewska armia jest silniejsza niż na początku inwazji, ewidentnie szkodzi zdrowiu. Ruski co prawda produkuje amunicję artyleryjską 24 godziny na dobę przez 7 dni w tygodniu, ale nie samymi pociskami front żyje. Weźmy np. samoloty. Od własnego ognia (problemy obrony przeciwlotniczej z identyfikacją latających maszyn swój-obcy) strącono do tej pory osiem suk (Su-34, 35, 27 i 35 C), dwa śmigłowce, a także dwa A-50 U (latający radar) oraz Ił-22 M11. Ostatnio glebę zaliczył potężny bombowiec Tu-22 już w trakcie misji bojowej. Są to straty trudne do uzupełnienia, bo rosyjski przemysł lotniczy nie ma dużej wydajności. W ZSRS większość fabryk była na Ukrainie, dlatego kraj ten może seryjnie tłuc drony dalekiego zasięgu, a Ruski może tylko pomarzyć o takim potencjale. W zakresie maszyn Su-34 i Su-35 Moskal rocznie traci więcej, niż dostaje, więc przyrost jest ujemny. O szybkim odtworzeniu nie ma co marzyć, a Chińczycy nie dadzą swoich samolotów. Jeszcze gorzej jest wśród bojowych wozów piechoty, czyli transporterów opancerzonych. Kończy się nawet złom trzymany w magazynach, a bieżąca produkcja nie jest w stanie zabezpieczyć potrzeb frontu. Do przewozu piechoty Ruski wykorzystuje teraz głównie chińskie ciężarówki. Reszta jeździ na czołgach, jak w czasie II wojny światowej. Jak Ukry przywalą z działa w taki transport (wiele jest takich filmów), to ocaleli rozbiegają się po polu niczym kolonia mrówek. Kacap jako mistrz przeróbek obudowuje chińszczyznę na kołach (Desertcross) stalowymi blachami. Mają chronić desant piechoty. Takiego potworka wiejącego z pola walki uchwyciła kamera drona. Owo kuriozum żywcem przypomina niemiecki czołg A7V po raz pierwszy użyty w marcu 1918 r. podczas walk w rejonie kanału St. Quentin. Na niewiele się tam przydał. I tak Ruski wraca na pola bitew I wojny światowej.

Z Chinolami Moskalom też nie idzie najlepiej. Znany profesor i prodziekan Instytutu Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Fudan w Szanghaju, dyrektor Centrum Studiów nad Rosją i Azją Centralną na tej uczelni Feng Yujun, od lat analizujący Rosję i współokreślający dla partyjnych władz chińskich, co robić dalej z Moskwą, w wywiadzie dla „The Economist" (a więc przeznaczonym również dla zachodniego czytelnika) stwierdził, że „Moskwa z pewnością przegra wojnę na Ukrainie". Wymienił cztery punkty uzasadniające jego tezę: 1. niebywały poziom oporu i jedności narodu ukraińskiego; 2. poparcie dla Ukrainy, choć nie przekłada się jeszcze na adekwatną skalę pomocy, jest powszechne; 3. polityka ręcznego sterowania przyjęta przez putinowski system wyklucza większą elastyczność w podejmowaniu działań i zabija inicjatywę na niższych szczeblach, co przekłada się na sytuację zarówno na froncie militarnym, jak i gospodarczym; 4. panujący przez blisko ćwierć wieku Władimir P. wykształcił wokół siebie kokon informacyjny, przez co otoczenie Putina nie otrzymuje prawdziwych informacji, a te, którymi dysponuje, tworzą nierzeczywistą wizję świata. Te cztery czynniki sprawiają, że ostateczna porażka Moskwy jest nieunikniona. Z czasem będzie musiała wycofać się ze wszystkich okupowanych terytoriów Ukrainy, w tym z Krymu. Jej potencjał nuklearny nie jest gwarancją sukcesu". Oby miał rację.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 95fd45879a

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI

SUBSKRYPCJA

wPolityce.pl + SIECI

KUP 50% TANIEJ

- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl**,** również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 95fd45879a

HONOROWA INSTRUKCJA POSELSKA EUROWYBORY 2024

Posyłając swych przedstawicieli na sejmy Rzeczypospolitej, wydawaliśmy im instrukcje od pięciu wieków. Dziś mandat posła nie zobowiązuje do wykonywania instrukcji wyborców. A jednak czas znowu mówić, czego chcemy. Czas zmienić obyczaj, że to od polityków dowiadujemy się, co zrobią z naszym państwem. Wynajmujemy ich do pracy dla nas, zatem mówmy im, co mają dla nas zrobić, a czego w naszym imieniu robić nie mogą.

W obliczu zbliżających się wyborów do Parlamentu Europejskiego mówimy kandydatom na posłów, jaka jest nasza HONOROWA INSTRUKCJA POSELSKA właściwej relacji z Unią Europejską oraz innymi podmiotami. Zapraszamy do podpisywania jej wraz z nami.

1 Zawsze i w każdych warunkach pierwszym i najważniejszym zadaniem polskich władz, tj. Prezydenta RP, Sejmu, Senatu, rządu, władz administracyjnych, samorządowych, sądowniczych i branżowych jest troska o dobro obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Interes czy wola żadnego innego państwa, narodu, zbiorowości, organizacji, osoby czy podmiotu gospodarczego nie będzie stać przed interesem Polski i Polaków.

2 Polskie władze nie będą wykonywały jawnych i niejawnych poleceń innego państwa, organizacji międzynarodowej, branżowej, społecznej czy podmiotu gospodarczego.

3 Naszym celem jest utrzymanie, a raczej – po raz kolejny w naszych dziejach – odzyskanie traconej właśnie niepodległości. Polskie władze nie będą oddawały fragmentów polskiej suwerenności, podpisując dokumenty wyrzekające się władzy nad polskim bezpieczeństwem, obronnością, bezpieczeństwem energetycznym, gospodarką, ochroną środowiska, geologią, polityką społeczną, rolną, zdrowotną, edukacją, kulturą ani żadną inną sferą.

4 Wypowiedziane zostaną wszelkie dokumenty, które oddały suwerenność i działają na szkodę polskiej gospodarki, zdrowia, kultury, edukacji, w pierwszej kolejności będące narzędziem gospodarczej czy politycznej dominacji innych państw lub podmiotów zewnętrznych oraz oparte na ideologicznych obsesjach, a nie naukowych podstawach i fundamentach etycznych. Chodzi m.in. o ETS, Fit for 55, Zielony Ład, kamienie milowe, pakt migracyjny. Wszelkie uzurpacje władz Unii Europejskiej wykraczające poza dotychczasowe traktaty należy ogłosić jako niebyłe, bo niemające prawnych podstaw, a więc i prawnych skutków. Wszelkie zgody, których udzieliły polskie władze na bezprawne działania władz Unii Europejskiej zostaną wycofane jako wymuszone siłowo, a władze Unii zostaną wezwane do zaprzestania bezprawnych działań.

5 Naszym celem jest zdecydowane przeciwstawienie się szybko postępującej moralnej, prawnej i organizacyjnej degeneracji Unii Europejskiej. Nie zgadzamy się na traktatowe ograniczenie prawa weta. Z zasady samostanowienia narodów wynika, że należy odrzucić wszelkie próby tworzenia sztucznego narodu europejskiego.

6 W polskim interesie leży wyłącznie Unia, która szanuje suwerenność poszczególnych narodów, tworzy „Europę ojczyzn". Celem naszym jest odrzucenie idei i praktyki centralizacji i federalizacji UE.

7 Dyskusja nad bilansem zysków, strat i zagrożeń członkostwa musi zawierać opcję wystąpienia z coraz bardziej autorytarnej organizacji, jeżeli nie uda się ocalić pierwotnej istoty Unii Europejskiej w obrębie jej obecnych struktur. Ci, dla których przynależność do międzynarodowej organizacji jest niepodważalnym dogmatem, nie mogą nas reprezentować ani stanowić władz Rzeczypospolitej. Mogą ją reprezentować i z naszego nadania stanowić jej władze tylko ci, dla których to jej dobro jest celem najwyższym.

Artur Bartoszewicz, Adam Borowski, Lidia Dudkiewicz, Marcin Dybowski, Witold Gadowski, Grzegorz Górny, prof. Tomasz Grzegorz Grosse, Jacek Karnowski, Bogusław Kiernicki, Wojciech Korkuć, Cezary Krysztopa, Jerzy Kwaśniewski, Paweł Lisicki, Paweł Nowacki, prof. Andrzej Nowak, Marzena Nykiel, Katarzyna Obłąkowska, Maciej Pawlicki, Jan Pietrzak, Jan Pospieszalski, Rafał Ziemkiewicz

PODPIS ZŁOŻYĆ MOŻNA NA STRONIE
www.honorowainstrukcjaposelska.pl

eprasa.pl 95fd45879a

Michał Korsun prezentuje:* *Przepracowani piloci Lufthansy podziwiają łąki CPK

Wycinki z przeszłości

Wraz z wiosennym zwiększeniem natężenia pracy na wsi „Przegląd Katolicki" ostrzegał w 1934 r. czytelników przed lekceważeniem drobnych skaleczeń.

Zwróćmy uwagę na piękną grafikę.

(mk)

Z WOLEJA

Polityczna niepoprawność mistrza Niemiec

Ryszard Czarnecki

Piłkarskie mistrzostwo Niemiec zdobyli „Aptekarze", czyli Bayer 04 Leverkusen. 84 proc. Niemców (co szósty Niemiec to Bawarczyk) cieszyło się, że to nie bogaty Bayern, który wygrywał w Bundeslidze od 12 lat. Przypomnę, że z Bayerem 04 Leverkusen wielkie sukcesy w Europie oraz nad Renem i Szprewą święcili Polacy: Andrzej Buncol i Jacek Krzynówek.

Jednak triumf drużyny sponsorowanej przez słynny koncern farmaceutyczny ma też podtekst polityczny. Oto bowiem w rundzie jesiennej tego sezonu, gdy Leverkusen grało w Bremie, kibice Bayeru postanowi dokuczyć fanom gospodarzy, znanym z lewicowych poglądów. Podczas meczu wywiesili transparent: „Istnieje wiele gatunków muzyki, ale tylko dwie płcie". Treść była oczywista, ale jednocześnie obecnie bardzo niepoprawna politycznie. Wylękniony, padający na twarz przed „political correctness" Niemiecki Związek Piłki Nożnej (DFB) ukarał Bayer 04! Trzeba trafu, że decydujący o mistrzostwie mecz Leverkusen – które pod wodzą hiszpańskiego trenera Xabiego Alonso przez cały sezon nie przegrało żadnego meczu – grało u siebie z Werderem Brema. Owa wiktoria z politycznymi podtekstami zadecydowała o zdetronizowaniu dotychczasowego mistrza z Monachium.

Na początku napisałem, że aż 84 proc. naszych zachodnich sąsiadów ucieszyło się, że Bayern 04 – monopolista w zdobywaniu piłkarskiego „majstra" w Niemczech – został zmuszony do powiedzenia temu tytułowi „auf Wiedersehen". Myślę, że jednak więcej, bo przecież część mieszkańców Bawarii dopinguje inny klub ze stolicy landu – TSV 1860. Kibice obu drużyn stanowili ewenement w Europie, bo choć byli związani z klubami z tego samego miasta, to zamiast kosy mieli tzw. sztamę. Owa zgoda, jak to się określa w kibicowskim slangu, właśnie się skończyła, bo jak ćwierkają bawarskie wróble, kibice TSV 1860 uznali, że fani rywala zza miedzy są jednak zbyt... „lewoskrętni".

Fajne hasło Polskiego Związku Piłki Nożnej brzmi: „Łączy nas piłka". To prawda, ale to wcale nie oznacza, że kibice poszczególnych klubów nie mają swoich jasno określonych politycznych preferencji. W Italii wiadomo, że Lazio Rzym jest ostro na prawo, ku oburzeniu mainstreamowych mediów. Paradoksalnie największy – i bardzo nielubiany – konkurent piłkarzy grających w błękitnych koszulkach, czyli AS Roma, też ma prawicowych kibiców. Co nie przeszkadza manifestowaniu wzajemnej niechęci (delikatnie mówiąc) przez fanów obu klubów. Prawicowy jest też Hellas Verona. Z kolei na drugim biegunie stoją lewicowi ultrasi z Livorno.

A w Polsce? To już na inną opowieść...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 95fd45879a

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dziedziczki i spadkobiercy

Byliśmy niedawno na dwóch artystycznych wystawach. Bardzo odmiennych, choć w obu przypadkach obiektem naszej uwagi były *obrazy* – powstałe w innym czasie i za pomocą różnych technik. W obu przypadkach kontakt z dziełami artystów wywołał w nas refleksje na temat kwestii dziedzictwa.

Wartości i dobra odziedziczone po przodkach to zasób niebagatelny. Można z niego skorzystać na poczet inwestycji, które pomnożą majątek, ale można też odziedziczone dobra niemądrze roztrwonić. W historii nie brak przykładów upadku całych rodów tylko dlatego, że dziedzic okazał się utracjuszem. Rodzinne dziedzictwo wymaga odpowiedzialności, poczucia powinności wobec przodków i mądrego zarządzania. Tego samego wymaga też dziedzictwo większego kalibru – dziedzictwo narodowe. Ono jest kapitałem pozwalającym nie tylko na nieprzerwane trwanie społeczności, wspólnoty kulturowej, wbrew „postępowcom" jest także zasobem rozwojowym. Dziedzictwo to ważne podglebie naszej tożsamości.

Wróćmy jednak do obrazów. Z dużą przyjemnością uczestniczyliśmy w zorganizowanym 17 kwietnia br. przez LFS ART GALLERY w al. Szucha w Warszawie kameralnym *finisażu* wystawy poświęconej fotografii Edwarda Hartwiga (1909–2003), jednego z najbardziej znanych na świecie polskich fotografów.

Chociaż nostalgiczne polskie wierzby bywają uważane za najbardziej rozpoznawalny motyw twórczości Hartwiga, tym razem fotografie opowiadały nie o nich. Sygnalizował to tytuł wystawy – „Edward Hartwig: Another Vision of a Woman". Blisko 20 czarno-białych fotografii uwieczniających kobiety (anonimowe modelki i znane aktorki) oraz prezentacja wideo – dzięki takiej kompozycji zobaczyliśmy artystyczną

Jan Matejko rozpowszechniał wiedzę o niebanalnej historii Polski. Jak na dziedzica polskości przystało, pielęgnował to, co dziś nazwiemy kodem polskości

próbę uchwycenia kobiecości, jej tajemnicy. Aż nie chce się wierzyć, że Hartwig wykonywał tego typu fotografie kilkadziesiąt lat temu. Tak *gładko* rezonują ze współczesną sztuką.

Dziedziczkami archiwum fotografii Edwarda Hartwiga są jego córki: Danuta i Ewa. Na *finisażu* wspominały, jak pomagały ojcu w pracy (także pozując do zdjęć). Obie mówiły o nim z dumą, ale zarazem bardzo ciepło i rozczulająco. To, że fotograf Hartwig jest znany na świecie, jest dla nich ważne. Ale jest to ważne także dla nas – Polaków. Wystawa będzie miała dalszy ciąg za granicą. Dziedzictwo Hartwiga jest w dobrych rękach, nie ugrzęzło w zapomnianych archiwach.

A co by było, gdybyśmy zapomnieli dzieła Jana Matejki (1838–1893)? Niedorzeczne pytanie? „O historii naszej ojczyzny myślimy obrazami stworzonymi przez Jana Matejkę, często nawet o tym nie wiedząc" – tak zaprasza Zamek Królewski w Warszawie na wystawę pt. „Matejko nieznany. Dzieła z kolekcji prywatnych". Jeszcze do 26 maja, obok „obowiązkowych" dzieł Matejki, które na stałe zdobią ściany Pokoi Królewiczowskich, możemy oglądać prace rzadko pokazywane, wśród nich liczne szkice.

Szkice są ważnym elementem warsztatu malarza, ale w przypadku Jana Matejki dowodzą, jak wielkiej wagi misją uczynił swą twórczość: „Kładąc zdrowie i talent z powinności w darze Ojczyźnie" – jak sam napisał w jednym z listów. Matejko dużo podróżował, szukając pozostałości po minionych epokach, szkicował wizerunki dawnych strojów, mebli i rekwizytów wypełniających stare wnętrza, studiował szczegóły architektoniczne. A potem malował niezapomniane obrazy. Matejkowskie wizje historycznych wydarzeń nie są tylko osobistą imaginacją artystyczną.

Myśląc o przeogromnym dziedzictwie twórczości Matejki, widzimy przede wszystkim powielane w tysiącach reprodukcji wielkie ikoniczne dzieła, uchwytujące sedno dziejów naszego kraju. Ale o to „sedno" trzeba było zadbać. Kim byśmy byli, gdyby nie Matejko i ci, którzy go docenili? W czasach, gdy Rzeczypospolitej nie było na mapach i nie miała żadnego prawa politycznego stanowienia, Jan Matejko rozpowszechniał wiedzę o niebanalnej historii Polski. Jak na dziedzica polskości przystało, pielęgnował to, co dziś nazwiemy kodem polskości.

Jak często dziś patrzymy na siebie samych jak na dziedziców polskości?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 30/0224/F

eprasa.pl 95fd45879a

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków

Nieznane strony historii Polski
10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamanych faktach | 106 stron

Powstanie Styczniowe 1863 r.
13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron

Gdzie diabeł nie mógł
25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron

Pupile historii
30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 95fd45879a

GOTOWI NA WSPANIAŁE...

WSPOMNIENIA-WESTCHNIENIA-WRAŻENIA?

COLUMBO, PON.-CZW. 20:00, WEEKENDY 14:50

AUSTRALIJSCY POSZUKIWACZE ZŁOTA, PON.-PIĄT. 18:00

77TV, PIĄTEK 22:00, PON.-PIĄT. 12:00

OGLĄDAJ NAS U OPERATORÓW

DVB-T	CANAL+	VECTRA	UPC	PLAY	INEA	TOYA	ORANGE
15	58	161	167/126	42	72/247	112	248

eprasa.pl-95fd45879a